

K E V I N W I G N A L L

# ZAGUBIENI

KTO PRZEŻYJE? KTO ZGINIE?  
KTO ZACZNIĘ ZABIJAĆ?



GENIALNE POŁĄCZENIE WSPÓŁCZESNEJ POWIEŚCI  
PRZYGODOWEJ I „WŁADCY MUCH”.

— SARAH PINBOROUGH

Feeria  
young

K E V I N W I G N A L L

# ZAGUBIENI

PRZEKŁAD  
ANDRZEJ GOŹDZIKOWSKI

Feeria  
young

# Spis treści

PRZEDMOWA

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

O AUTORZE

Tytuł oryginału: *When We Were Lost*  
Przekład: Andrzej Goździkowski  
Opieka redakcyjna: Maria Zalasa  
Redakcja: Karolina Pawlik  
Korekta: Agnieszka Grzywacz, Natalia Józwiak

Projekt okładki i stron tytułowych: Joanna Wasilewska / KATAKANASTA

Copyright © 2019 by Kevin Wignall  
Copyright for the Polish edition and translation © 2019 by Wydawnictwo JK

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-869-0  
Wydanie I, Łódź 2019

**Wydawnictwo JK**  
Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,  
92-101 Łódź  
tel. 42 676 49 69  
[www.wydawnictwofeeria.pl](http://www.wydawnictwofeeria.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

Dedykuję George'owi i Rafaelowi

# PRZEDMOWA

**N**a mojej drodze pisarskiej odkryłem, że najlepsze opowieści to takie, które zabierają czytelnika tam, dokąd nigdy nie spodziewał się trafić. Kiedy przystępowałem do lektury *Zagubionych*, sądziłem, że będzie to dosyć prosta opowieść o dzieciakach, które po katastrofie lotniczej trafiają do dżungli na końcu świata. Kevin Wignall niewątpliwie stworzył fascynującą, trzymającą w napięciu historię o katastrofie, jednak z zachwytem przekonałem się, że dokonał czegoś znacznie większego.

Wypadki oglądamy oczami Toma – odludka, który marzy tylko o tym, by dano mu spokój. Wydaje mi się, że każdy z nas przypomina nieco tego chłopca. Każdy z nas czasami ma wrażenie, że nie pasuje do reszty. Tom zmuszony jest stawić czoła nieprzewidzianym sytuacjom – walczyć o przeżycie w dżungli oraz zmagać się z hierarchiami społecznymi obowiązującymi w liceum. Jak szybko się przekonuje, są to bardzo wymagający przeciwnicy.

Na jeszcze głębszym poziomie mamy tu opowieść o tym, że zagubienie może mieć wiele znaczeń oraz medytację nad tym, co naprawdę znaczy się odnaleźć.

James Patterson

# PROLOG

Nazywają to efektem motyla. Żadna inna część teorii chaosu nie budzi w ludziach większego entuzjazmu. *Clou* jest takie: trzepot motyli skrzydełek w jednym zakątku świata może wywołać huragan na drugim jego końcu. Oczywiście nie w sposób bezpośredni. Nie chodzi o to, że motyle skrzydła poruszą powietrze, a to poruszenie spowoduje jeszcze większe poruszenie, co w rezultacie miałyby przerodzić się w huragan. Takie założenie nie miałyby sensu.

Efekt motyla oznacza co innego – dowodzi on, że wszystko jest niezwykle złożone, a na każde zjawisko składają się miliony niewyobrażalnie drobnych czynników. Usunięcie choćby jednego z nich (w tym przypadku trzepotu motyli skrzydełek) będzie miało istotny wpływ na przebieg owego zjawiska, a być może zjawisko takie w ogóle nie zaistnieje.

Wiele lat temu idiota znany jako Matt Nicholson wpadł na kretyński pomysł – postanowił, że ukradkiem doleje wódki do drinków pitych przez pewną dziewczynę. Mimo że może się to wydawać mało prawdopodobne, Matt Nicholson jest w tej historii motylem, a dolewanie wódki do drinków jest trzepotem jego skrzydeł.

Dziewczyna, którą chciał upić, nazywała się Sally Morgan. Wódka uderzyła jej do głowy bardzo szybko – po paru chwilach Sally ledwie trzymała się na nogach. Oboje dopiero przed paroma tygodniami rozpoczęli naukę w college'u, dlatego gdy Sally, blada jak ściana, wyszła, zataczając się, z baru, nikt nie zwrócił na nią uwagi – nikt z wyjątkiem Matta Nicholsona, który uznał swój dowcip za udany.

Pod knajpą zataczającą się Sally zauważyła Julia Darby. Mimo że się nie znały, Julia momentalnie zorientowała się, że pijana dziewczyna ma problem i potrzebuje pomocy. Niewiele myśląc, podeszła do Sally i w ostatnim momencie zaprowadziła ją do łazienki, co uratowało ją przed nieuchronną katastrofą.



Dziewczyny studiowały na różnych uczelniach, do tego dwa różne kierunki. Dlatego jest niemal pewne, że gdyby Matt Nicholson nie doprawił wódką drinków pitych tego wieczoru przez Sally, Sally nie poznałaby Julii – ani wtedy, ani zapewne nigdy, a tym samym nie zostałyby najlepszymi przyjaciółkami. No a wówczas Julia nie mogłaby jej zapoznać ze swoim najlepszym kumplem z rodzinnego miasta, Robem Callowayem.

Sally i Rob nie zakochaliby się w sobie, nie pobrali po studiach i nie spłodzili potomka. A gdy przyszło do spisywania testamentów, nie wskazałoby Julii jako opiekunki swojego dziecka, na wypadek gdyby spotkało ich coś złego.

Co więcej, gdyby pewnego wieczoru, gdy ich dziecko miało dziewięć lat, taksówka, którą Sally i Rob zamówili po kolacji zjedzonej w restauracji na przedmieściach Hopton w stanie Connecticut, gdzie obchodzili dziesiątą rocznicę ślubu, faktycznie po nich przyjechała, nie musieliby wracać do domu na piechotę poboczem drogi.

I gdyby pewien facet, Sean Hodges, nie został rzucony przez dziewczynę, która przy okazji nazwała go nieudacznikiem, nie zalałaby się w trupa i zapłakany nie wsiadł za kierownicę, żeby jechać do domu ukochanej. A gdyby wtedy dziewczyna się zlitowała i wpuściła go do środka, Sean nie pokonywałoby drogi powrotnej do domu samochodem, rozżalony i nadal pijany, nie potraciłoby dwóch osób idących poboczem ciemnej wiejskiej drogi, i nie zabiłoby ich na miejscu.

Spisując testament, Sally i Rob nie sądzili, że kiedykolwiek do tego dojdzie, lecz koniec końców ich dziewięcioletni syn Tom Calloway znalazł się pod opieką ich najstarszej przyjaciółki. Szkopuł w tym, że na przestrzeni ostatnich lat przed wypadkiem para nie utrzymywała z nią zbyt bliskich kontaktów. Prawdę mówiąc, mieli dość jej wiecznych kłopotów i ekscentryczności. Jednak nawet jeśli przyszło im kiedyś do głowy, żeby zmienić zapis w testamencie, nie zdążyli tego zrobić, gdyż uprzedziła ich śmierć.

Obowiązek zaopiekowania się dzieckiem nieżyjących przyjaciół nie wpłynął zasadniczo na zmianę stylu życia Julii. Dlatego gdy osiem lat później Tom wybrał się na wyjazd szkolny do Kostaryki w ramach zajęć o ochronie środowiska, nie

zrobił tego dlatego, że takie akurat miał zainteresowania. O jego wyjeździe zdecydował fakt, że na ten sam termin Julia zaplanowała sobie wypad do ośrodka jogi we Włoszech. Chłopak dał się w końcu przebłagać i zgodził się wziąć udział w szkolnej wycieczce do Kostaryki – udawał się do miejsca, w którym nie chciał się znaleźć, w towarzystwie ludzi, z którymi nie chciał spędzać czasu, żeby robić tam rzeczy, na które nie miał wcale ochoty.

I na tym właśnie polega efekt motyla – gdyby dupek Matt Nicholson nie dołączył do drinków Sally Morgan, wówczas Tom Calloway (o ile założymy, że w ogóle przyszedłby na świat) ponad dwadzieścia lat później nie znalazłby się na pokładzie samolotu lecącego do Kostaryki. Samolotu, który nigdy nie miał dolecieć do celu, o czym oczywiście ani Tom, ani jego znajomi ze szkoły nie mogli mieć pojęcia.

# ROZDZIAŁ 1

**N**ie żeby Tomowi nie zależało na ochronie środowiska. Segregował śmieci i cenił filmy dokumentalne Davida Attenborough, jednak nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w generalnym podejściu do ochrony środowiska nie brakuje hipokryzji. No bo jak inaczej nazwać pomysł wysłania grupki dzieciaków z najzamożniejszego kraju świata do Kostaryki, gdzie miały podziwiać roślinki i motylki, skoro samolot, który miał je tam dowieźć, spalał gigantyczne ilości paliwa? Tom po prostu zachowywał dystans do całej tej środowiskowej hucpy.

I to był jeden z powodów, dla których nie miał ochoty na tę wycieczkę. W jego oczach cała ta eskapada opierała się na fałszu – miał to być zwykły wypad wakacyjny, który tylko udawał akcję ratowania świata. Wakacje pozbawione zabawy. A wszystko kosztowało tyle co dobry ośrodek wczasowy, chociaż Tom miał się męczyć w rojącym się od owadów ekologicznym obozie.

Do tego dochodziła kwestia towarzystwa. Oprócz niego grupa liczyła trzydzieścioro dziewięcioro dzieciaków, do tego dochodziła trójka nauczycieli i żona jednego z nich. Tom podejrzewał, że jego rówieśnicy są nawet w porządku – pewnie na swój sposób interesujący, zapewne przyjacielscy, na pewno na tyle przyjacielscy, żeby kumplować się między sobą. Szkopuł w tym, że on tak naprawdę nie czuł się jednym z nich.

Pewnego razu, kiedy był jeszcze małym chłopcem, dostał w prezencie puzzle. Skomplikowany rysunek przedstawiał zamczysko. Tom ułożył cały wzór podczas pierwszego deszczowego weekendu. Odkrył wtedy, że w zestawie znajduje się jeden nadliczbowy puzzel. Element nie należał do tego zestawu, który układał chłopak. Musiał zawieruszyć się z innego kompletu.

Tom zachował go i przez te wszystkie lata przechowywał w domu. Z początku nie wiedział, co nim kierowało, jednak z czasem doszedł do wniosku, że to *on* jest

tym nadliczbowym puzzlem. Miał odpowiedni kształt. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać chłopak w jego wieku. Na pierwszy rzut oka większość ludzi uznałaby, że doskonale pasuje do grupy rówieśników. W rzeczywistości jednak wcale nie czuł się jednym z nich.

Nie miał pojęcia, gdzie jest jego miejsce. Jedno nie ulegało wątpliwości – nie była to grupa, w której upływało mu życie. Pogodził się z tym, bo zrozumiał, że nadliczbowy element układanki, który znalazł się w jego puzzlach, zapewne pochodził z zestawu innej osoby. I że pewnego dnia – może na studiach, a może później – natrafi na taki obrazek, do którego będzie pasował.

Zresztą nie tylko on myślał o sobie w taki sposób. Inne dzieciaki wyczuwały, że Tom jest inny, że nie integruje się i gra według własnych reguł. Dostrzegali to nawet nauczyciele i zawsze wspominali o tym w wyjątkowo długich komentarzach na świadectwach szkolnych. Nawiasem mówiąc, Julia nigdy ich nie czytała. Ostatnie ze świadectw nie różniło się pod tym względem od wcześniejszych.

*Wyniki w nauce Toma mówią same za siebie i nie pozostaje mi nic innego, jak go za nie pochwalić. Wolałbym tylko, żeby bardziej angażował się w życie klasy. W tym momencie Tom zachowuje się wyniosłe, do tego stopnia, że potrafi być niegrzeczny wobec rówieśników. Uważam, że to wielka szkoda, bo gdyby tylko zechciał, Tom mógłby wiele wnieść do grupy. Glenister, wychowawca.*

*Brawo, Tom! Świetnie poradziłeś sobie w trzeciej klasie. Jak wiesz, prosiłam cię, żebyś nieco bardziej zaangażował się w życie Liceum Hopton. Mam nadzieję, że chęć uczestnictwa w wycieczce do Kostaryki oznacza, iż wzięłeś sobie moją radę do serca i chcesz nawiązać bliższe znajomości z rówieśnikami. Rachel Freeman, dyrektor.*

*Tom jest dla mnie wielką niewiadomą. Jego wypracowania zawsze stoją na wysokim poziomie, a wypowiedzi w klasie są celne i na temat. Chciałabym tylko, żeby nieco więcej dawał z siebie, zarówno jeśli chodzi o naukę, jak i kolegów z klasy. Pani Graham, nauczycielka literatury angielskiej.*

Pani Graham też stanowiła wielką niewiadomą. Jako młoda i atrakcyjna kobieta niekiedy wywoływała w Tomie zmieszanie, gdy zostawał z nią sam na sam.

A w tym roku podczas rozmowy z Julią na dodatek stwierdziła, że „rozpaczliwie” pragnie, by Tom nieco bardziej udzielał się towarzysko.

Była jednym spośród trojga nauczycieli, którzy mieli opiekować się uczniami podczas wycieczki do Kostaryki. A teraz posuwała się powoli przejściem w samolocie i bezgłośnie poruszała ustami, ostatni raz przeliczając wszystkich podopiecznych. Kiedy dotarła do Toma, stanęła w pół kroku, a na jej twarzy odmalowało się zdumienie albo zmieszanie. Po chwili przywołała na usta osobliwy uśmiech, jakby nadal nie mogła uwierzyć, że Tom leci razem z resztą klasy.

W następnej chwili zorientowała się, że straciła rachubę. Wymruczała pod nosem jakieś przekleństwo i wróciła na początek grupy, żeby znowu zacząć z wysiłkiem liczyć: jeden, dwa, trzy... I być może to wydarzenie najlepiej ilustrowało, jak bardzo Tom nie pasował do tej grupy, jak mało prawdopodobne było, żeby wybrał się na taką eskapadę. Jego widok wprowadził panią Graham w tak wielki szok, że najwyraźniej straciła umiejętność liczenia do czterdziestu.

## ROZDZIAŁ 2

Cieszę się, że z nami lecisz – powiedziała pani Graham, która, jak się okazało, podczas lotu miała siedzieć obok Toma. – Mam nadzieję, że wszyscy będziemy mogli lepiej cię poznać.

– Proszę pani, ten wyjazd ma potrwać tylko dwa tygodnie.

Kobieta roześmiała się, jakby właśnie opowiedział jej jakiś inteligentny dowcip, co nie było jego zamiarem. Następnie odwróciła się do Barneya Elliota, który siedział na fotelu po jej drugiej stronie.

Tom wielokrotnie podróżował samolotami z Julią, która wprawdzie bardziej przypominała nieodpowiedzialną współlokatorkę niż rodzica, ale jednego nie mógł jej odmówić – znała się na podróżowaniu. Zaraz po wejściu na pokład samolotu zawsze skręcali w lewo, kierując się do sektora z miejscami w klasie biznes albo pierwszej.

Ten lot Tom miał spędzić na tyłach, jak zresztą większość osób z jego grupy. Pan Lovejoy i jego żona siedzieli w sekcji środkowej samolotu, niedaleko drzwi, obok Jacka Shawa, ponad dwumetrowego dryblasa, który potrzebował więcej miejsca na nogi, i Maisie McMahan – wprawdzie drobniutkiej, ale cierpiącej na jakąś tajemniczą przypadłość, przez którą również musiała usiąść właśnie tam.

Pozostała część grupy zajęła miejsca w dwóch tylnych sektorach. Pieczę nad jednym z nich sprawował pan Holdfast, nauczyciel WF-u i trener szkolnej drużyny futbolu, który siedział w otoczeniu zawodników, śmiał się, żartował, a niekiedy wydawał z siebie tubalne okrzyki „Naprzód, Jastrzębie!”. Krótko mówiąc: zachowywał się, jakby sam był dzieciakiem.

Pani Graham, obok której siedział Tom, czuwała nad drugim sektorem. Kiedy niemal wszyscy pasażerowie weszli już na pokład, ponownie odwróciła się do Toma i spytała:

– Czy mogę ci coś wyznać? – Tom nie był pewien, czy chce usłyszeć to, co ma mu do powiedzenia ta kobieta. Udał jednak wielce zaintrygowanego, a pani Graham uśmiechnęła się i z lekkim zawstydzeniem powiedziała: – Boję się latania. Zawsze się bałam. A najbardziej obawiam się turbulencji.

– Dlaczego w takim razie postanowiła pani lecieć?

Nauczycielka wzruszyła ramionami, jakby chciała w ten sposób dać do zrozumienia, że nie miała wyjścia.

– Proszę pani – odezwał się siedzący od przejścia po drugiej stronie Barney. Był w tym samym wieku co reszta, ale wydawał się drobniejszy i młodszy. – To praktycznie niemożliwe, żeby turbulencje mogły zagrozić tak wielkiemu samolotowi jak ten.

– Naprawdę? – spytała z nadzieją nauczycielka.

– Naturalnie. Turbulencje nie są w stanie uszkodzić struktury samolotu. Piloci w ogóle się nimi nie przejmują.

– No to dlaczego w ogóle dochodzi do katastrof lotniczych?

– Statystycznie rzecz ujmując, nie dochodzi do nich. To znaczy tak, oczywiście czasami się to zdarza. Ale ryzyko, że dojdzie do katastrofy, jest tak znikome, że nie warto brać pod uwagę takiej ewentualności. Czy każdego wieczoru przed zaśnięciem zakłada pani, że w domu wybuchnie pożar? A jest bardziej prawdopodobne, że zginie pani w pożarze domu niż w katastrofie lotniczej.

– Fascynujące – powiedziała pani Graham, po czym zwróciła się znów do Toma: – Słyszałeś?

Potwierdził skinieniem głowy. Równocześnie pomyślał, że dla ludzi, których samolot pikuje ku ziemi jak płonąca kula, statystyki tego rodzaju zapewne nie stanowią zbyt wielkiego pocieszenia. Nie podzielił się tą opinią na głos, bo w tym momencie dziewczyna o imieniu Olivia, siedząca kilka rzędów przed nimi, wstała i poszukała spojrzeniem nauczycielki.

– Proszę pani, czy mogłaby pani powiedzieć Chrisowi, żeby przestał nas denerwować?

Kobieta posłała Tomowi znaczące spojrzenie, jakie zazwyczaj wymieniają

między sobą ludzie dorośli, a któremu on niezbyt dowierzał.

– Zaraz wracam – rzuciła.

Kiedy poszła do Olivii, Barney rzucił półgłosem:

– Coś mi się wydaje, że ona na ciebie leci. – Kiedy Tom obrzucił go zdziwionym spojrzeniem, Barney dodał szybko: – Takie rzeczy czasami się zdarzają. W telewizji bez przerwy o tym mówią.

– Masz jakieś dane statystyczne na poparcie tej tezy?

Barney nie był chyba pewien, jak powinien zareagować. W końcu zdecydował się na bezpieczne stwierdzenie:

– Chodzi mi tylko o to, że takie sytuacje czasami się zdarzają.

Kątem oka Tom zauważył jakieś poruszenie z przodu. Wprawdzie nie wierzył, żeby Barney miał rację w sprawie panny Graham, jednak odkrycie, że postanowiła zamienić się miejscami z prostackim i faktycznie irytującym Chrisem Daviesem, przyjął z ulgą.

Chłopak niezgrabnie przeszedł do tyłu.

– Graham mówi, że mam się do was dosiąść – bąknął. – Mogę usiąść przy przejściu?

– Nie. – Tom wstał, żeby go przepuścić, po czym z powrotem usiadł.

– Ależ suka z tej Olivii – mruknął Chris, potrząsając głową. – To nie moja wina, że coś mi się przyśniło.

W tym samym momencie Chloe, która siedziała w rzędzie za nimi, jęknęła:

– Tylko nie to! Chris, przestań w końcu gadać o tym śnie.

Chłopak nie odwrócił się do niej, ale zaczął mówić nieco głośniej, tak żeby nie uroniła ani słowa.

– Inaczej będziesz śpiewać, kiedy okaże się, że miałem rację i samolot się rozbije.

– Co takiego? – zdziwił się Barney.

– Miałem taki sen. I przyśnił mi się dokładnie taki samolot jak ten, w którym teraz siedzimy.

Na te słowa Joel Aspinall, siedzący w rzędzie po drugiej stronie przejścia syn



miejscowego polityka i reprezentant uczniów w radzie szkolnej, nachylił się i stwierdził:

– Chris, mów ciszej albo wyrzucą nas z samolotu.

– Może dobrze byśmy na tym wyszli! Dziękowałibyście mi potem, kiedy samolot się rozbije.

Odpowiedziały mu ściszone głosy. Stało się jasne, że wiele osób usłyszało przemowę Chrisa. Po chwili z jednego z tylnych rzędów ktoś odezwał się śmiertelnie poważnym tonem:

– Christian!

Była to Alice Dysart, która знаła Chrisa od przedszkola, bo ich rodzice się przyjaźnili. Chris i Alice z pozoru byli do siebie zupełnie niepodobni, jednak relacja, która ich wiązała, musiała coś znaczyć, bo Chris momentalnie się zreflektował i opadł na fotel.

Ale nawet wtedy nie umiał się uspokoić. Odwrócił się do Toma i szepnął:

– Ten samolot się rozbije. Wszyscy umrzemy.

Chris zawsze chciał być w centrum uwagi, przez co trudno było stwierdzić, czy faktycznie miał zły sen i był teraz autentycznie zaniepokojony, czy może robił tylko tanie przedstawienie.

Tom popatrzył na niego i mruknął:

– Mam to w nosie.

Chris utrzymywał z nim kontakt wzrokowy jeszcze przez kilka sekund, po czym chyba się poddał i utkwiał spojrzenie w oparciu fotela przed sobą. Tom zrobił to samo, a po chwili uświadomił sobie coś dziwnego.

Myśl, że Chris Davies miewa prorocze sny, nie wydała mu się zbyt przekonująca. Ale dotarło do niego coś jeszcze – kiedy przyznał, że ma to w nosie, mówił absolutnie szczerze. Co miało się wydarzyć, wydarzy się i tak. Ostatecznie, prędzej czy później wszystkich ludzi i tak czeka śmierć. Zdaniem Toma zamartwianie się tym, czy nastąpi to już dzisiaj, mijało się z celem.

## ROZDZIAŁ 3

**P**rzed swoim pierwszym w życiu lotem Tom był bardzo podekscytowany, ale potem do tego uczucia dołączyły również znudzenie i zniecierpliwienie. Ekscytację poczuł podczas wsiadania do samolotu. Utrzymywała się, w połączeniu z pewną dozą lęku, przez pierwszych dziesięć minut lotu. Po tym czasie Tom poczuł się znudzony i zasnął.

Od tamtej pory latanie nie sprawiało mu nigdy większej przyjemności. Podniecenie, które towarzyszyło mu za pierwszym razem, już nie wróciło, a na jego miejsce wkradła się przeraźliwa nuda. Teraz podczas lotu pociągał go jedynie sen. Zawsze przesypiał podróż. Od jakichś pięciu lat śnił też wtedy mniej więcej ten sam sen, który nawiedzał go wyłącznie w samolotach, nigdy w domu, nigdy w innych miejscach, w których sypiał. Tom zastanawiał się kilka razy, czy ma to związek z ciśnieniem panującym w kabinie samolotowej albo może z dźwiękiem silników. Ale dalej nie wiedział, co o tym sądzić. Sen nadal pojawiał się wyłącznie podczas podróży samolotem, a lot do Kostaryki nie stanowił pod tym względem wyjątku.

Był to jeden z tych przedziwnych snów, w których śniący zachowuje częściową świadomość – Tom zdawał sobie sprawę, że siedzi w fotelu. Mgliście docierało do niego niskie zawodzenie silników. A jednak w dziwny sposób odczuwał własne ciało – nie miał wrażenia, że jest przypięty pasem do fotela, tylko że jakby unosi się w ciemności. Nadal zachowywał pozycję siedzącą, jednak pod sobą nie miał już fotela. Znikał również sam samolot. We śnie Tom unosił się w otwartej przestrzeni.

Aż nagle docierała do niego przenikliwa świadomość otoczenia – zaczynał doświadczać powietrza, chłodu, wilgoci. Dostrzegał ląd u dołu i gwiazdy nad swoją głową. Stawał się świadomy istnienia niezliczonych ludzi, którzy żyli i umierali w tej chwili. Widział ich wszystkich razem – niektórych w świetle dnia, innych, po

drugiej stronie kuli ziemskiej, pogrążonych w ciemnościach nocy. Widział dzieci bawiące się na pylistej ulicy, kochanków całujących się w parku o zachodzie słońca, starca konającego na łożu śmierci i zebranych wokół niego członków rodziny. Nadpływały ku niemu obrazy ze wszystkich zakątków planety, oceanów, pustyń, szumiących lasów, samotnych latarni ulicznych i opustoszałych wesołych miasteczek.

W takich chwilach miał wrażenie, jakby jego umysł w pełni otworzył się na to, co go otaczało. Najbardziej podobało mu się jednak w tych snach co innego – poczucie, że jest związany ze wszystkim. Większą część życia spędził w przeświadczeniu, że nie przynależy do żadnego miejsca na ziemi. Sen natomiast dawał mu przekonanie, że jest nieodłączną częścią wszystkich tych żyć i nie-żyć, miejsc i nie-miejsc.

Ostatecznie sen, jak zawsze, znikł. Jednak na sam koniec w umyśle Toma pojawiła się jeszcze jedna wizja, dosłownie wyłoniła się z nicości. Była noc, a on znajdował się na niespokojnym oceanie. Miał wrażenie, że stanowi niemal część kłębiących się dookoła fal. Wyczuwał, że prześlizguje się pod nimi coś potężnego, a po chwili uświadomił sobie, że to wieloryb. Gigantyczne stworzenie sunęło pośród spienionych bałwanów, niczym mrok skryty pośród ciemności. Tom doświadczał obecności wieloryba jako czegoś olbrzymiego, posępnego i obdarzonego niewyobrażalną siłą. Na krótką chwilę również on sam stał się tego częścią – czuł, jak jego pulsujące życiem ciało prześlizguje się przez mroczną toń. Wyczuwał czarną otchłań pod sobą i bezmiar nieskończonego nieba u góry. I gdy wniknął do ciała tego wielkiego stworzenia, spłynął na niego spokój.

\*\*\*

Zbudził go jakiś wstrząs. Został podrzucony w górę i zaraz potem zatrzymany przez naprężony pas. Kiedy otworzył oczy, zobaczył kabinę, którą zalewało teraz jakieś dziwne, przytłumione światło. Po sekundzie przypomniał sobie, gdzie jest. I natychmiast zrozumiał, co się dzieje.

Turbulencje. Pomyślał o pani Graham, ale zaraz przypomniał też sobie

uspokajające słowa Barneya. Z różnych stron kabiny dobiegały stłumione głosy. Tom pomyślał, że wszyscy spali, a teraz obudziły ich wstrząsy.

Maski tlenowe, być może na skutek wstrząsu wywołanego przez turbulencje, wypadły ze schowków nad fotelami i zaczęły huśtać się w powietrzu. Tom widział już kiedyś podobną sytuację i wiedział, że to jeszcze nie powód do obaw...

I wtedy rozległ się kolejny huk. Pod wpływem wstrząsu Tom znowu uniósł się w powietrze, ale wcześniej poczuł, jak vibracje przenikają jego kręgosłup. Teraz nikt z pasażerów już nie spał, słychać było okrzyki zdziwienia, a także strachu. Tom poczuł nagły przypływ adrenaliny i ucisk w żołądku. To, co się działo, nie przypominało zwykłych turbulencji.

Następny wstrząs okazał się jeszcze silniejszy. Przez całą konstrukcję samolotu przeszło drżenie. Dziwny dźwięk wyginanego metalu wznosił się ponad ludzkimi krzykami, które teraz dobiegały już zewsząd. Ze schowków nad fotelami zaczęły wypadać bagaże, a jakieś dziesięć rzędów przed Tomem jeden z pasażerów niczym z katapulty wystrzelił w górę. Zderzył się ze stropem kabiny, po czym jak kamień runął z powrotem na fotel.

Kabina wypełniła się wszelkiego rodzaju hałasami, jednak po chwili Tom uświadomił sobie, że w całym tym zgiełku brakuje jednego dźwięku – warkotu silników samolotowych. Zaczął się zastanawiać, czy to na pewno tylko turbulencja, czy może samolot przestał lecieć i teraz po prostu spada.

Był wciśnięty w fotel, ale nie miał wrażenia, żeby samolot się wznosił. Kiedy spojrział w okno, zobaczył tylko ciemność. Po chwili rozległ się kolejny trzask łamiącego się metalu, a krzyki pasażerów się wzmogły. Nagle poczuł ból w ręce i zorientował się, że to Chris uczepił się kurczowo jego ramienia.

Po następnym huku Chris zwolnił uchwyt, a Tom poczuł ulgę, gdy przy kolejnym wstrząsie, pas bezpieczeństwa znowu wpił mu się boleśnie w brzuch i utrzymał go na miejscu. Zgrzyt rozrywanej blachy sprawił, że rozboleły go zęby. Zaraz potem usłyszał dobiegający z przodu cichy płacz.

Dziwny, gwałtowny wstrząs pchnął go do przodu. Sekundę później nachylenie się zwiększyło i chłopak poleciał z powrotem na fotel. Zaraz potem samolot

nachylił się jeszcze bardziej. Powietrze znowu przeszył jazgot metalu, tym razem brzącający tak, jakby cała konstrukcja miała rozpaść się na kawałki.

W następnej chwiliabiną szarpnęła jakaś potężna siła kojarząca się z eksplozją. Tom odniósł wrażenie, że podłoga pod jego stopami zaczyna się wybrzuszać. W powietrzu zaroilo się od odłamków, strop został rozerwany. Nim Tom zorientował się, co to wszystko oznacza, fotele z przednich rzędów zaczęły wylatywać w górę i niknąć w otaczającej ciemności. Na ułamek sekundy miał wrażenie, że samolot zamarł w bezruchu, jednak w rzeczywistości fotele przed nim nadal odlatywały w noc.

Zorientował się, że Barney krzyczy. Jego głos wydał mu się zaskakująco niski. Nie brzmiał jak wrzask człowieka rannego, a raczej jak krzyk kogoś w szoku – chłopak powtarzał raz za razem jakąś pozbawioną sensu sylabę. I nie umilkł, kiedy nagle samolot znów ruszył – tym razem lecieli do tyłu i z każdą sekundą nabierali prędkości.

Siedzieli teraz na skraju tego, co pozostało z maszyny. Stopy dyndały im w powietrzu. I nagle Tom uświadomił sobie, że nie poruszają się już po niebie, lecz po twardym podłożu. Za zamiecią sypiących się z samolotu odłamków dostrzegł roślinność.

Ześlizgiwali się w dół, a Tom przygotowywał się na nieuniknione zderzenie z jakąś przeszkodą. Barney nadal wrzeszczał, krzyczeli też pasażerowie z tyłu. Chris, siedzący obok Toma, zachowywał się teraz cicho, co również było niepokojące. Tom zachodził w głowę, jak dużą odległość pokonali, odkąd zetknęli się z ziemią, i z jaką prędkością się poruszają. Wokół siebie widział jedynie mrok i splątana ciemną zielen.

Po chwili poczuł, jak nachylenie nieco się zmniejsza, ale wtedy nieoczekiwanie rozległ się jęk giętego i pękającego metalu. Samolot, a raczej to, co z niego pozostało, przechylił się nieco wokół własnej osi i nagle się zatrzymał. Siła bezwładności sprawiła, że pas bezpieczeństwa niemal przeciął Toma na pół.

Cisza, która ich ogarnęła, przyszła tak nagle, a do tego była tak absolutna i nieustępliwa, że Barney i reszta mimowolnie też się uciszyli. Dopiero teraz Tom

poczuł serce, które jak oszalałe tłukło mu się w piersi. Stał się świadomy nocy, którą miał przed oczami. Ciepłego powietrza, które otaczało ich niczym koc. Dziwnej wrzawy owadów i zwierząt, która rozbrzmiewała wkoło niczym zakłócenia w tle.

I wtedy zrozumiał – doszło do katastrofy. Ich samolot się rozbił, rozpadł się na kawałki. A oni przeżyli.

Przynajmniej na razie.

## ROZDZIAŁ 4

**I**nagle wszyscy zaczęli mówić w tym samym momencie. Nikt nie krzyczał, nikt nie płakał – za to wszyscy wyrzucali z siebie maniakalne potoki słów.

– Przecież mówiłem wam, że się rozbijemy – zwrócił się Chris do Barneya.

– Mówiłeś też, że wszyscy zginiemy. Tom, prawda?

Tom oderwał spojrzenie od otaczającej ich fascynującej ciemności i popatrzył na Barneya.

– Nadal możemy zginąć.

Chris zaśmiał się nerwowo.

– Chryste, tak się tylko wygłupiałem. Wcale nie miałem żadnego snu.

Ze skaleczenia na jego czole ciekła krew i spływała mu po policzku.

– Krwawisz – zauważył Tom.

Chris skinął głową.

– Coś mnie rąbnęło – wyjaśnił, wyraźnie zadowolony, że może zmienić temat.

Tom popatrzył w górę. Był zaskoczony, że w ogóle cokolwiek widać w ciemności. Okazało się, że to zasługa oświetlenia awaryjnego. Co prawda agregaty musiały zostać niemal doszczętnie zniszczone, jednak jakimś cudem oświetlenie awaryjne nadal działało, dzięki czemu w pozostałościach kabiny panował półmrok.

Barney powiedział coś jeszcze, ale jego słowa utonęły wśród głosów innych pasażerów. Wtem ponad zgiełk wzbił się krzyk Joela:

– Cicho!

Wszyscy umilkli. Cisza, jaka zapadła, była niemal równie gwałtowna, jak wrzawa sprzed chwili. Tom zerknął w poprzek przejścia między rzędami, gdzie Joel również zwisał nad ziemią, jakby razem z Tomem ucinali sobie przejażdżkę na jakiejś wyjątkowo ekstremalnej odmianie kolejki górskiej w wesołym miasteczku.

Upewniwszy się, że wszyscy na niego patrzą, Joel przekręcił się z wysiłkiem w swoim fotelu i spytał:

– Czy ktoś jest ranny? Sprawdźcie, w jakim stanie znajduje się siedząca obok was osoba. A jeśli komuś coś dolega, niech się zgłosi.

Z potoku słów, który popłynął w odpowiedzi, wynikała rzecz zdumiewająca – wszystko wskazywało na to, że nikt nie odniósł poważnych obrażeń.

Harmider, jaki zapanował, znów groził przerodzeniem się w kakofonię przekrzykujących się głosów. Joel jednak uniósł rękę i wszystkich uciszył.

– Dobra, cisza. Wydaje mi się, że rozbiliśmy się w jakimś lesie tropikalnym albo dżungli. Musimy liczyć się z tym, że pomoc nie nadejdzie od razu. To oznacza, że musimy zachować spokój i zaplanować dalsze działania.

Z tyłu odezwała się Chloe:

– A co stało się z resztą samolotu?

Zabrzmiało to tak, jakby dopiero teraz zorientowała się, że brakuje sporej części kabiny.

– Przepadła – wyjaśnił Chris. Jego ton dowcipnisią ulotnił się już bez śladu. – Oderwała się.

– W takim razie może inni też przeżyli? – zastanowiła się Chloe.

Odpowiedziało jej milczenie. Wreszcie odezwał się Joel:

– Razem z Chrisem zejdziemy na dół i sprawdzimy, jak wygląda podłoże.

– Ale po co? – spytał błyskawicznie Chris. – Moim zdaniem powinniśmy zaczekać w samolocie.

Barney tymczasem nachylił się, żeby popatrzeć na Joela.

– Jeśli na dole jest bezpiecznie, wszyscy powinniśmy stąd wyjść – stwierdził. Zerknął na przyćmione pulsowanie światła awaryjnego. – Nadal mamy elektryczność, pewnie z jakiegoś zapasowego systemu zasilania. A to oznacza, że może dojść do zapłonu. Lepiej opuścić pokład, chyba że ponad wszelką wątpliwość ustalimy, że nic takiego nam nie grozi.

Shen, który siedział na wysokości Barneya po drugiej stronie przejścia, zauważył:



– Dziwne, że te światła w ogóle działają.

Barney chciał coś odpowiedzieć, ale Joel nie dał mu dojść do słowa.

– Tak, to dobry pomysł. Ale najpierw chcę sprawdzić, jak wygląda sytuacja na dole.

Odpiął pas i zerknął pod nogi. Przypominał w tej chwili przestraszonego dzieciaka stojącego na skraju trampoliny na basenie.

– Ejże, chyba nie chcesz tam skoczyć – odezwał się nagle Barney. Joel skierował na niego spojrzenie, a wtedy Barney dodał: – Bezpośrednio pod nami znajduje się luk bagażowy, wysoki na trzy metry. A pod spodem jest zbiornik paliwa, który został właśnie rozerwany na strzępy. Pewnie roi się tam od ostrych krawędzi i fragmentów metalu.

– No to spróbuję zejść powoli – odparł niezrażony Joel.

– Zamiast tego możesz wyjść tylnymi drzwiami. Jeśli uda nam się je otworzyć, może zdołamy opuścić trap ewakuacyjny.

– Dobra, chodź ze mną – odparł Joel. Wyszwolecił się ze swojego fotela i stanął przy drzwiach.

– Sprawdzę zasięg, jak będę na zewnątrz. Ale już teraz wszyscy włączcie telefony. Nigdy nie wiadomo. Może któryś złapie sieć.

Joel najwyraźniej wcielił się w rolę przywódcy, a wszyscy posłusznie wykonywali jego polecenia. Tom i Chris jak jeden mąż uruchomili swoje komórki. Okazało się jednak, że żadna nie łapie zasięgu. Po chwili dobiegające z kabiny głosy potwierdziły, że sytuacja u wszystkich wygląda tak samo.

Chris uniósł komórkę i zaczął nią machać nad głową, próbując złapać zasięg. Tom natomiast wyłączył telefon, wychodząc z założenia, że powinien oszczędzać baterię do czasu, gdy okaże się przydatna.

Siedzące za Tomem dzieciaki zaczęły wspominać o rodzicach – o tym, że będą umierać ze strachu, gdy dowiedzą się o katastrofie. Na ironię losu zakrawał fakt, że na kilka godzin przed odlotem Toma, Julia wyleciała do Włoch. Całkiem możliwe, że o katastrofie dowie się dopiero za dwa tygodnie.

Tomowi bardzo odpowiadała taka sytuacja, chociaż zarazem był ciekaw, jak

zareagowałyby na tę wieść, gdyby była w domu. Byłaby w szoku, co do tego nie miał wątpliwości. Ale nie wiedział, czy taka wiadomość wywołałaby w niej jakieś głębsze emocje.

Pamiętał, że kiedy był mały, codziennie opowiadał mamie o tym, jak minął mu dzień w szkole, co robili, co szczególnie mu się podobało, z kim dobrze się bawił, a kto go zdenerwował. Dzielił się z nią wszystkimi triumfami i troskami ucznia szkoły podstawowej. No a potem zdarzył się wypadek. Miesiące po nim pamiętał jak przez mgłę.

Jedno z takich niejasnych, oderwanych wspomnień dotyczyło dnia, w którym przyjechała Julia i oznajmiła, że zamieszka razem z nim. Powiedziała, że będzie *mieszkać* razem z Tomem, a nie *opiekować się* nim. Tom miał wtedy tylko dziewięć lat, ale doskonale rozumiał, że Julia nie ma ochoty wysłuchiwać opowieści o jego dniu w szkole, o tym, co mu się podobało i co go martwiło. Dlatego przestał o tym mówić, co przyszło mu tym łatwiej, że podobało mu się coraz mniej rzeczy i równie niewiele go martwiło.

Nie miał o to żalu do Julii. Była po prostu sobą, a on dojrzał na tyle, że mógł ją podziwiać i odczuwać wobec niej wdzięczność za to, że wzięła na siebie obowiązek opieki nad chłopcem, chociaż wcześniej nie przewidywała takiego obrotu sprawy i nie była do tego stworzona. Nie mógł nikogo winić za sytuację, w jakiej się znalazł. No, może z wyjątkiem tego faceta, który przypadkiem zabił jego mamę i tatę.

Zobaczył, jak w ciemności u dołu rozbłyska światło, i po chwili uświadomił sobie, że to Joel przyświeca sobie telefonem. Barney miał rację, kiedy wspomniał o odległości dzielącej ich od ziemi. Tom ze zdumieniem patrzył na Joela, który znajdował się teraz znacznie niżej.

– No dobra – zawołał Joel – po bokach jest tu trochę gałęzi i drzew, ale przód jest czysty. Na tyłach wyczuliśmy spaleniznę. Nie znaczy to, że coś się tam faktycznie pali, ale bezpieczniej będzie skorzystać z przednich drzwi.

Mrok był tak gęsty, a światło z telefonu tak nikłe, że Tom dopiero teraz obok Joela zauważył Barneya. Ludzie dookoła zaczęli się poruszać, przygotowując się

do wyjścia, tak jakby samolot przybył planowo do celu i teraz pasażerowie spieszyli do swoich spraw.

Tom odpiął pas. Chris w końcu wyłączył telefon i również się uwolnił. Tom przyglądał się, jak chłopak przesuwają się na miejsce zwolnione przez Barneya, a potem wstaje i rusza przejściem między fotelami.

Tom pozostał na swoim miejscu i przysłuchiwał się krzątaniu pasażerów próbujących wydostać się z samolotu trapem ewakuacyjnym. Głosy pierwszej grupy wysiadających oddaliły się, a potem powróciły niczym fala, tym razem już z dołu.

Kiedy z tyłu zrobiło się całkiem cicho, Tom chciał wstać z fotela, jednak wtedy jego uwagę przykuło coś za oknem: ciemność otaczająca samolot błyskawicznie rzedła. Nie przypominało to powolnie zakradającego się świtu, jaki zapamiętał z domu, lecz nagły brzask właściwy dla tropików.

Nagle widoczne stały się drzewa rosnące nieopodal oraz wnoszące się przed nimi wzgórze, z którego się ześlizgnęli. Po minucie Tom wyraźnie widział też Joela i pozostałych. Światła przybywało w takim tempie, że łatwo było pogubić się w natłoku szczegółów.

I dopiero teraz Tom mógł na własne oczy ocenić skalę zniszczeń. W zбочu wzgórze widniał pas, który pozostawił po sobie sunący w dół samolot. Wzdłuż niego leżały powalone i wyrwane z korzeniami drzewa. Ziemia była rozkopana, a całe zbocze pokrywało morze odłamków. Spoglądając na te zniszczenia, Tom nie mógł uwierzyć, że grupa ludzi zbierająca się u dołu zdołała wyjść z tej katastrofy bez szwanku.

## ROZDZIAŁ 5

Tom przeszedł na tył kabiny. Trap ewakuacyjny nieco się przekrzywił, nadal jednak spełniał swoją funkcję. Chłopak ześlizgnął się na dół, a potem, chwytając się gałęzi, przedostał się na przód. Po chwili dołączył do grupy i stanął na samym końcu.

Wszyscy oglądali pozostałości kabiny i na bieżąco komentowali to, co widzieli. Barney i Shen pochylali się nad rozdarciem w zbiorniku paliwowym niczym zawodowi śledczy zajmujący się katastrofami lotniczymi.

Tom popatrzył w górę zbocza. Dostrzegł jakieś duże metalowe pojemniki, które najwyraźniej wypadły z luku. Zawartość paru z nich wysypała się na ziemię i teraz zbocze zasłane było walizami podróżnymi oraz wielkimi plecakami.

Grzbiet wzgórze wieńczyły skały. Rosły tam drzewa, lecz w miejscu, w którym spadł samolot, otwierała się wyraźna luka. Tom domyślał się, że to właśnie kontakt z tymi skałami rozpołowił zbiornik paliwowy. Przednia część samolotu zapewne ześlizgnęła się na drugą stronę grani.

Niebo przybrało już nieskazitelnie błękitny kolor, ale Tom nie dostrzegał na nim ani śladu dymu. Zerknął na zegarek, który nadal wyświetlał czas z miejsca, z którego wyruszyli. I w tej chwili po raz pierwszy poczuł się naprawdę zdezorientowany. Upewniwszy się, że zegarek działa, ruszył w górę zbocza.

Z rozmyślań wyrwał go okrzyk Joela.

– Hej, Tom! – Jego głos zabrzmiał niepewnie, gdy zwrócił się do Toma po imieniu. Chyba nigdy dotychczas nie zamienili ze sobą ani słowa. Reszta grupy zamilkła i utkwiała w nim spojrzenia. – A ty dokąd?

– Na górę.

– Wiesz, chyba lepiej by było się nie rozdzielać do przybycia ekipy ratunkowej.

– Tak jak we *Władcy much* – wtrącił się Chris. – Musimy trzymać się razem.

– Właśnie – potwierdził Joel. – Musimy się zorganizować.

Tom skinął głową. Uśmiechnął się na myśl o niezbyt fortunnej analogii zaproponowanej przez Chrisa.

– No to się organizujcie – odparł. – Jak zobaczę, że zjawiała się pomoc, wrócę do was.

Joel kiwnął głową, wyczuwając chyba, że Tom i tak zrobi to, na co przyjdzie mu ochota.

– W porządku. Rozejrzyj się, czy w okolicy znajdują się jeszcze jakieś części samolotu.

Tom podjął marsz, a w tej samej chwili na nowo rozgorzała wrzawa. Głos Joela z trudem przebijał się wśród zgiełku. Tom nie uszedł daleko, gdy jego uwagę zwróciło pudło pełne butelek z wodą. Leżało na boku, na płaskiej ścieżce, jaką uTORował sobie samolot. Ponieważ robiło się coraz goręcej, schylił się i podniósł jedną z butelek. Wsunął ją sobie do kieszeni i ruszył dalej.

Nieco wyżej natrafił na pierwszy z otwartych metalowych pojemników. Wokół niego na ziemi leżały plecaki, jednak kilka nadal tkwiło w środku. Tom bez trudu rozpoznał swój plecak.

Podjął przerwana wspinaczkę. Stok nie był zbyt stromy, ale po chwili i tak się zasapał. Parne powietrze sprawiło, że T-shirt zaczął kleić mu się do skóry. Wokół jego głowy wirowały roje owadów. Było jasne, że za kilka godzin zrobi się tu nie do wytrzymania.

W pewnym momencie zauważył na ziemi kawałek papieru. Schylił się i go podniósł. Była to karta pokładowa należąca do niejakiego Miguela Fernandez, którego teraz należałoby uznać za zmarłego. Tom bez namysłu złożył kartkę i wsunął ją do kieszeni. Rozejrzał się wkoło, zachodząc w głowę, dlaczego nigdzie nie widzi żadnych ciał.

Przypomniał sobie, jak jeden z pasażerów wyleciał z fotela i uderzył o strop. Zakładał jednak, że pęknięcie zbiornika paliwowego nie spowodowało wielkiej eksplozji. To natomiast mogło oznaczać, że ciała zabitych nadal tkwią w fotelach, przyczepione pasami. Niewykluczone nawet, że niektórzy pasażerowie z innych

części samolotu przeżyli. Chociaż, jak szybko się zreflektował, zakrawałoby to na cud.

Kiedy się obejrzał, ze zdziwieniem stwierdził, że zaszedł już całkiem daleko. Widział teraz w całej okazałości tylną część samolotu oraz grupkę stojących przed nią osób. Z tej perspektywy stawało się jasne, że nikt nie miał prawa przeżyć tej katastrofy. Fakt, że ocaleli, przejdzie do historii i będzie tłumaczony niespotykanym łutem szczęścia. Coś jak przypadek stewarda, który po eksplozji samolotu spadł z wysokości dziesięciu kilometrów na ziemię i wylądował bezpiecznie w głębokim śniegu.

Tom ruszył dalej. Z każdym krokiem stawał się coraz bardziej świadomy otaczającego go zgiełku. Dżungla, w której się rozbili, wypełniała się dźwiękami ptaków i zwierząt, a przede wszystkim – owadów. Dla wszystkich tych stworzeń nic się nie zmieniło w rozkładzie dnia. Tom wiedział, że prędzej czy później wszelkie ślady wskazujące na to, że doszło tu do katastrofy, również zostaną wchłonięte przez naturę: najpierw znikną ciała, a potem również szczątki samolotu.

Dotarł w końcu na szczyt, ale widok, jaki się stąd rozciągał, okazał się rozczarowujący. U podnóża zalesionego zbocza po drugiej stronie grani znajdował się jar. Za nim teren znowu wypiętrzał się we wzgórze, jeszcze bardziej strome od tego, po którym się wspinał. Chłopak obrócił się, żeby obrzucić szybkim spojrzeniem krajobraz za ogonem samolotu – tam również widniały porośnięte dżunglą wzgórze. Jak okiem sięgnąć rozciągał się przed nim ocean zieleni.

Następnie popatrzył znów w głąb doliny. Po chwili dostrzegł to, czego szukał – pozostała część samolotu leżała o wiele zbyt nisko i zbyt daleko, by można było założyć, że po prostu ześlizgnęła się w dół zbocza. Bardziej prawdopodobne, że odbiła się z impetem od grani i runęła na dno jaru. Z miejsca, w którym stał Tom, wrak samolotu wydawał się spłaszczony i pogięty. Z kadłuba łuszczyła się farba, jakby wcześniej zajął się ogniem, który zdążył się już wypalić i zgasnąć.

Tom nie miał pojęcia, ile czasu pochłonęłoby dotarcie do wraku. Jednak nie musiał ruszać się z miejsca, żeby ponad wszelką wątpliwość wiedzieć, że nie znalazłby tam żadnych ocalonych. Pani Graham, która bała się turbulencji.

Długonogi Jack Shaw. Maisie McMahon z bliżej niesprecyzowanymi problemami zdrowotnymi – wszyscy oni zginęli. To samo dotyczyło Olivii, która poskarżyła się na Chrisa, czym uratowała mu życie, a skazała na śmierć pannę Graham.

Te przypadkowe wybory, które zaważyły na tym, kto przeżyje, a kto umrze, miały w sobie coś niezwykłego. To samo można było powiedzieć o torze lotu samolotu – przecież gdyby pokonał choćby jeden metr więcej przed uderzeniem w grań, Tom znajdowałby się teraz w spalonym wraku na dnie doliny, dzieląc los zabitych.

Przypomniawszy sobie teraz rodzinę, prawdopodobnie z Kostaryki, którą zauważył podczas wsiadania do samolotu. Rodzice podróżowali z dwiema córkami. Jedna z nich musiała być mniej więcej w jego wieku. Zauważył ją najpierw, bo była bardzo ładna. Jej młodsza siostra mogła mieć najwyżej osiem, może dziewięć lat i ścisnęła pluszową przytulankę.

Z jakiegoś powodu trudno było mu pogodzić się z myślą, że ciała tych dwóch dziewczynek znajdują się pośród wszystkich innych zabitych. Nie znał ich, prawdopodobnie nigdy więcej by ich nie zobaczył, lecz mimo to myśl, że nie żyją, była trudniejsza do zniesienia niż świadomość, że zginęła pani Graham i inni.

Ta myśl wystarczyła, by zasiać w nim ziarno nadziei – może jednak nie wszyscy zginęli. Może niektórzy tkwią na dnie doliny, licząc na to, że nadejdzie pomoc. Może właśnie dlatego w ogóle pomyślał o nich. Może temu w rzeczywistości służyła ta wspinaczka na szczyt wzgórza. Może przeznaczenie chciało, żeby to zrobił, może Tom miał ich odnaleźć.

Przekonanie to zawładnęło nim do tego stopnia, że nim się spostrzegł, zaczął schodzić w dół zbocza. Czuł, że nie ma czasu do stracenia. Spojrzał jeszcze raz ku odległemu wrakowi, żeby wyryć sobie w pamięci jego lokalizację. Widok podziałał na niego trzeźwiąco i sprawił, że stanął jak wryty.

Wrak. Nikt nie mógł ocaleć – ani dwie siostry, ani pani Graham, nikt. Ta rewelacja uderzyła go z większą siłą teraz, za drugim razem. Nagle świadomość, że wszyscy ci ludzie przestali istnieć, wydała mu się z jakiegoś powodu bardziej szokująca niż przed chwilą.

Pomyślał o pani Graham. Przypomniał sobie, jak uśmiechała się ośmielająco, gdy ktoś wypowiadał się na lekcji. Pomyślał też o innych uczniach, dzieciakach, których twarze znał tylko z widzenia. A więc wszyscy oni nie żyli.

Ale on wcale nie chciał o nich myśleć. Nie chciał wyobrazić sobie tych przerażających ostatnich chwil, gdy samolot roztrzaskał się na dnie doliny. Dlatego w końcu odwrócił się i utkwiał nieruchome spojrzenie w ścianie drzew po lewej stronie. Spoglądał długo, dopóki nie zorientował się, że widzi ciało.

Wisiało na drzewie, zaczepione o konary, nieco poniżej miejsca, gdzie zatrzymał się Tom. Dostrzegł niebieską, kraciatą koszulę, blond włosy. Wypatrzywszy jedno ciało, zaczął uważnie badać wzrokiem okoliczne drzewa. Jednak nigdzie nie zauważył innych zabitych.

Ruszył w tamtym kierunku, jednak szybko okazało się, że to zbocze jest trudniejsze do pokonania, ponieważ tutaj roślinność nie została skoszona przez część kadłuba. Nim odnalazł drzewo, o które mu chodziło, zdążył na dobre pogubić się w dżungli. Światło sączące się przez korony drzew kładło się na ziemi jasnymi plamami. Mało brakowało, a w ogóle nie dostrzegłby nad sobą ciała. W końcu rozpoznał, do kogo należało – Charlie Stafford, chłopak, którego Tom trochę znał. Z dołu wyglądał, jakby nic mu nie dolegało. Jednak bezruch, w jakim zastygł, sugerował, że coś jest nie tak.

Tom zrozumiał, że nie zdoła go zdjąć. Ale nawet z tej odległości miał pewność, że Charlie jest martwy. Zwisał z drzewa wykręcony pod nienaturalnym kątem i w dziwnej pozie. Nawet gdyby Tom zdołał go ściągnąć, nie miałby jak go pochować. Przyglądając się chmarom wszechobecnych owadów, uznał też, że niezależnie od tego, jak postąpi z ciałem, przyroda sama się o nie zatroszczy.

Charlie pożyczył kiedyś długopis od Toma i od tamtego czasu byli na „cześć”. Tak więc nie znali się prawie wcale, ale to i tak wystarczyło, by Tom zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że Charlie wisi wysoko nad nim i wydaje się obecny, a zarazem nieobecny. Chłopak zachował schludny wygląd, który zawsze go cechował. Jednak serdeczny uśmiech, otwartość i przyjacielskość zniknęły bez śladu.



Charlie często się zamyślał, był typem marzyciela. A teraz wszystko, co jeszcze niedawno zajmowało jego umysł, wydawało się zupełnie pozbawione znaczenia. Oto wisiał na tym drzewie, o niczym nie myślał, i nigdy już nie miał myśleć, marzyć ani snuć planów. Nigdy już nie miał opuszczać krainy marzeń, gdy mijali się w korytarzu, by rzucić na powitanie: „Siemanko, Tom. Jak leci?”.

Tom odwrócił się niespiesznie i smętnie powlókł z powrotem w górę zbocza. Wspiąwszy się na grań, usiadł i odnalazł ponownie spojrzeniem wrak i niezliczone szczątki samolotu rozsiane nieopodal. Na koniec potoczył wzrokiem po ciągnącym się po horyzont oceanie dżungli. Widok Charliego na drzewie nadal był świeży w jego umyśle. Tom poczuł teraz ulgę, że zrezygnował z poszukiwania tamtych sióstr.

Wyciągnął z kieszeni butelkę wody i wypił mały łyk. Woda zdążyła się już zagrzać, lecz mimo to gdy rozlewała mu się po języku i spływała do gardła, wydała mu się niesamowicie wręcz orzeźwiająca. Pomyślał wtedy, że jeszcze nigdy żaden łyk wody nie dał mu tyle satysfakcji.

Zresztą, nie była to tylko kwestia wody. Owszem, był spocony, strudzony wspinaczką, obolały w miejscach, gdzie w ciało wpił mu się pas bezpieczeństwa, poza tym nadal nie otrząsnął się po zobaczeniu najpierw wraku, a potem ciała Charliego. Jednak nad tym wszystkim górowało jakieś przedziwne wrażenie wielkiego spokoju i dobrego samopoczucia. Możliwe, że tak właśnie objawiał się szok, ale w tej chwili Tom miał wrażenie, że mógłby z wielkim zadowoleniem siedzieć na tej grani już zawsze.

Oczywiście wiedział zarazem, że nie może tu zostać. Prędzej czy później będzie musiał zejść do pozostałych, mimo że znacznie lepiej czuł się w samotności i miał wrażenie, że nie jest przystosowany do życia w grupie.

Zaczął się zastanawiać, czy inni ocaleni obmyślili już jakiś plan. A jeśli nie, to czy w ogóle próbowali. Niewykluczone, że zamiast tego zabijali po prostu czas w oczekiwaniu na przybycie ekipy ratowniczej. Pejzaż, który Tom miał teraz przed oczami, sugerował, że nie nastąpi to zbyt szybko.

Popatrzył jeszcze raz na zegarek i znów uderzyła go myśl, że nie zjawią się tam,

dokąd się wybierali. W tej samej chwili jego uwagę przykuło coś na dole. Najwyraźniej Joel nadal brylował, a wszyscy pozostali tłoczyli się wokół niego. Wszyscy z jednym wyjątkiem – gdy Tom wyteżył wzrok, dostrzegł, że ktoś odłączył się od grupy i ruszył pod górę, kierując się do miejsca, w którym siedział.

Dziewczyna przystanęła w tym samym miejscu, co on wcześniej. Napila się wody i podjęła wspinaczkę. Po chwili Tom rozpoznał Alice Dysart. Oboje uczęszczali na te same lekcje, lecz mimo to chyba nigdy nie zamienił z nią ani słowa. Otwarte pozostawało pytanie, co nią kierowało – odłączyła się od grupy, bo tak samo jak on chciała być sama, czy może wysłał ją Joel z misją sprowadzenia Toma. W końcu pewnie dla kogoś, kto we *Władcy much* widział podręcznik przetrwania w terenie, sprawą pierwszorzędnej wagi było, by wszyscy trzymali się razem...

## ROZDZIAŁ 6

**W**spinaczka przychodziła jej z łatwością. Krok miała pewny, jakby pokonywanie zbocza przysparzało jej problemy nie większe niż chodzenie po płaskim terenie. Mimo to wędrówka pochłaniała jej sporo czasu, a upał sprawił, że na jej T-shircie gdzieś tam pojawiły się wilgotne plamy potu.

Po drodze omiatała spojrzeniem mijane szczątki samolotu, ale na Toma nie patrzyła w ogóle. Dzięki temu mógł dobrze się jej przyjrzeć. Do niedawna Alice nosiła długie włosy, ale ostatnio ścięła je na krótko, możliwe że z myślą o tej wycieczce. Była całkiem ładna, ale nie czuł, by łączyło go z nią coś więcej niż ze wszystkimi innymi.

Dotarła już niemal na szczyt, gdy przystanęła i w końcu popatrzyła na niego.

– Chyba trenujesz – zauważyła z uśmiechem. – Dosłownie wleciałeś na górę.

– Tobie też chyba szło się całkiem łatwo.

– Wręcz przeciwnie. – Otworzyła butelkę i napiła się wody. – Mam już dość tych na dole. Obawiam się, że trochę poczekamy na przybycie pomocy – dodała, omiatając wzrokiem otaczający ich gąszcz.

Tom znowu sprawdził, czy zegarek – który wcześniej należał do jego ojca – chodził. Nosił go przez ostatnie kilka lat, odkąd zaczął pasować na jego nadgarstek, i w tym czasie zegarek nigdy go nie zawiódł. Ale godzina, którą właśnie pokazywał, nie miała żadnego sensu. Chyba że wpadli do tunelu czasoprzestrzennego.

– Zauważyłam już wcześniej, że sprawdzałeś godzinę. O co chodzi? – spytała Alice. Tom ze zdziwieniem przyjął fakt, że dziewczyna zwróciła uwagę na ten szczegół. Na tej samej zresztą zasadzie reagował zdziwieniem, ilekroć ktoś w ogóle go zauważał. Nim zdążył odpowiedzieć, Alice dodała szybko: – Zaczekaj, powiesz mi za chwilę. Najpierw chcę zobaczyć, co jest po drugiej stronie wzgórza.

Wspięła się do miejsca, w którym siedział Tom. Wstał i stanął obok niej, gdy ślizgała się spojrzeniem po oceanie zieleni u dołu. W pewnym momencie zauważyła wrak pośród drzew.

– Ojej – powiedziała niemal niedosłyszalnie. Nagle wydała mu się wyczerpana, jakby widok wraku pozbawił ją sił w większym stopniu niż mozolny marsz pod górę. Tom przypomniał sobie, że Alice miała chłopaka, Ethana, należącego do drużyny futbolowej. Pomyślał, że może to właśnie kazało jej się wspiąć na górę. – Cóż, pewnie długo nie cierpieli. A to już coś – powiedziała. Jeżeli próbowała dodać sobie otuchy, przyniosło to mizerny efekt.

– Przykro mi z powodu twojego chłopaka – odezwał się Tom.

Odwróciła się do niego. Wyglądała, jakby lada chwila miała się rozplakać. Przez ściśnięte gardło powiedziała:

– Byłego chłopaka. Zerwaliśmy ze sobą. Myślałam, że wszyscy o tym wiedzą. – Tom milczał, a dziewczyna skinęła głową, jakby przyjmując do wiadomości, że Tom nie należy do „wszystkich”. I może właśnie dlatego, że Tom nie należał do „wszystkich”, Alice dodała ze wzrokiem utkwionym w dal: – W sumie to nie wiem nawet, po co się z nim spotykałam. W gruncie rzeczy nic nas nie łączyło, tylko że...

*Tylko że.* To najlepsze podsumowanie.

– Mimo wszystko mi przykro.

– Dzięki. – Alice westchnęła ciężko i odwróciła się od wraku w identyczny sposób, jak nieco wcześniej zrobił to on. Przez długą chwilę błędziła spojrzeniem po otaczającym ich bezmiarze zieleni. Nagle jej spojrzenie znieruchomiało. Wyteńczyła wzrok i wskazała coś w oddali.

– O Boże! Czy to ciało?

– Tak, jedyne, które znalazłem. Zszedłem do niego, ale utknął wysoko w koronach drzew. Nie byłem w stanie go dosięgnąć.

– Kto to? – spytała przejętym głosem osoby, która wcale nie chce poznać odpowiedzi.

– Charlie Stafford.

Tomowi wydało się, że na jej twarzy odmalowała się ulga. Być może wywołała ją myśl, że akurat tego chłopaka nie znała. Choć z drugiej strony część jej znajomych lecących samolotem i tak była martwa.

– Nie znałam go – przyznała. – Dziwne to wszystko.

Tom doskonale rozumiał, co czuła – myśl, że kogoś się nie znało i nigdy już nie będzie się miało okazji go poznać, była niepokojąca.

Zastanowił się, dlaczego właściwie nigdy nie porozmawiał z Charliem. Możliwe, że połączył ich tylko tamten pożyczony długopis. Ale przecież niewykluczone, że gdyby Tom zdobył się na minimalny wysiłek, mogliby się zakumplować. Teraz było już na to za późno.

Alice odwróciła się plecami do ciała.

– Wolę o tym nie myśleć. Uważasz, że to egoistyczne z mojej strony? – spytała. Tom potrząsnął przecząco głową, jednak jej to nie przekonało. Marszczyła nadal brwi, a po chwili wskazała znów jego rękę. – Dlaczego ciągle zerkasz na zegarek?

Popatrzył na niego znowu, chociaż nie próbował już nawet odczytywać czasu.

– Rozbiliśmy się około pół godziny temu. Przed chwilą weszło słońce, więc pewnie dochodzi szósta rano – powiedział. Alice wytrzeszczyła nagle oczy. Być może przypomniała sobie, na którą godzinę planowany był przylot. Tom zauważył jej reakcję. – No właśnie. Planowo samolot miał wylądować wczoraj, o dwudziestej drugiej czasu lokalnego, czyli dwudziestej trzeciej czasu w domu. Jeśli rozbiliśmy się pół godziny temu, to znaczy, że lot trwał dodatkowe sześć do siedmiu godzin. – Tom wskazał wrak spoczywający w dolinie. – I zapewne właśnie dlatego ogień dopalił się tak szybko. Zbiorniki były zupełnie puste.

– Jeśli zatem dotarliśmy do Kostaryki, a potem lecieliśmy jeszcze przez siedem godzin...

– To znaczy, że jesteśmy gdzieś na Oceanie Spokojnym. Pilot zapewne zmienił kurs.

– Jak w tamtym zaginionym samolocie Malaysia Airlines.

– Dokładnie. I właśnie dlatego patrzę co chwilę na zegarek, który ustawiony jest na czas w domu. Zbliża się pora śniadania.

Odniosł wrażenie, że ten ostatni szczegół ją zmartwił. Pewnie pomyślała, że jej rodzina musiała się już dowiedzieć o katastrofie i teraz z trwogą oczekuje na nowe doniesienia.

Żeby odciągnąć jej myśli od rodziny, Tom dodał szybko:

– Wychodzi na to, że jesteśmy gdzieś w Ameryce Południowej. W Kostaryce czas jest o godzinę do tyłu w stosunku do naszego. Mój zegarek chodzi raczej dobrze. A zatem znajdujemy się w tej samej strefie czasowej, w której byliśmy przed odlotem. A wnioskując z tego krajobrazu...

– Jesteśmy w Ameryce Południowej. Jeżeli jednak samolot leciał siedem godzin dłużej, niż planowano, możemy znajdować się gdziekolwiek: w Wenezueli, Brazylii, Kolumbii... – Alice zamilkła, a Tom pokiwał głową. Po chwili powtórzyła zrezygnowanym głosem: – Możemy znajdować się gdziekolwiek.

Jeżeli pilot z premedytacją zboczył z kursu, zapewne wcześniej wyłączył transpondery, jak stało się to z samolotem Malaysia Airlines. A jeśli przez siedem godzin radar nie rejestrował trasy ich lotu, mogli dotrzeć do dowolnego miejsca na obszarze liczącym setki tysięcy kilometrów kwadratowych. Nawet jeśli organizatorzy akcji ratowniczej zawężą pole poszukiwań dzięki danym satelitarnym, operacja zapowiadała się na niezwykle trudną – lasy tropikalne Ameryki Południowej były równie trudne do przeszukania, co ocean.

Tom powoli zaczął sobie uświadamiać, że nie mogą liczyć na nadejście pomocy. Wcześniej już domyślił się, że przed nimi długie oczekiwanie. Teraz jednak stawało się jasne, że jeżeli ktoś nie zauważył samolotu sunącego po mrocznym niebie o świcie, ludziom wydać się może, że po prostu rozplynęli się w powietrzu.

Na tym etapie zaginięcie samolotu traktowane jest z pewnością jako zagadkowe i informację o nim podają agencje prasowe na całym świecie. Cała ta tajemnica miała jednak swój bardzo realny wymiar – większość pasażerów zginęła, a garstka ocalonych nie miała innego wyjścia, jak jak wydostać się z tej olbrzymiej, i zapewne też niebezpiecznej, dżungli.

Alice usiadła niemal w tym samym miejscu, w którym kilka minut temu siedział Tom. Chłopak popatrzył w dół z boczka – pasażerowie nadal tłoczyli się wokół Joela,

który stanął chyba na jakimś podwyższeniu, pudle czy czymś w tym rodzaju.

Usiadł obok dziewczyny i napił się wody. Miał świadomość, że będą musieli zacząć oszczędzać skąpe zapasy, jakie mieli do dyspozycji. Wcześniej wyobrażał sobie, że Alice jest gadatliwą dziewczyną. Ale może brało się to stąd, że widywał ją zawsze w towarzystwie koleżanek, którym nigdy nie zamykały się usta. Teraz jednak Alice siedziała w milczeniu i chyba czuła się z tym dobrze.

Siedzieli, przypatrując się bezruchowi w dole. Wokół nich las szeptał i brzęczał. Niebo nad nimi było wręcz okrutnie puste.

Alice przerwała milczenie dopiero po kilku minutach.

– Co twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić?

Uświadomił sobie, że nie ma żadnych konkretnych pomysłów. Pogodził się już z myślą, że pomoc raczej nie nadejdzie i że zapewne sami będą musieli odnaleźć drogę do cywilizacji. Nie zastanowił się jednak nad tym, w jaki konkretnie sposób mieliby tego dokonać ani czy w ogóle jest to możliwe.

– Chyba najpierw trzeba będzie rozbić obóz – odparł po chwili. – Zaczekać dzień, dwa, może trzy, na wszelki wypadek. No i opracować plan wydostania się z tego miejsca.

Kątem oka widział, że dziewczyna kiwa głową. Po chwili spytała:

– Myślisz, że inni będą się na to podobnie zapatrywać?

Akurat w tej chwili dobiegł ich podniesiony głos Joela, który próbował chyba przywrócić porządek wśród rozkrzyczonej grupy.

– Nie obchodzi mnie, co zrobią pozostali. Zamierzam odczekać maksymalnie trzy dni, a potem wyruszyć.

– Chętnie zabiorę się z tobą – powiedziała. Odwrócił się do niej, zdziwiony jej oświadczeniem. Alice wzruszyła ramionami. Nagle wydała mu się zawstydzona, jednak nie wiedział właściwie dlaczego. – Po prostu... musimy się stąd jakoś wydostać.

– W porządku. Umowa stoi. Zatem czekamy trzy dni.

– Trzy dni.

Po chwili od grupy odłączył się Chris. W przeciwieństwie do nich szedł

zdecydowanym krokiem przed siebie. Po dwudziestu krokach zatrzymał się, zadarł głowę i pomachał im, żeby wracali.

Alice odmachnęła na znak, że rozumie. Następnie wstała i zaczęła, aż Tom zrobi to samo. Kiedy się podniósł, nasza go nagła potrzeba, by uświadomić tej dziewczynie, że mówi śmiertelnie poważnie.

– Trzy dni i ani jednego dłużej.

Alice skinęła głową, po czym oboje ruszyli w dół zbocza.



## ROZDZIAŁ 7

**P**o drodze przystanęli przy rozerwanym pojemniku na bagaże i Tom wydobył z niego swój plecak. Alice odnalazła swój pośród tych rozrzuconych na stoku. Podniosła go i sprawdziła, czy nie oblażyły go żadne robaki, po czym zarzuciła go sobie na jedno ramię. Potem zatrzymali się jeszcze raz i Tom podniósł karton z butelkowaną wodą.

Kiedy zeszli na dół, okazało się, że ludzie nadal się przekrzykują. Na widok Toma i Alice uciszeli się jednak. Dzielilo ich jeszcze kilka kroków od grupy, gdy Chloe spytała:

– Co stało się z pozostałą częścią samolotu?

Jej ponaglący ton sugerował, że w przedniej części samolotu mogła podróżować jej przyjaciółka albo chłopak. Ale niewykluczone też, zreflektował się Tom, że po prostu rozpaczliwie pragnęła, żeby wszyscy przeżyli.

– Rozbiła się. Wszyscy zginęli – wyjaśniła Alice.

Chloe była zszokowana. Zewsząd rozległy się jęki i stłumione pochlipywanie. Parę osób zaczęło zupełnie otwarcie płakać. Tom nie dowierzał, żeby wieść, którą przynieśli, faktycznie mogła nimi aż tak wstrząsnąć. Owszem, zapewne była przygnębiająca, ale nie szokująca. Bardziej szokujące było to, że oni sami nadal żyli. Powinni byli domyślić się już wcześniej, jaki los spotkał pozostałych. Mimo to nowiny, jakie przynieśli Tom i Alice, dla niektórych ocalonych okazały się jeszcze bardziej druzgoczące niż sama katastrofa.

I znowu Joelowi udało się przekrzyknąć pozostałych:

– Zbadaliście wrak?

Joel miał głos kojarzący się z uczestnikiem debat, głos przyszłego polityka. Teraz jednak zyskał on dodatkowy, ostrzejszy ton. Słyszając go, nikt nie miał wątpliwości, że właśnie przemawia przywódca grupy.

Z jakiegoś powodu ten protekcyjny ton irytował Toma. Alice chyba też, bo odpowiedziała mu zaczepnie:

– Nie. Leży na dnie głębokiego jaru.

– No ale mimo wszystko...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Było jasne, że jest rozdrażniona.

– Mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie.

– Ważniejsze niż pomaganie innym? – odezwała się z oburzeniem Chloe.

– Nie ma żadnych innych, a zatem tak, sprawy, którymi musimy się zająć, są ważniejsze. Zapewne nie doczekamy się przybycia ekipy poszukiwawczej. Nikt nas tu nie odnajdzie.

Znowu zapanowała wrzawa. I znowu uciął ją Joel.

– Cisza! – zawołał. Wszyscy posłuchali. Najwyraźniej z łatwością zaakceptowali go jako przywódcę. Joel zwrócił się do Alice: – O czym ty mówisz?

– Tom się tego domyślił – wyjaśniła Alice. Tom poczuł na sobie spojrzenia wszystkich ocalałych, ale trwało to tylko krótką chwilę, bo zaraz potem skupili się z powrotem na dziewczynie. – Planowe lądowanie w Kostaryce powinno mieć miejsce około siedmiu godzin temu. Jednak zamiast tego kontynuowaliśmy lot. Wszystko wskazuje na to, że pilot zmienił kurs. Podejrzewamy, że rozbiliśmy się w Ameryce Południowej. Jednak znajdujemy się zapewne daleko od miejsca, do którego się wybieraliśmy.

Kolejna fala paplania. Tym razem Joel nie przejawiał ochoty, żeby kogoś uciszać.

Do Toma i Alice zbliżył się Barney.

– Próbowałem im to zasugerować – powiedział – ale nikt nie chciał mnie słuchać. To dlatego ze schowków wypadły maski tlenowe i dlatego wszyscy spali. Kiedy samolot wzniesie się bardzo wysoko, pasażerowie tracą przytomność. Pewnie nie trwało to długo, jednak wystarczyło. Możliwe też, że pilot zmienił skład powietrza tłoczonego do kabiny. Zrobił to z premedytacją, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Może chciał posadzić samolot łagodnie, a może zamierzał roztrzaskać go na dnie doliny. W każdym razie nie powinniśmy byli się tu znaleźć.

Tom skinął głową i popatrzył na fotele pasażerów wiszące wysoko nad nimi. Światła w kabinie zdążyły już zgasnąć. Nie zauważył, żeby coś zapłonęło. Przynajmniej na razie.

– No dobra – przerwał milczenie Joel, orientując się chyba, że rozmowa utknęła w martwym punkcie. – Oczywiście macie rację. W tej sytuacji tym bardziej musimy się skoncentrować i jeszcze lepiej zorganizować. Rozumiem, że wrak znajduje się w trudno dostępnym miejscu. Ale i tak musimy go zbadać, na wszelki wypadek. – Alice potrząsnęła głową, ale Joel zupełnie ją zignorował. – Chris, ty i Toby wybierzecie się do wraku.

Toby był jednym z kumpli Joela. Wysportowany i nijaki, mógł bez trudu poradzić sobie z tym zadaniem. Chris natomiast był zbyt zwalisty i ciężki. Tom nie miał wątpliwości, że sama wspinaczka przysporzy mu sporych problemów. Obaj chłopcy ochoczo wcielili się w role pomagierów przywódcy i wystąpili przed szereg.

Dołączyła do nich Kate, dziewczyna, którą Tom znał z lekcji angielskiego.

– Ja też pójdę.

– Nie wydaje mi się... – zaczął z uśmiechem Joel.

– Pozwól jej iść z nimi – wtrąciła się Emma. Ją także Tom kojarzył z angielskiego. Kate i Emma były serdecznymi przyjaciółkami i nigdy nie odstępowały sobie nawzajem na krok. Były przy tym ładząco do siebie podobne: szczupłe i z długimi ciemnymi włosami. Upłynęły miesiące, nim Tom nauczył się je rozróżniać. – Kate się na tym zna.

Tom nie bardzo wiedział, co kryje się za tymi słowami. Joel chyba też nie, bo powiedział:

– Słuchajcie, każdy dostanie okazję, żeby się wykazać. – Po chwili, wskazując na Barneya, dodał: – Ty powinieneś się z nimi wybrać. Na miejscu będziesz umiał ocenić, czy jest coś, co warto zabrać, no wiesz, sprzęt radiowy, tego typu rzeczy.

Barney nie był przekonany do tego pomysłu. Wydawał się kiepskim kandydatem do wędrowki przez dżunglę – był drobny i wyglądał na trzy lata młodszego od pozostałych. Mimo to wzruszeniem ramion dał znak, że się zgadza, i już po chwili

trzech chłopaków wyruszyło w górę. Kate i Emma wymieniły się w milczeniu poirytowanymi spojrzeniami.

Tom zawołał ich, gdy oddalili się o kilka kroków:

– Hej!

Kiedy się zatrzymali, Tom wyciągnął z kartonu trzy butelki i rzucił każdemu po jednej. Podziękowali mu, przy czym Toby zdobył się tylko na kiwnięcie głową, po czym podjęli marsz.

Chloe wydawała się podniesiona na duchu, jakby sam fakt, że wyruszyli, oznaczał, iż sprowadzą na miejsce kolejnych ocalonych. Zapytała Joela:

– A my czym się teraz zajmiemy?

– Musimy się zorganizować. Wszystko wskazuje na to, że spędzimy tu dzień lub dwa. Dlatego musimy zgromadzić wszystkie przydatne rzeczy. W pierwszej kolejności trzeba zebrać plecaki i walizki, łącznie z tymi, które należały do innych pasażerów. Znajdziemy w nich rzeczy, które mogą nam się przydać.

– A nie powinniśmy najpierw rozpalić ogniska? – zastanowił się Shen.

Joel wydawał się kompletnie zbity z tropu tym pytaniem.

– Shen, nie wydaje mi się, żebyśmy musieli przejmować się tym, że zmarzniemy – oznajmił protekcjonalnym tonem. – Rozpaleniem ognia zajmiemy się potem. A tak nawiasem mówiąc, jeśli znajdziecie kremy z filtrem, posmarujcie się. Przy tak prażącym słońcu wszystkim nam grożą oparzenia.

– Mnie też? – spytał George, na co wszyscy zwrócili się w jego stronę.

Joel chyba nie wiedział, co począć z tym pytaniem. Zachowywał się teraz jak typowy polityk, który szuka sposobu, żeby dyplomatycznie wybrnąć z trudnej sytuacji.

– Cóż, wiesz, jak to jest. Nawet ciemna karnacja... to znaczy...

– Wyluzuj. Tak się tylko wygłupiam. – George wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ach tak. Odrobina humoru nigdy nie zaszkodzi – bąknął Joel. Zwracając się do całej grupy, dodał: – No to do roboty!

W jednej chwili zapanowała wielka krzątanina. Osoby, które jeszcze niedawno stały stłoczone wokół przywódcy, teraz rozpierchły się na wszystkie strony.

Ludzie rozbiegli się po zboczach, przeszukując rozrzucone walizki i plecaki.

Alice tymczasem zdjęła plecak z ramion i zwróciła się do Toma:

– Mógłbyś popilnować mojego plecaka? Pomogę innym szukać ich bagażu.

Tom skinął głową, a dziewczyna ruszyła ku wyższym partiom wzgórza, gdzie udały się jej koleżanki.

Nie licząc Toma i Shena, Joel jako ostatni opuścił miejsce przy samolocie, gdzie chyba miał stanąć obóz. Obejrzał się na Toma, ale chyba wyczuł, że jego władza nie rozciąga się na tego dziwnego chłopaka. Przed odejściem skinął milcząco głową – był to gest, którego znaczenia Tom nie umiał odgadnąć. Chwilę później z oddali doleciał głos Joela, gdy udzielał odpowiedzi na pytania i wydawał polecenia.

Kiedy zostali sami, Shen popatrzył na Toma i powiedział:

– Ogień jest ważniejszy od bagażu. – Po chwili zmarszczył brwi i dodał: – Jest wiele ważniejszych rzeczy od szukania bagażu.

Zastanawiające było, że zarówno Barney, jak i Shen uznali, iż mogą poskarżyć się Tomowi. Jeśli zakładali, że planuje on wystąpić w roli konkurencyjnego przywódcy, kogoś, kto rzuci wyzwanie Joelowi, byli w błędzie. Owszem, Joel wydał mu się człowiekiem lubiącym kierować innymi, a niekoniecznie kimś, kto ma do tego talent, ale Tom nie miał wcale ambicji, żeby go zastąpić.

Zdjął plecak z ramienia, wyciągnął z niego kolejną butelkę wody i podał ją Shenowi.

– Dzięki – powiedział chłopak i się napił.

Odłożywszy karton na ziemię, Tom spytał:

– A czym zająłbyś się w pierwszej kolejności?

– Rozpaliłbym ogień i wytyczył bezpieczny teren. Wokół nas roi się od stworzeń, dużych i małych, które mogą być dla nas śmiertelnie niebezpieczne. – W tym samym momencie, jakby na potwierdzenie słów Shena, jakiś owad zabzyczał koło ucha Toma. Chłopak przepędził go machnięciem ręki. – Następnie powinniśmy sprawdzić, ile mamy jedzenia i wody.

– W takim razie rozejrzyjmy się po kuchni – zaproponował Tom. Widząc, że

Shen spogląda na niego niepewnie, dodał: – Chyba że chcesz wcześniej omówić to z Joelem.

Shen uśmiechnął się i potrząsnął głową, po czym obaj ruszyli do tylnej części samolotu.

## ROZDZIAŁ 8

Szybko stało się jasne, że wgramolenie się w górę trapu ewakuacyjnego jest znacznie trudniejsze od zjechania z niego. Tom wdrapał się tam pierwszy, a potem podciągnął Shena.

Kiedy znaleźli się we wnętrzu kabiny, Shen stwierdził:

– Ten trap możemy wykorzystać w innym celu. Ale wówczas musielibyśmy dorobić schody albo znaleźć drabinę.

Tom błyskawicznie uświadomił sobie, że wnętrze kabiny, czy też raczej tego, co z niej zostało, może okazać się dla nich najbezpieczniejszym miejscem, zwłaszcza po zmroku.

– Toalety działają na prąd – zauważył Shen. – Ale być może uda nam się je przystosować tak, by przez kilka dni spełniały swoją funkcję bez zasilania. Lepiej uniknąć oddawania moczu w pobliżu obozowiska. Woń moczu przyciąga gryzonie. A te z kolei przyciągają węże.

Uśmiechnął się niepewnie, być może zawstydzony myślą, że brzmi, jakby popisował się wiedzą.

– To świetnie, że tyle wiesz na te tematy. Chyba dotąd nie rozmawialiśmy ze sobą.

– Chodzimy do różnych klas, więc...

W jego głosie dało się wyczuć pewną nerwowość, tak jakby Shen miał poczucie, że rozmawia z kimś niebezpiecznym. Dlatego Tom uśmiechnął się do niego i powiedział:

– W sumie to rzadko się odzywam do ludzi.

– Wiem – przyznał Shen z uśmiechem. – Chciałeś rozejrzeć się po kuchni.

Po kolei sprawdzali zapasy jedzenia, wody, napojów, alkoholu. Shen zwracał też uwagę na sprzęt zainstalowany w kuchni oraz naczynia, i wszystko oceniał pod

kątem przydatności. Kiedy Tom odnalazł apteczki pierwszej pomocy, Shena absolutnie pochłonęło przeglądanie ich zawartości. Aparat do mierzenia ciśnienia i artykuły medyczne budziły w nim większe zainteresowanie od pistoletu sygnałowego czy noży.

Przeszukanie prowadzili w milczeniu. Kiedy skończyli, stanęli naprzeciw siebie w ciasnej przestrzeni kuchni.

Tom odniósł wrażenie, że Shen czuje się już swobodniej w jego obecności. Obliczył coś w myśli i powiedział:

– Duża część pożywienia musi zostać zjedzona już dzisiaj. Mięso, ryż. A i tak trzeba je podgrzać. To oznacza, że musimy rozpalić ogień. Część warzyw i ziemniaki wytrzymają do jutra. Ciasto i jedzenie zapakowane w plastik może nieco dłużej. Z wodą będzie problem. Nawet przy oszczędnym gospodarowaniu starczy jej co najwyżej na kilka dni. Dziewiętnaście osób zużywa *dużo* wody. Oczywiście, jeśli spadnie deszcz, będziemy mogli nałapać deszczówki i ją przegotować. Nawet użyć tabletek do uzdatniania wody, jeśli okaże się to konieczne.

Tom wskazał ruchem głowy napoje w puszkach.

– No i mamy jeszcze to.

– Jasne, ale uważam, że powinniśmy je zachować. Da się je przenosić, więc możemy je zabrać ze sobą, gdybyśmy postanowili opuścić obóz. Alkohol może się przydać do dezynfekcji ran.

– Znasz się na tym?

– Moi rodzice są lekarzami. Ja chcę zostać chirurgiem.

– Super.

– Ale wolałbym nie rozpoczynać kariery medycznej już teraz.

Tom roześmiał się cicho. Rozejrzawszy się jeszcze raz po kuchni, powiedział:

– A zatem jedzenie stąd powinno utrzymać nas przy życiu przez dwa do trzech dni.

– Jeśli będziemy je ostrożnie reglamentować.

Tom przypomniał sobie bezkresną zieloną dżunglę, którą zobaczył z grani.



Zachodził w głowę, ile dni musiałyby upłynąć, żeby zdołali się z niej wydostać. A potem przez ile jeszcze dni musieliby coś jeść, nim dotarliby do cywilizacji.

Shen obrzucił go uważnym spojrzeniem.

– Nie wierzysz, że przybędzie pomoc?

– A ty? – Shen pokręcił przecząco głową.

– Sądzę, że pilot dobrze wszystko przemyślał – stwierdził Tom – Zapewne nie przewidywał, że ktokolwiek ocaleje. I chyba nie chciał, żeby ktoś odnalazł wrak.

– To samo twierdzi Barney – mruknął Shen. Kiedy Tom posłał mu pytające spojrzenie, wyjaśnił szybko: – Jeśli wydaje ci się, że sporo wiem, wierz mi: to Barney, a nie ja, naprawdę zna się na tych sprawach. Tak jak wspomniałem, zamierzam zostać chirurgiem. Za to jemu pisana jest przyszłość wynalazcy-miliardera.

Tom wyobraził sobie trud, z jakim Barney zapewne przedziera się na dno doliny. Cała ta eskapada była pozbawiona sensu, a do tego, według wszelkiego prawdopodobieństwa, niebezpieczna. Tom miał nadzieję, że Barney wróci z niej bez szwanku. Miał przeczucie, że to właśnie od niego i Shena w dużej mierze będzie zależeć przetrwanie grupy w dżungli.

– Shen, chodź ze mną na szczyt wzgórza. Powiesz mi, co myślisz o ukształtowaniu terenu.

– A co, już planujesz wyruszenie z obozu? – spytał zaintrygowany chłopak.

– Zastanawiam się nad tym, tak. Mam zamiar posiedzieć tu maksymalnie dwa, trzy dni, ale nie dłużej. Alice też chce iść.

– A inni?

– Ja nie jestem z innymi.

Shen wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ale zaraz potem znowu spowaźniał.

– Jeśli się stąd zabierzecie, idę z wami. Barney też.

– Dobra. Ale nie rozpowiadaj nikomu o naszych planach. Powiedz Barneyowi, ale nikomu więcej. Nie chcę, żeby cała ta sprawa sprowokowała jakąś... debatę.

– Jasne.

– W porządku. No to chodź, zobaczymy, z czym mamy się mierzyć.

Ku zdziwieniu Toma, Shen wyciągnął rękę i ucisnął mu dłoń, jakby zawarli właśnie jakiś rodzaj paktu. Możliwe zresztą, że właśnie tak było. Jedno nie ulegało dla niego wątpliwości – skoro planował wyjść z tej dżungli, u boku wolał mieć kogoś o zainteresowaniach medycznych niż chłopaka, którego ambicje sprowadzały się do przewodniczenia radzie szkoły.

## ROZDZIAŁ 9

**K**iedy wrócili, przed samolotem leżała już cała kolekcja walizek i bagaży, a ociekający potem ludzie nadal donosili kolejne. Większość śmiała się i głośno rozmawiała, więc może pomysł Joela przyniósł przynajmniej jeden pozytywny efekt: poprawę nastrojów.

Tom wyciągnął ze sterty bagaży plecaki swoje i Alice, po czym umieścił je w tym, co pozostało z luku bagażowego. Karton z wodą pozostawił na ziemi tam, gdzie leżał. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nadal nie ubyła z niego ani jedna butelka.

Po chwili razem z Shenem ruszył pod górę, na co większość ludzi nie zwróciła w ogóle uwagi. Po drodze minęli się z Alice, która niosła czyjś plecak. Dziewczyna uśmiechnęła się dyskretnie do Toma.

Nagle dogonił ich okrzyk Joela:

– Hej, Shen, a ty dokąd?

Shen zatrzymał się w pół kroku i odwrócił się.

– Idę z Tomem. Chcemy wejść na szczyt.

Joel popatrzył na Toma, po czym przeniósł spojrzenie z powrotem na Shena.

– Dobrze. Możecie pomóc tamtym trzem.

Tom nie zwolnił kroku. Po chwili dogonił go Shen i resztę drogi pokonali w milczeniu. Już drugi raz w ciągu godziny Tom wspinał się na to wzgórze. Tym razem marsz okazał się bardziej forsowny. Upał był dokuczliwszy niż poprzednio, a na dodatek ogłuszało ich brzęczenie owadów.

Kiedy dotarli na miejsce, Shen natychmiast omiótł wzrokiem dolinę. Kiedy wypatrzył wrak, wskazał go ruchem głowy.

– Barney wyjaśnił im pewnie, że to strata czasu.

Ale oni się uparli – Chris i Toby nie mogli się doczekać, aż zobaczą na własne

oczy to, czego powinni już dawno się domyślić: że poza nimi nikt nie przeżył katastrofy. Tom przez krótką chwilę nasłuchiwał ich głosów albo innych dźwięków, dzięki którym mógłby oszacować, jak daleko posunęło się tamtych trzech. Wszystko jednak zagłuszała dżungla.

Tom popatrzył na lewo, zaniepokojony, że nigdzie nie dostrzega ciała Charliego. Po paru sekundach zauważył jednak pośród gałęzi niebieską plamę jego koszuli. Odniósł wrażenie, że wisi nieco niżej. Coś sprawiło, że ciało się obniżyło. Może jakieś zwierzę lub też Chris, Toby i Barney próbowali go dosięgnąć.

– Twoim zdaniem w którą stronę powinniśmy wyruszyć? – spytał Shena.

Shen obejrzał się do tyłu, po czym wskazał wzgórze zamykające rozległą dolinę, na dnie której leżały szczątki samolotu.

– Na pewno nie tam. Te wzgórza są wyższe, więc teoretycznie mielibyśmy z nich lepszy widok, ale czy opłaca się iść cały dzień po to tylko, żeby rozejrzeć się po okolicy z trochę większej wysokości? – Obrócił się niespiesznie wkoło, chłonąc panoramę. Wreszcie wskazał na prawo. – Widzisz tamtą linię?

Tom wyteżył wzrok. Musiała upłynąć chwila, nim spostrzegł to, co chciał pokazać mu Shen: nie tyle linię, co pewną nieregularność kolorystyczną wijącą się pośród jednostajnej zieleni. Kiedy już ją dostrzegł, nie mógł się nadziwić, że wcześniej ją przegapił.

– Myślisz, że to rzeka?

Shen skinął głową.

– Nie będę robić nam płonnych nadziei i twierdzić, że to droga. Ale jeśli to rzeka, będziemy mogli po prostu pójść z jej nurtem. Nie ma żadnej gwarancji, że wyprowadzi nas z dżungli, ale lepsze to niż nic. – Utkwił spojrzenie w delikatnym uskoku rysującym się między odległymi wzgórzami. – Pewnie przepływa tamtędy. Spływa z wyższych wzgórz za naszymi plecami, a potem ciągnie się do tego obniżenia terenu i dalej za nim.

– A więc to nasza droga ucieczki – odezwał się Tom. – Będziemy posuwać się z biegiem rzeki. Pozostaje mieć nadzieję, że pilot nie rozbił samolotu tysiące kilometrów od cywilizowanego świata.

– Będziemy *kierować się* biegiem rzeki – poprawił go z uśmiechem Shen. – Mnóstwo stworzeń żyjących w wodzie lub blisko niej tylko czeka na to, żeby nas zjeść. Dlatego będziemy poruszać się mniej więcej wzdłuż brzegu rzeki, ale zachowując bezpieczny dystans.

Tom uśmiechnął się w odpowiedzi. Po chwili usłyszeli wołanie Chrisa:

– Ejże, wy dwaj, pomóżcie nam tutaj.

Dopiero po kilku sekundach Tom wypatrzył ich pośród drzew. Nie miał pojęcia, jakim cudem Chris zauważył ich dwóch. Niewiele myśląc, ruszył w dół stoku.

Uszli spory kawałek, nim w końcu zobaczyli ich przed sobą. Chris z mozołem brnął w górę zbocza, taszcząc kogoś na plecach. W pierwszej sekundzie Tom pomyślał, że się mylił i chłopcy znaleźli we wraku kogoś żywego. Jednak szybko się zreflektował i uznał, że to niemożliwe. Potem do głowy przyszło mu, że coś złego spotkało Barneya, po chwili jednak dostrzegł go idącego za Chrisem i odczuł dziwną ulgę.

Uzmysłowił sobie wtedy, że Chris niesie Toby'ego, który, jak sądził wcześniej Tom, był najbardziej wysportowany i najlepiej przygotowany do wędrówek przez dżunglę. Jeszcze zanim Chris z Barneyem zbliżyli się do nich, Tom dojrzał ściągniętą przerażeniem twarz chłopaka. Jego głowa opadała bezwładnie na ramię Chrisa. Tom momentalnie się zorientował, że jest z nim marnie.

– Barney, pomóż mi go położyć – poprosił Chris. Kiedy umieścili Toby'ego na ziemi, wyjaśnił: – Poślizgnął się i coś ukąsiło go w rękę.

– Co to było? – spytał Shen.

– Podejrzewa, że wąż – odparł Barney. – Ślad faktycznie wygląda jak po ukąszeniu węża.

– Musimy jak najszybciej zanieść go z powrotem do obozu – dodał Chris. – Jest w złym stanie.

Tom przyjrzał się Toby'emu, który leżał na trawie. Podziwiał Chrisa za to, że doniósł go tak daleko, ponieważ Toby wcale nie wyglądał, jakby był w złym stanie. Prawdę mówiąc, wyglądał na martwego.

Shen przykucnął i sprawdził mu puls. Zajrzał do oczu. Potem znowu zmierzył

puls, przykładając palce do szyi. Pozostali przypatrywali się jego zabiegom, a twarz Chrisa wyrażała zagubienie i przerażenie, jakby nie mógł pogodzić się z faktem, że osoba, którą z tak wielkim trudem taszczył na plecach, wyruszyła już w znacznie dalszą, ale i prostszą podróż.

W końcu Shen uniósł spojrzenie na Chrisa.

– Nie żyje – powiedział. Następnie popatrzył na Barneya. – Czy to mogła być zmija? Wygląda, jakby wpadł w szok.

Barney zdawał się zatopiony w myślach.

– Nie widzieliśmy, co go użarło – powiedział z roztargnieniem. – Ale kto wie... rana po ukąszeniu wydaje się głęboka. On... Tak, to możliwe.

Shen pochylił się nad raną na ręce Toby'ego. Chris zwrócił się do Toma:

– Przecież to jakieś szaleństwo. Targałem na plecach truposza. – Po jego twarzy przebiegały teraz nerwowe tiki, szybko mrugał oczami.

Tom nic nie odpowiedział. Zerknął jeszcze raz na Toby'ego i pomyślał, że to samo spotkać mogło każdego z nich – i że za wcześnie, by ktokolwiek uważał się za *ocalonego*. Wystarczyło potknąć się i upaść albo zostać ukąszonym przez jakieś zwierzę, lub też paść ofiarą innych niezliczonych zasadzek, od jakich roiło się w dżungli.

– Joel musi sobie uświadomić, jak bardzo niebezpieczne jest to miejsce – powiedział Barney, jakby umiał czytać w myślach.

Chris chyba uznał, że słowa te skierowane są bezpośrednio do niego, bo skwapliwie zapewnił:

– Dobra, pogadam z nim. – Zerknął na ciało i dodał: – Musimy zanieść go do obozu i pochować.

Shen spojrział na niego, unosząc brwi.

– Ale czym? I gdzie? Nie mamy narzędzi, a ta ziemia... – zawiesił głos i tupnął. – Nie zdołamy wykopać wystarczająco głębokiego dołu.

– Przecież nie możemy go tutaj zostawić – stwierdził Chris.

– Tych w samolocie zostawiliście – zauważył Tom.

– To co innego. Ich ciała były zwęglone i...

– Nie wszystkie – wtrącił się Barney. Spojrzał na Toma i dodał łamiącym się głosem: – To znaczy wszyscy byli martwi, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Ale nie wszystkie ciała spłonęły. Chociaż może byłoby lepiej, gdyby tak się stało.

Chris potwierdził skinieniem głowy. Było jasne, że widok zmasakrowanych ciał na obydwu zrobił straszne wrażenie. A teraz śmierć Toby’ego dodatkowo je wzmocniła.

– To bez znaczenia – rzekł po chwili Tom. – Zostawiliście ich, bo musieliście. A teraz zostawimy również jego. Jeśli zjawi się pomoc, powiemy, gdzie mają szukać ciała Toby’ego.

– Racja – mruknął Chris, chociaż nie wydawał się przekonany. – Może w takim razie chociaż uczymy pamięć Toby’ego paroma słowami.

Tom popatrzył na ciało. Był wkurzony, że w ogóle do tego doszło. Toby aż palił się do wypełniania poleceń Joela, a w efekcie stał się nieostrożny. To z kolei sprawiło, że uległ wypadkowi, którego z łatwością można było uniknąć. Teraz był martwy, a w Tomie zbudziła się nagła, niemal fizyczna potrzeba, by odsunąć się od jego ciała.

– Jak chcecie – rzekł.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i ruszył z powrotem pod górę.

## ROZDZIAŁ 10

**D**omyślał się, że koniec końców obeszło się bez ckliwego pożegnania, bo chwilę po tym, jak dotarł na grań, zjawili się tam też Chris, Shen i Barney. Czemu w ogóle miałyby służyć ta gadanina? Pamiętał, że na pogrzebie jego rodziców wypowiedziano mnóstwo słów – jacyś ludzie opowiadali o tym, jakimi to fantastycznymi przyjaciółmi byli rodzice Toma i zapewniali, że nigdy ich nie zapomną. I już wtedy, mimo że był jeszcze bardzo mały, Tom zastanawiał się, jaki sens mają te słowa.

Na szczycie zatrzymał się i popatrzył w dół. Reszta ocalonych nadal pracowała, jednak większość bagaży została już uprzątnięta ze zbocza.

Chris podszedł do Toma i stwierdził:

– Powiem im, co się stało.

Spodziewał się chyba, że Tom będzie oponował, tak jakby informowanie o tragedii stanowiło jakiegoś rodzaju zaszczyt. On jednak odparł krótko:

– Jasne.

Chris skinął głową, po czym obrzucił spojrzeniem Shena i Barneya, być może w obawie, że któryś z nich będzie miał coś przeciwko. Ale już po chwili ruszył w dół zbocza. Z każdym krokiem nabierał prędkości. Jego zwalista sylwetka i chęć podzielenia się nowinami zdawały się ciągnąć go na dół.

Shen i Barney rozmawiali po cichu, spoglądając na dżunglę. Shen musiał wspomnieć o rzece, bo Barney wpatrywał się w tamtym kierunku, a po chwili wskazał niskie wzgórza i przełęcz, która mogła sugerować, że przepływa tamtędy rzeka.

– Shen wtajemniczył mnie w wasz plan – powiedział Barney, zwracając się do Toma.

– Na razie to raczej zarys planu.



– Tak czy owak, chętnie się z wami zabiorę, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Cieszę się.

Chris był już niedaleko ogona samolotu. Ludzie, których mijał, przerywali swoje zajęcia i ruszali za nim, aż wokół chłopaka zebrał się spory tłumek osób ciekawych, co ma do powiedzenia. Wkrótce w ciężkim, nieruchomym powietrzu rozbrzmiały ich zrozpaczone głosy.

Po chwili Barney przeniósł spojrzenie na niewielką stertę bagaży, która wyrosła niedaleko ogona samolotu.

– Co oni wyprawiają? – zdziwił się. – Przecież dokładnie w tym miejscu powinniśmy rozpalić ogień.

– Wspominałem o tym Joelowi, ale on uważa, że to może poczekać.

– Co za kretyn.

– Może w takim razie powinniśmy dać mu pretekst, żeby zmienił zdanie – podpowiedział Tom. – Chodźcie.

Ruszył w dół zbocza, a pozostali dwaj chłopcy poszli za nim. Wokół Joela i Chrisa zebrał się już wszyscy ocaleni. Panował zgiełk – zewsząd dobiegało zbyt wiele głosów i pytań, na które nie było odpowiedzi.

Kiedy Tom z kolegami zbliżyli się do grupy, Joel akurat mówił:

– Słuchajcie, nic na to teraz nie poradzimy. Musimy zachować spokój i mieć się na baczności.

Tom zauważył Alice, która stała na tyłach tłumu. Przywołał ją gestem, a dziewczyna szybko odłączyła się od grupy i ruszyła za Tomem w kierunku samolotu.

– Co jest?

– Potrzebujemy twojej pomocy – wyjaśnił Tom. – Znasz Shena i Barneya?

– Nie, cześć – powiedziała. Po kolei uściśnęła rękę towarzyszom Toma, na co Barney zareagował rozbawieniem. – Mam na imię Alice.

– Ależ my cię znamy – powiedział wesoło Barney.

– Teraz możemy jeszcze wspiąć się do kabiny. Ale może na przyszłość będzie łatwiej, jeśli ułożymy pudła albo walizki jedne na drugich. Barney, zajmiesz się

tym?

– Naturalnie.

Tom tymczasem wspiał się po trapie. Dostawszy się na górę, wyciągnął rękę do Alice i ją podciągnął. Potem pomógł też wejść Shenowi. Jak tylko Alice znalazła się we wnętrzu kabiny, powiedziała:

– Lara też chce się z nami zabrać. Obiecała, że nikomu się nie wygada.

Zerknęła niepewnie na Shena, jakby się zastanawiała, czy dobrze robi, wspominając o tym przy nim.

– Ja też idę. – Shen uśmiechnął się do niej uspokajająco. – I Barney.

Tom wskazał część kuchenną.

– Sprawdziliśmy, ile mamy zapasów jedzenia. Jeśli będziemy zużywać je we właściwej kolejności, powinno wystarczyć na kilka dni.

– To dobrze. Coś mi się zdaje, że ludziom zaczyna burczeć w brzuchach – zauważyła Alice.

– Świetnie się składa. Shen uważa, że powinniśmy rozpalić ogień. Moim zdaniem ma rację.

– Ja też tak uważam. – Następnie Alice zwróciła się do Shena: – Joel popełnił błąd, odrzucając twój pomysł. Rozpalenie ognia jest znacznie ważniejsze od zbierania bagażu.

Shen uśmiechnął się do niej z wdzięcznością.

– Przekażcie Joelowi, że razem z Shenem zajmiecie się kuchnią – poradził Tom. – Powiedzcie, że znaleźliście jedzenie, ale do jego przyrządzenia niezbędne będzie rozpalenie ognia. Upierajcie się, że to wy będziecie się zajmować kuchnią. Nie możemy dopuścić, żeby Joel albo inni tu weszli.

– Dlaczego?

– Na wyposażeniu znajduje się apteczka, a także inne rzeczy, których być może będziemy potrzebować. Nie chcę, żeby je zmarnowali.

Alice skinęła głową, ale wtedy wtrącił się Shen:

– Jest jeszcze jeden problem. Ognisko powinniśmy rozpalic dokładnie w miejscu, w którym teraz leży sterta bagażu. Noc spędzimy w kabinie, więc ogień

powinien płonąć bezpośrednio u wejścia.

– W porządku. Zobaczę, co da się zrobić – powiedziała Alice. Miała już odejść, ale się zatrzymała. – Joel to skończony palant. Ale Chrisowi i pozostałym wydaje się, że ten facet pozjadał wszystkie rozumy.

– Toby też w to wierzył – zauważył Shen.

– Dlatego musimy działać zespołowo. Trzymać się razem. Wspierać się nawzajem – powiedziała Alice.

Tom najchętniej oznajmiłby, że nie czuje się częścią żadnego zespołu, że sam jest sobie panem. Wiedział jednak, że dziewczyna ma rację. I że zapewne nie miałby szans wyrwać się stąd w pojedynkę. W sumie to nawet podobało mu się, że jest częścią grupy.

Jednak musiała to być właściwa grupa.

## ROZDZIAŁ 11

Shen zajął się sortowaniem jedzenia. Oddzielał pożywienie do zjedzenia w pierwszej kolejności od artykułów spożywczych, które można było przechować jeden dzień. Tom w tym czasie schował apteczkę na dnie jednego z pojemników. Po chwili, uporawszy się z budową prowizorycznych schodów, w drzwiach kabiny stanął Barney.

– Czym mam zająć się teraz?

Tom nie miał na to gotowej odpowiedzi. Z pomocą pospieszył mu Shen – wyszedł z kuchenki i powiedział:

– Sprawdź, czy uda ci się uruchomić toalety mimo braku prądu.

Barney wydawał się zaintrygowany.

– Na pewno. Przecież to system podciśnieniowy. Zobaczę, co da się zrobić. Tom, chyba że chcesz, żebym zajął się czymś innym?

– Nie, sprawdź te toalety. Poza tym ja nie jestem waszym szefem.

Barney skierował się tam, a Shen wrócił do kuchni. Tom tymczasem przeszedł do tego, co zostało z kabiny. Już po chwili usłyszał, że Barney rozkręca coś w jednej z toalet i zapewne próbuje się zorientować, w jaki sposób są ze sobą połączone. Tom nie mógł uwierzyć, że istnieją ludzie, w których prośba o przerobienie toalety budzi autentyczną ekscytację.

Po paru krokach dotarł do krawędzi oderwanej części kabiny. To, co zobaczył na dole, zrobiło na nim jeszcze większe wrażenie: ludzie nadal krzatali się pracowicie, jednak coś się zmieniło. Było jasne, że to zasługa Alice. Niektórzy przynosili bagaże, układając z nich rodzaj muru na planie dwóch półkoli, które otaczały miejsce, gdzie miało znaleźć się ognisko. Pozostali udali się na stok, żeby pozbierać gałęzie na opał. Pracowali bardzo ostrożnie, zapewne dlatego, że świeżo w pamięci mieli los Toby'ego.

Joel przypatrywał się ich działaniom z boku. Kiedy jednak zauważył Toma, pomachał do niego, a po chwili podszedł i zatrzymał się pod oderwaną krawędzią.

– Tom, stary, chętnie zamieniłbym z tobą dwa słowa – powiedział. Tom nie odpowiedział, a jedynie spojrzał na niego wyczekująco. – Może spotkamy się przy boku samolotu?

– Jasne.

Tom zszedł po stercie pudeł i waliz, którą ułożył Barney.

Joel czekał już na niego u podnóża schodów.

– To świetny pomysł – pochwalił, wskazując na konstrukcję.

– O czym chcesz pogadać?

– W sumie to nic ważnego. Chodzi mi tylko o te... schody. Barney wspomniał, że kazałeś mu je zbudować – stwierdził Joel. Spodziewał się chyba jakiejś odpowiedzi, a gdy się jej nie doczekał, poczuł się zmieszany. – Jak wspomniałem, to świetny pomysł. Ale uważam, że jeśli mamy tu przez jakiś czas zostać, musimy dobrze się zorganizować. Wiesz, o co mi chodzi. W przeciwnym razie może się okazać, że będziemy wchodzić sobie w drogę. Dlatego jeśli coś ci przyjdzie do głowy, wolałbym, żebyś skonsultował ten pomysł ze mną.

Tom nie miał dotychczas bliższego kontaktu z Joelem. Teraz, gdy znalazł się z nim twarzą w twarz, nie mógł uwierzyć, jaki z niego skończony idiota.

Do głowy przyszło mu sto różnych odpowiedzi. W końcu rzucił tylko:

– Mało prawdopodobne.

– Słuchaj, stary, nie mam zamiaru mówić ci, co masz robić. Chodzi po prostu o to, że potrzebujemy kogoś, kto przejmie inicjatywę. No a ja podjąłem się tej roli. A jeżeli ktoś chce zostać przywódcą, jeśli ty chcesz nim być, musisz mi rzucić wyzwanie.

– Nie wiem, czego jesteś przywódcą w swoim mniemaniu, ale nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Ani jako przywódca, ani jako poddany.

– Rozumiem, ale wydaje mi się, że ty... Słuchaj, nie chcę się kłócić. Po prostu...

– To dobrze – wszedł mu w słowo Tom. W tym momencie dobiegły ich podniesione głosy Chloe i Chrisa. – Wygląda na to, że jesteś potrzebny gdzie

indziej.

Joel skinął głową i odszedł. Był wyraźnie niezadowolony i zbity z tropu tą dziwną wymianą zdań. W pewnym momencie z przeciwnej strony nadeszła Alice. Podziękowała Joelowi, kiedy się z nim mijają. Tom uznał, że to chyba dobre posunięcie, pozwolić Joelowi wyobrazić sobie, że przesunięcie bagażu i rozpalenie ogniska było jego pomysłem. Zbyt długi czas spędził we własnym towarzystwie, by teraz szybko nauczyć się radzenia sobie z Joelami tego świata.

Alice uśmiechnęła się do niego.

– Joel się ciebie boi.

– Wątpię.

– Ależ tak, jestem tego pewna. Nie może cię rozgryźć, a ta myśl go przeraża. Zresztą, z tego samego powodu budzisz strach w kilku innych osobach.

– A w tobie nie?

– Ja się nikogo nie boję – oświadczyła. Tom pomyślał, że jest skłonny w to uwierzyć. Ale już po chwili dziewczyna uśmiechnęła się i dodała: – Ale to nie znaczy, że potrafię cię rozgryźć.

Wzruszyła ramionami, po czym weszła po prowizorycznych schodach do kabiny.

## ROZDZIAŁ 12

**W** ciągu godziny zrobili spore postępy. Barney zdołał przywrócić działanie toalet. Zebrano wystarczająco suchych gałęzi i po kilku nieudanych próbach rozpalono ogień przy użyciu zapalniczki znalezionej w jednym z bagaży. Shen i Alice podgrzali tyle kurczaków, by wszystkich nakarmić.

Cała osiemnastoosobowa grupa zasiadła wokół ogniska na walizkach. Po raz pierwszy częściej milczeli, niż mówili. Z pełnymi żołądkami nawet Chris i Chloe doszli do porozumienia.

W oczach Toma ten idylliczny nastrój zaburzył tylko wyskok Joela, który pod koniec posiłku wstał i stwierdził:

– Powinniśmy chyba podziękować brawami Alice i Shenowi. To było pyszne.

Wszyscy posłusznie zaczęli klaskać, mimo że większość zdążyła już wcześniej z własnej inicjatywy podziękować kucharzom. Alice wydawała się nieco zmieszana faktem, że nagle znalazła się w centrum zainteresowania. Shen natomiast wyglądał na mocno zawstydzonego.

Kiedy Joel usiadł i atmosfera stała się luźniejsza, Chloe spytała:

– A może jest coś, co moglibyśmy zrobić, żeby łatwiej było nas znaleźć? Bo przecież ktoś już nas szuka, prawda?

– Ależ naturalnie, akcja ratownicza jest już w toku – zapewnił Joel. – Kto wie, może ktoś zauważy dym z naszego ogniska.

Chris pokiwał głową, mimo że na własne oczy widział przecież bezmiar dżungli otaczającej ich ze wszystkich stron. Tom zwrócił uwagę na przejęcie, z jakim koleżanka Chloe, Mila, zareagowała na słowa Joela – wsłuchiwała się w nie jak w prawdę objawioną. Z podobnym przekonaniem odebrali je Nick i Oscar, którzy zresztą kumplowali się z Joelem. Tak samo zareagował też Sandeep.

Tom rozmyślał nad pozostałymi. George był zawodnikiem drużyny futbolowej

i Tom nie mógł zrozumieć, dlaczego usiadł na tyłach samolotu, a nie z przodu, obok swoich kolegów sportowców. Zauważył, że gdy Joel wygłosił swoją uwagę o ognisku, George uśmiechnął się do siebie. Ten chłopak sprawiał wrażenie osoby, która nie dowierza pewności siebie, jaką chciał emanować Joel. Również Kate i Emma, dziewczyny, które Tom znał z lekcji angielskiego, wymieniły się sceptycznymi spojrzeniami.

Tom nie bardzo wiedział, dlaczego fakt, iż nie wszyscy pokładają wiarę w Joelu, wydawał mu się znaczący. Wyczuwał jedynie, że Joel nie jest człowiekiem, który może wydostać ich z tarapatów, w jakich się znaleźli. Poza tym wciąż nie był przekonany, że w ogóle potrzebują jakiegoś przywódcy. Gdyby jednak musiał na kogoś oddać głos, dostaliby go Alice albo Shen.

Z zamyślenia wyrwały go strzępy prowadzonej przy ognisku rozmowy.

– A może wystrzelimy flarę? Na pewno w samolocie jest pistolet sygnałowy.

Nie wiedział, kto wypowiedział te słowa. Możliwe, że Nick.

Z wyjaśnieniem pospieszył Barney.

– Zwykle taki sprzęt przewożony jest w kuchni na przedzie samolotu – oświadczył z wielkim przekonaniem. – Nawet jednak gdybyśmy znaleźli pistolet sygnałowy, nie moglibyśmy zmarnować flary.

Nick potrząsnął głową z zakłopotaniem. Kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała irytacja.

– Niby dlaczego byłoby to marnotrawstwem?

Barney nie spuszczał jednak z tonu.

– Chris wspiął się na szczyt i może ci powiedzieć, co zobaczył. Ze wszystkich stron otacza nas dżungla. Spędziliśmy tu cały poranek i na niebie nie pokazał się ani jeden samolot.

– Racja – wtrącił się Joel. – Jeśli znajdziemy pistolet sygnałowy, powinniśmy go zachować do momentu, gdy zyskamy pewność, że ekipa ratownicza jest w pobliżu.

Najwyraźniej nadal wierzył, że prędzej czy później zostaną odnalezieni. Pozostawało tylko uzbroić się w cierpliwość.

Chris utkwiał spojrzenie w swoim plastikowym naczyniu, opróżnionym już



z jedzenia. Potem spojrział na ogień. Nagle coś wpadło mu do głowy.

– Znaleźliście jakiś alkohol w kuchni?

Nick nachylił się i uśmiechnął do niego.

– Dobrze kombinujesz.

Joel nie wiedział chyba, jak zareagować. Alice nie miała takich dylematów.

– Znaleźliśmy, ale nikt go nie tknie – oświadczyła. Kiedy wszystkie spojrzenia skierowały się na nią, wyjaśniła: – Alkohol przyda się do dezynfekowania ran. A jeśli okaże się to konieczne, możemy go użyć jako środka znieczulającego. – Implikacje jej słów były niewesołe. Tom widział niepokój, jaki odmalował się na twarzach obecnych. Nie zapomnieli o nagłej śmierci Toby'ego. Nietrudno było wyobrazić sobie, jakiego rodzaju przypadki medyczne może mieć na myśli Alice. – I jeszcze jedno. Shen i ja postaramy się, żeby jedzenia i wody starczyło na dłużej, ale będzie to trudne. Skoro my się tym zajmujemy, nie chcemy, żeby ktoś prócz nas wchodził do kuchni.

Tom zastanawiał się, ile osób się sprzeciwi. Okazało się jednak, że ludzie liczyli się ze zdaniem Alice. Wszyscy spojrzeli pytająco na Joela, a on kiwnięciem głowy dał znak, że się zgadza.

– Alice ma rację i w sprawie alkoholu, i w sprawie kuchni – obwieścił. Spoglądając znacząco na Toma, dodał: – Każdy z nas ma do odegrania określoną rolę. Jeśli każdy będzie robił to, na co przyjdzie mu ochota, nasze szanse na przeżycie spadną do zera.

Tom wytrzymał spojrzenie Joela.

– Może powinniśmy przynieść więcej drewna? – zaproponował Shen, co Joel przyjął z ulgą.

Na razie ognisko płonęło jasnym ogniem. Jednak zużyto już całe przyniesione drewno i było oczywiste, że gdy się dopali, nie będzie z czego dokładać. Joel miał jednak inne zdanie na ten temat:

– To może poczekać. Na razie dokończmy przeglądanie bagażu. W każdym plecaku powinna znajdować się latarka i spray przeciw owadom. W bagażu innych pasażerów też możemy znaleźć coś przydatnego. Zbierzmy jak najwięcej rzeczy

przed zachodem słońca.

Ludzie wzięli się do roboty. Jednak Tom kolejny już raz zauważył, że niektórzy robili to z mniejszym zapałem od innych. Alice, Shen i Barney skierowali się do schodów prowadzących do kabiny. Tom przez chwilę przyglądał się przetrząsaniu bagaży, po czym wstał i też poszedł za nimi.

## ROZDZIAŁ 13

**K**iedy dotarł na górę schodów, usłyszał, jak Alice i Shen dyskutują o jedzeniu. Sortowali je i dzielili na różne grupy. Ruszył w przeciwną stronę i odnalazł Barneya, który pracował w drugiej toalecie.

Zajrzał do niego, po czym zawrócił i wtedy jego uwagę przykuły schowki za fotelami, w których przechowywano tratwy ratunkowe. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, którego prostota przyprawiła go o uśmiech.

Pomysł był tak prosty, że Tom sam sobie nie dowierzał.

– Barney, mógłbyś tu podejść na chwilę?

Chłopak wynurzył się z toalety i spojrzał na Toma wyczekująco.

– O co chodzi?

– Tratwy ratunkowe – powiedział Tom.

– Jasne, są na wyposażeniu każdego samolotu. Trapy ewakuacyjne również mogą posłużyć jako tratwy ratunkowe. Łącznie musi ich być tyle, by pomieściły wszystkich pasażerów. W dżungli raczej się nam nie przydadzą.

– Chyba że w okolicy natrafimy na rzekę.

– Racja! – Oczy Barneya zalśniły z ekscytacji. – Tak! Nawet jeśli nie wytrzymają całej żeglugi, lepsze to niż przedzieranie się przez dżunglę. Jasne, na rzece też będziemy musieli się liczyć z ryzykiem, ale...

Urwał, gdy od strony schodów dobiegł stukot czyichś kroków. Obaj obrócili się ku drzwiom, w których stanęła Naomi. Była wysoką, niesamowicie atrakcyjną dziewczyną i grała w tenisa na poziomie półzawodowym. Dyrektor Freeman przy każdej okazji podkreślała, że nadejdzie dzień, gdy Naomi Kang zasłynie na całym świecie jako mistrzyni Wimbledonu. Mimo swoich talentów Naomi z jakiegoś powodu nigdy nie miała zbyt wielu znajomych.

Kiedy zauważyła obu chłopców, uśmiechnęła się i wyjaśniła:

– Muszę skorzystać z toalety.

– Ależ proszę bardzo – odparł Barney, zamaszystym gestem zapraszając ją do toalety, w której pracował wcześniej. – Spłuczka nie działa, ale z pomocą przyjdzie ci siła przyciągania.

Tom nie umiał powstrzymać śmiechu. Naomi natomiast uśmiechnęła się niepewnie i ruszyła do toalety.

– Możemy pogadać? – spytał George, który niepostrzeżenie zjawił się w kabynie.

Tom wzruszył ramionami. Jeszcze nigdy tylu ludzi nie chciało z nim rozmawiać.

Barney uznał, że na niego już czas.

– No to ja wracam do roboty.

George z zaciekawieniem odprowadził go wzrokiem, jakby go nigdy dotąd nie widział. Kiedy zostali sami, zwrócił się do Toma:

– Podśluchałem rozmowę Alice i Lary. Jeżeli zamierzacie wyruszyć z obozu, chętnie pójdę z wami, o ile ci to nie przeszkadza. Nie mam nic przeciwko Joelowi, ale tkwienie w tym miejscu nie ma żadnego sensu.

Tom znowu wzruszył ramionami, choć zarazem zaczynał się zastanawiać, czy znajdzie się w ogóle ktoś, kto nie zechce z nimi wyruszyć.

– W porządku. Wyruszymy pojutrze, jeśli do tego czasu nie nadejdzie pomoc.

– Świetnie. Wiem, że nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy, ale wiem, że doceniam to, co robisz. – Tom skinął głową i George skierował się do drzwi. Zanim wyszedł z kabiny, odwrócił się i powiedział: – Miesiąc temu odszedłem z drużyny futbolowej. Moi koledzy mieli mi to za złe. Dlatego nie siedziałem dzisiaj z nimi w samolocie.

– W porządku. Nie wiem, po co mi o tym mówisz, ale... w porządku.

George uśmiechnął się wesoło.

– Chyba po prostu musiałem się przed kimś wygadać. Żyję tylko dlatego, że odszedłem z drużyny.

Tom pokiwał głową, a po chwili George wyszedł.

Chwilę później otworzyły się drzwi toalety i wyszła z niej Naomi.

– Ja też chętnie się z wami zabiorę, jeśli to możliwe. Chcę iść z wami.

– Dobra.

Dziewczyna wydawała się zaskoczona tym, że Tom z taką łatwością przystał na jej prośbę. Uznała chyba, że mimo to powinna jeszcze bardziej go przekonać.

– Dzięki. Wiesz, czuję się tutaj trochę jak outsiderka.

– Ja też – przyznał Tom. – Ale nie martw się. Nie zostawię cię tutaj.

– Dziękuję.

Próbowała się uśmiechnąć, ale z mizernym skutkiem. Zbierało jej się na płacz. Tom nie znał tej dziewczyny, ale w tym momencie zrozumiał, że pod maską pewnej siebie sportsmenki kryje się ktoś bezbronny. I zrobiło mu się jej żal.

Co więcej, współczuł jej. Podobnie zresztą jak wszystkim pozostałym, którzy chcieli podjąć z nim tę wędrówkę. Wszyscy oni pokładali w nim nadzieję, a to dowodziło jedynie, w jak bardzo opłakanym położeniu się znaleźli. Prawda bowiem była taka, że Tom nigdy w życiu nikomu jeszcze nie pomógł.

## ROZDZIAŁ 14

**K**rzątania na dole trwała jeszcze około godziny, ale w miarę jak narastał popołudniowy upał, a owady przestawały reagować na spraye, ludzie zaczęli słabnąć. Nagły spadek energii u wszystkich był niemal widoczny gołym okiem. Wkrótce większość ludzi rozłożyła się na plecakach wokół ogniska i usnęła.

Toma również zmorzyła senność. Siedział na fotelu w kabinie. Zanim zamknął oczy, zdążył jeszcze pomyśleć, że chciałby, żeby przyśnił mu się znowu jego sen o lataniu. Jednak już w następnej chwili zapadł w drzemkę. Nic mu się nie przyśniło.

Kiedy się obudził, ujrzał przed sobą tył oparcia fotela. Musiało upłynąć parę chwil, nim uświadomił sobie, gdzie się znajduje i że ten samolot donikąd już nie poleci.

Zwabiony głosem Alice, przeszedł na przód i popatrzył w dół. Dziewczyna dorzucała właśnie gałęzie do ogniska, które właściwie już dogasało. Pozostali też zaczęli się budzić. Joel, również chyba zbudzony przez Alice, próbował odzyskać kontrolę.

– Idźcie wszyscy poszukać drewna. Najlepiej starego i suchego, ale każde się nada. Tylko uważajcie na węże. Nie chcemy więcej wypadków – polecił. Ludzie z trudnością otrząsali się z senności, którą sprowadzał na nich upał. Głos Joela stawał się coraz bardziej zdecydowany i nagły. – Do roboty, ludziska. Do zmroku pozostała mniej więcej godzina. Potrzebujemy dużego zapasu drewna.

Wreszcie ludzie zaczęli rozchodzić się po okolicy, znikając pośród otaczających obozowisko drzew. Tom sprawdził czas na zegarku, potem popatrzył na niebo. Szacował, że do zmierzchu pozostało im znacznie mniej czasu niż godzina. Podejrzewał też, że po zachodzie słońca błyskawicznie zapadnie noc.

Chciał zejść na dół, ale zatrzymał się, żeby przepuścić wspinającą się po

stopniach Alice.

Dziewczyna potrząsnęła z wściekłością głową.

– Zamiast tracić czas na znoszenie bagaży, ludzie już dawno powinni byli zebrać drewno na noc... Co za dupek!

W tym momencie w drzwiach kuchni pojawił się Shen. Na widok Toma powiedział:

– Cześć. Barney wspomniał mi o tratwach ratunkowych. Moim zdaniem to świetny pomysł. Nie mam pojęcia, dlaczego sam na to nie wpadłem.

– O co chodzi z tymi tratwami? – zainteresowała się Alice. Złość momentalnie ją opuściła.

– Pomóż mi z jedzeniem. Wszystko ci wyjaśnię przy robocie – odparł Shen.

Tom tymczasem ruszył pomóc w zbieraniu drewna. Po raz pierwszy od momentu zejścia z grani znajdował się pośród drzew. Uderzyła go teraz dziwna cisza panująca w lesie.

Owszem, między drzewami nadal rozlegały się głosy ocalonych, a zewsząd dobiegało nieustanne brzęczenie i szepty tysiąca leśnych stworzeń, lasu i samej ziemi. Jednak pod tym wszystkim krył się jakiś osobliwy spokój i porządek.

Podobne wrażenie odnosił, gdy śnił o lataniu: jednoczył się wtedy z całym światem i wszystkim, co go zamieszkuje. Tak właśnie poczuł się teraz, gdy zanurzył się w gęstwinę. Miał poczucie, jakby dżungla oddychała wokół niego i jakby on oddychał nią. Jakby wreszcie trafił w miejsce, w którym od zawsze pisane mu było się znaleźć. Jakby jakaś część niego znajdowała się tu przez cały czas i tylko czekała, aż odnajdzie ją pozostała część.

Przez chwilę osuwał się ścieżką wydeptaną przez zwierzęta, aż dostrzegł przed sobą powalone drzewo. Podeszedł do niego i dokładnie zbadał ziemię i rośliny dookoła, w obawie, że mogą się w nich kryć pająki i węże.

Drzewo leżało w poprzek ścieżki. Niektóre gałęzie były już wyschnięte i dawały się z łatwością odłamać. Tom po kolei je odrywał i rzucał na ścieżkę. Wkrótce uzbierał pokaźnych rozmiarów stosik. Praca sprawiała mu przyjemność i tylko trzaski łamanych gałęzi wydawały mu się nienaturalne i obce pośród otaczających

go dźwięków przyrody.

Kiedy nabierał już dość drewna, znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Głosy pozostałych wydawały się teraz dziwnie odległe, jakby zawędrował do innej dżungli i wszystkich towarzyszy zostawił daleko z tyłu. Nagle uświadomił sobie z całą mocą, że jest sam, a od innych dzieli go kawał drogi.

I w tym samym momencie, bez żadnego uprzedzenia, dopadł go strach – zniecierpliwiony poczuł bowiem, że wcale nie jest sam. Tom wiedział, że w pobliżu nie ma nikogo ocalałego z katastrofy, ale jednocześnie miał pewność, że ktoś – albo coś – obserwuje go w tej chwili. Zrozumiał też, że zapuścił się za daleko od obozu. Wykazał się dokładnie taką lekkomyślnością, za jaką krytykował inne dzieciaki.

Powietrze wokół niego było gorące i parne, lecz mimo to Tom poczuł, jak po plecach przebiega mu lodowaty dreszcz. Zaciśnął pięści, a mięśnie jego nóg samoistnie się napięły, jakby przygotowywał się do biegu. Odkrył jednak, że nie może ruszyć się z miejsca – jego stopy zdawały się przyrośnięte do podłoża. Nie miał pewności, co właściwie mu grozi. Coś jednak czaiło się niedaleko, wyczuwał to.

Powoli obrócił się w prawo i niemal podskoczył, gdy kątem oka dojrzał kształt przycupnięty nad nim na pniu powalonego drzewa. Wyczuł grożące mu niebezpieczeństwo, zanim jeszcze uświadomił sobie, co to takiego. Zanim ujrzał wpatrujące się w niego złociste ślepia o skupionym i złowrogim wejrzeniu.

Oczy zaszły mu łzami, poczuł ucisk w żołądku, jednak jego mózg trzeźwo zidentyfikował zagrożenie: jaguar. W tym samym momencie Tom poczuł, jak rodzi się w nim rezygnacja, jakby coś kazało mu pogodzić się z losem. W ułamku sekundy uświadomił sobie, że to koniec. Pomyślał, że takie rzeczy nie spotykają innych ludzi i że najwyraźniej szczęście go opuściło.

Nadal chciał rzucić się do ucieczki, lecz nie mógł się poruszyć. Ta sama uparta część jego mózgu, która zidentyfikowała zagrożenie, odpowiadała teraz, że pod żadnym pozorem nie powinien odwracać się plecami do zwierzęcia i że tylko gdy będzie zwrócony do niego twarzą, ma szansę na przeżycie. Jaguar wydał mu się olbrzymi i przerażający.



Tom zrobił ostrożny krok do tyłu, licząc, że w ten sposób dosięgnie jednej z gałęzi, które rzucił na stos. Ruch był minimalny, jednak wystarczył, by wywołać reakcję jaguara – mięśnie wyraźnie widoczne pod jego skórą poruszyły się, a Tom w okamgnieniu zrozumiał, że to zły znak – zwierzę przygotowywało się do ataku.

Nie wiedział, jaki pożytek miałyby z gałęzi. Przeciwnik, z którym się mierzył, był zbyt wielki i silny. Intuicja podpowiadała mu, że jedyną sensowną strategią byłoby rzucić się na niego z wrzaskiem i liczyć, że wyprowadzi tym z równowagi wielkiego kota i sprowokuje go w ten sposób do zmiany planów. Rozumiał, że to właśnie musi zrobić, ale nie potrafił się do tego zmusić. Bał się, że taktyka okaże się zawodna i w rezultacie tylko przyspieszy jego śmierć.

Tymczasem on chciał żyć. Być może po raz pierwszy uświadomił sobie tak wyraźnie, że nie chce umierać. Wiedział jednak, że ma tylko jedną szansę. Plecy oblał mu lodowaty pot, a ciało na różne sposoby dawało mu znać, że to znikoma szansa.

I wtedy przypomniał sobie o telefonie – urządzeniu, które potrafiło być jaskrawe i głośne. Wsunął dłoń do kieszeni, wymacał komórkę i nacisnął przycisk, żeby ją uruchomić. Upłynęła kolejna sekunda, a jaguar wydał z siebie niski pomruk. Napięcie stawało się nie do zniesienia. Tom miał wrażenie, że wielki kot zaatakuje lada moment.

Nie odrywał wzroku od bestii, mimo że oczy mu łzawiły. Najchętniej zamrugałby, żeby pozbyć się łez, ale nie miał odwagi, bo to oznaczałoby, że na ułamek sekundy straci zwierzę z oczu.

W końcu poczuł, jak telefon wibruje mu w dłoni. Serce znów podskoczyło mu w piersi. Wyszarpnął komórkę z kieszeni i wyciągnął ją przed siebie w drżącej ręce. Nie do końca już kontrolował swoje ciało, dlatego obawiał się, że ją upuści.

Wyświetlacz zapalił się w końcu jasnym światłem, które w mroku dżungli wydało się wręcz oślepiająco ostre. W ciszy lasu rozległa się znajoma melodyjka. W tym momencie Tom wyczuł, że otwiera się przed nim szansa. Nie wiedział, czy była to zasługa światła, czy może dźwięku, jednak jaguar drgnął. Ruch był ledwo zauważalny, ale wyrażał niepewność, a może nawet lęk. W odpowiedzi ciało Toma

zalała kolejna fala adrenaliny.

Nie wahał się już ani chwili dłużej, tylko cisnął aparat z całej siły, celując w łeb jaguara. Wielki kot zeskoczył z drzewa, a Tom odruchowo zatoczył się do tyłu. Okazało się jednak, że bestia nie skierowała się na niego, lecz w przeciwnym kierunku. Widział, jak umyka z wielką gracją i szybkością, która tylko potwierdziła jego obawy, że w starciu z tym zwierzęciem nie miałby najmniejszych szans. W następnej sekundzie kot przedzierał się już przez krzewy daleko od niego. Telefon upadł za drzewem, nigdy nie dosięgnąwszy celu.

Na sekundę Tom znieruchomiał. Serce tłukło mu się w piersi. Potrzebował tej chwili, żeby ogarnąć umysłem to, co właśnie się wydarzyło – przeżył spotkanie z drapieżnikiem. Jego spojrzenie padło na stertę gałęzi i dopiero ten widok go otrzeźwił. Schylił się, porwał naręczce drewna z ziemi i puścił się biegiem. Miał wrażenie, że biegnie szybciej niż kiedykolwiek wcześniej w życiu. Nogi zdawały się nieść go same, czuł, jakby nic nie ważył. Paliło go w płucach, a mięśnie zdawały się naładowane prądem. Oglądając się za siebie, potknął się kilka razy. Nie dowierzał, że zagrożenie już minęło i że kot nie ruszy w pościg. Tom ani razu się jednak nie przewrócił, a po chwilowym przestoju podrywał się do jeszcze szybszego biegu.

Nie zwolnił, nawet gdy w końcu zobaczył przed sobą samolot, a po chwili również Joela i Alice. Para ewidentnie toczyła sprzeczkę, chociaż nie podnosili głosów. Joel zerknął w jego kierunku. Na jego twarzy odmalowała się ulga, że ma pretekst do zmiany tematu.

– Tom, świetna robota. Zanieś drewno na stos.

Tom zrównał się z nimi, jednak nadal nie mógł się zatrzymać. Obejrzał się przez ramię ostatni raz. Wypuścił z rąk gałęzie, które z trzaskiem upadły na ziemię.

– Ej, co jest...

– Zawołaj wszystkich z powrotem do obozu! – krzyknął Tom. Jego własny głos wydał mu się niepokojąco obcy: łamiący się i zachrypnięty. Słowa zdawały się palić go w gardle. Powtórzył: – Zawołaj wszystkich!

Alice patrzyła na niego zszokowana, być może nawet przestraszona.

– Chłopie, co ty gadasz?

– Przed chwilą widziałem jaguara. Dużego.

Na wspomnienie wielkości dzikiego kota Tom potrząsnął z niedowierzaniem głową. Niedawna bliskość zwierzęcia i jego przeszywający wzrok nawet teraz nie pozwalały mu się uspokoić.

– O Boże – jęknęła w końcu Alice. – Nic ci się nie stało?

Tom popatrzył na nią, jednak nie zdążył odpowiedzieć, bo ubiegł go Joel:

– Jesteś pewien? No wiesz, w dżungli...

Tom chwycił go za T-shirt.

– Rzuciłem w niego telefonem! Zawołaj wszystkich do obozu! Natychmiast!

– Dobra, spokojnie. Tak zrobię! – powiedział Joel. Tom puścił go i cofnął się o krok. Joel uniósł brew, jakby nie pochwalał braku opanowania Toma. Popatrzył w niebo i powiedział: – Zawołam ich, ale dajmy im jeszcze kilka minut. Pewnie i tak niedługo wszyscy zaczną się schodzić.

Alice popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Słyszałeś, co mówi Tom? Zawołaj ich w tej chwili!

– Albo ja to zrobię – mruknął Tom. Z każdą chwilą wzbierał w nim coraz większy gniew.

– Wzbudzisz tylko panikę. A wtedy łatwo może dojść do kolejnego wypadku – zauważył Joel. Alice potrząsnęła z irytacją głową, po czym ruszyła ku schodom. Pokonała je z gracją dorównującą zwinności jaguara, kiedy zeskakiwał z pnia drzewa. Joel skinął głową Tomowi. – Dopóki ludzie będą poruszać się po lesie w grupach, nikomu nic nie grozi. Nie chcę, żeby zaczęli panikować, być może bez powodu.

– Wiem, co widziałem.

– Ależ ja wcale nie podważam prawdziwości twoich słów. Chodzi mi tylko o to, że w dżungli łatwo się pomylić.

Tom miał wielką ochotę uderzyć tego gościa, ale nie chciał się do tego zniżyć. Zwłaszcza nie po tym, co go przed chwilą spotkało.

Schylił się w milczeniu, podniósł drewno i odszedł, zostawiając Joela samego.

Kilka osób wróciło już z lasu, między innymi George, który próbował ułożyć drewno na palenisku. Na widok Toma kiwnął do niego głową i spytał:

– Wszystko gra?

– Tak. Po prostu... Zresztą nieważne.

George nie wydawał się przekonany. Skierował spojrzenie na przyniesione przez Toma gałęzie.

– Chyba są suche. Mógłbym ich użyć.

– No pewnie – odparł Tom.

Zamiast na dużą stertę odłożył je tuż przy ogniu. Zauważył, że dłonie wciąż mu się trzęsą.

Następnie pomógł George'owi dorzucać do ognia. I dopiero wtedy zaczął się uspokajać. Nadal jednak łapał się na tym, że zerka ku drzewom, wypatrując powracających z lasu ludzi i obliczając na bieżąco, ilu osób nadal brakuje.

– Jak nazywa się ten chłopak, który naprawił toalety? – zagadnął George.

– Barney.

– O właśnie. Nie znam go, ale wydaje się w porządku.

Tom pomyślał o Barneyu i Shenie. I może pod wpływem grozy, której niedawno doświadczył, opanowało go teraz dziwne poczucie, że jest z nimi dwoma w osobliwy sposób związany. Ucieszył go również fakt, że ten chłopak, George, z którym do dzisiejszego dnia nie zamienił ani słowa, rozmawia z nim teraz jak z przyjacielem. Chociaż ten jeden raz poczuł się dobrze, że nie jest sam i nie musi polegać tylko na sobie.

– Prawdę mówiąc, też go nie znam, ale to spoko facet.

– Ano. – George się uśmiechnął, a wyraz jego twarzy zdawał się w tej chwili mówić, że coś sobie uświadomił: może to, że poza kręgiem byłych kolegów z drużyny futbolowej na świecie istnieją jeszcze inni ludzie, których warto poznać.

Chciał chyba powiedzieć coś jeszcze, ale rozmyślił się, gdy zobaczył nadchodzącego Joela. Ten również miał chyba coś do powiedzenia, ale nie zdążył, bo z lasu po prawej stronie doleciał cichy krzyk. Po kilku sekundach odpowiedziały mu śmiechy.

– Tylko się wygłupiają – wyjaśnił Joel, zwracając się do Toma.

Tom w milczeniu odwrócił się do ściany lasu. Zarówno krzyk, jak i śmiechy doleciały z tej samej strony, wydawało mu się jednak, że krzyknął ktoś znajdujący się dalej, a śmiali się ludzie bliżej obozowiska. Jakby na potwierdzenie jego domysłów, z cienia wyłonili się Chloe, Mila i Chris, którzy nieśli razem naręcze gałęzi.

– Porozmawiam z nimi – zapowiedział Joel, ruszając im na spotkanie.

Tom zastanawiał się, czy Joel wysnuł taki sam wniosek na temat miejsca, z którego dobiegał krzyk. Wydawał się podenerwowany. Zamienił parę słów z Chrisem, który odwrócił się ku ścianie lasu i zawołał, żeby wszyscy wracali do obozu. Jego mocny głos poniósł się daleko i na krótki moment zagłuszył chóralne dźwięki, którymi rozbrzmiewała dżungla.

## ROZDZIAŁ 15

Tom siedział przy ognisku i obserwował, jak zjawiają się kolejne osoby objuczone nazbieranym drewnem. Kiedy zapadła ciemność i z lasu wynurzyli się ostatni spóźnialscy, przeliczył wszystkich, żeby się upewnić, że nikt nie został w dżungli. Przypomniawszy sobie wtedy o pani Graham, która, martwa i przyczepiona pasami do fotela, zapewne nadal tkwiła w spalonym wraku po drugiej stronie wzgórza.

Wkrótce z samolotu wyszli Alice, Shen i Barney, żeby zająć się przy ognisku przyrządzaniem jedzenia. Oczekujący na kolację ludzie sekundowali ich wysiłkom, zawzięcie dyskutując, opowiadając niezbyt zabawne dowcipy i dzieląc się z kucharzami „przydatnymi” radami.

Gwar ucichł tylko na krótko, gdy wszyscy skupili się na posiłku. Jednak nawet wtedy dawało się wyczuć dziwną ekscytację, jakby dokładnie czegoś takiego oczekiwali, kiedy zapisali się na tę wycieczkę. Zarazem jednak Tom dostrzegał pewien rozłam w nastrojach – ludzie, którzy planowali razem z nim wyruszyć z obozu, zachowywali się ciszej i w sposób bardziej stonowany. Dotyczyło to zwłaszcza George’a, Alice, Lary i...

Nagle tknęło go złe przeczucie. Powiódł spojrzeniem po ludziach zgromadzonych wokół ogniska. Ich twarze częściowo ginęły w mroku. Tom potrząsnął gniewnie głową, wściekły na siebie, a przede wszystkim na Joela, że wcześniej tego nie zauważył.

– Gdzie jest Naomi?

– Naomi? – zdziwił się Joel. Próbował mówić pewnym siebie tonem, ale było jasne, że nie wie, o kogo chodzi. – Ktoś ją widział?

– My ją widzieliśmy, prawda, Chris? – powiedziała Chloe. – Chodziła po lesie niedaleko nas.

– Tak, ale zapuściła się głębiej. Może zgubiła drogę.

Po chwili wszyscy zaczęli mówić naraz. Przerwał im Joel:

– Cisza. Musimy się zorganizować i zacząć szukać.

– Nie – powiedział Tom, a wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. Wstał i oznajmił: – Ja pójdę.

Joel również wstał. Jedna połowa jego twarzy ginęła w cieniu, a drugą oświetlały tańczące płomienie. Przyprawiającym o mdłości ojcowskim tonem powiedział:

– Tom, chłopie, to nie twoja wina.

Tom po raz kolejny poczuł, że ma ochotę mu przywalić.

– Nie, to twoja wina. Ale i tak zamierzam jej poszukać.

– O czym on mówi? – zainteresował się Nick.

Zanim Joel miał szansę odpowiedzieć, George wstał i powiedział:

– Ja pójdę z tobą.

Po chwili z przeciwnej strony ogniska rozległ się dziewczęcy głos.

– Ja też. – Osoba ta wstała i wtedy Tom zorientował się, że to Kate. Tym razem nie zamierzała pozwolić Joelowi, by pokrzyżował jej plany. – W zespole poszukiwawczym powinno znaleźć się miejsce dla dziewczyny. Kiedyś grywałam z Naomi w tenisa.

– W porządku – rzekł Joel.

Cała trójka została wyposażona w latarki. Każdy wybrał sobie po jednym patyku ze sterty. Joel tymczasem bez przerwy wydawał im polecenia, jakby wyruszali w głąb lasu w jego imieniu.

Tom nie słuchał jego paplaniny. Podejrzewał, że George i Kate również nie zwracają na niego uwagi. Joel zamilkł dopiero, gdy George skierował latarkę ku drzewom i stwierdził:

– Krzyk dobiegł z tamtej strony.

Kiedy ruszyli, usłyszeli za plecami, jak jedna z dziewcząt pyta:

– Ale jaki krzyk? Kto go słyszał?

Tom koncentrował się na wąskim pasie ziemi przed sobą, oświetlonym snopem z latarki, jednak usłyszał, jak Alice mówi:

– No śmiało, Joel, opowiedz im o krzyku.

Ich niewielka grupa poszukiwawcza ruszyła gęsiego. Prowadził Tom, a pochód zamykał George. Ostrożnie posuwali się ścieżką, która pod osłoną nocy wydawała się jeszcze mniej widoczna pośród bujnej roślinności. Kate spytała:

– O czym mówiła Alice, kiedy wychodziliśmy z obozu?

Tom, nie odrywając oczu od podłoża, odparł:

– Kiedy zbierałem drewno, natknąłem się na jaguara. – Przystanął i drągiem odgarnął pajęczynę rozwieszoną w poprzek ścieżki. – Rzuciłem w niego telefonem i uciekł. Jak wróciłem, kazałem Joelowi zawołać wszystkich z powrotem do obozu.

– A on cię nie posłuchał?

– Nie od razu. No a potem usłyszeliśmy krzyk.

George wymruczał jakieś pełne wściekłości i furii przekleństwo.

– O Boże – jęknęła Kate, być może skupiając się raczej na tym, co mogło spotkać Naomi, niż na przyczynach, jakie do tego doprowadziły. Przyczynach, które wydawały się tak oczywiste, że nie trzeba było nawet nazywać ich po imieniu. – Dlaczego w ogóle ktokolwiek go słucha?

– Bo tylko on dużo mówi – odezwał się George. – Tom powinien być przywódcą.

Słowa George'a oczywiście mu schlebiały, zwłaszcza że poznali się dopiero przed paroma godzinami. Zarazem jednak czuł się na siebie wściekły, bo przecież mógł sam wszystkich przywołać, ale zamiast tego zdał się na Joela. A teraz wszystko wskazywało na to, że na skutek tego zaniechania coś złego spotkało Naomi.

– Nie sądzę, żebyśmy potrzebowali przywódcy. Jeśli jednak inni uważają, że Joel pasuje do tej roli, nie mam zamiaru się z nimi spierać.

– Ja w sumie też mogę to znieść jeszcze przez jeden dzień.

Na lekcjach angielskiego Kate zawsze dzieliła się z klasą celnymi spostrzeżeniami. Nocą w sercu dżungli również zachowała trzeźwość umysłu i natychmiast zareagowała na komentarz George'a:

– A co ma się stać pojutrze?



George milczał, może w obawie, że powiedział już i tak za dużo.

– Wyruszamy z obozu – wyjaśnił Tom.

Ledwie zdążył skończyć zdanie, a Kate stwierdziła z entuzjazmem:

– Idę z wami. Emma też. Same i tak miałyśmy podobny plan, ale wolałybyśmy zabrać się z wami.

– Dobra. – Wyglądało na to, że dziewczyny i tak zamierzają opuścić obóz, a ponieważ wcześniej Kate zgłosiła się na ochotnika do sprawdzenia wraku samolotu, a teraz z własnej woli ruszyła na poszukiwania Naomi, Tom uznał, że przyda mu się ktoś taki w drużynie. – Myślę, że wyruszymy pojutrze o świcie.

– Super. A jaki macie plan?

– Nie napalaj się tak. Niedaleko stąd przepływa rzeka. Chcemy się tam skierować. W samolocie znajdują się dwie tratwy ratunkowe. Zwodujemy je i popłyniemy z prądem.

– Brzmi całkiem rozsądnie. Lepsze to niż siedzenie beczynnie na miejscu w oczekiwaniu na ratunek, który zapewne nie nadejdzie.

– Możliwe.

Co prawda połowa ocalonych zdecydowała już, że wyruszy z nim, jednak Tom chciał poprosić Kate, żeby zachowała plan w tajemnicy. Zanim zdążył otworzyć usta, snop jego latarki padł na coś leżącego na ziemi. Głos uwiązał mu w gardle. Zatrzymał się.

Kate wpadła mu w ciemności na plecy. Zatoczył się do przodu.

– O Boże, przepraszam – jęknęła.

– To moja wina.

– Co to?

Tom odsunął się na bok i nakierował latarkę na ścieżkę, tak żeby Kate również mogła zobaczyć leżący przed nimi przedmiot.

Był to biały adidas.

## ROZDZIAŁ 16

Kate wyminęła Toma, przykucnęła i podniosła but.

Po chwili uniosła na nich spojrzenie. Na jej twarzy odmalowywało się zdumienie i przerażenie. W świetle latarek wyglądała jak zwierzę na szosie oświetlone reflektorami nadjeżdżającego samochodu.

– To jej but – szepnęła. A w następnej chwili, nie czekając na ich odpowiedź, zawołała: – Naomi!

Tom odniósł wrażenie, że otaczająca ich ściana dźwięku zachwiała się i zafalowała, jak gdyby stworzenia wsłuchały się w ten nowy dla nich głos i chciały się do niego dostosować. W następnej sekundzie dźwięki odzyskały zwyczajną intensywność. Z głębi dżungli nie odpowiedział im żaden krzyk.

Kawałek dalej od miejsca, w którym kucnęła Kate z adidasem w ręce, Tom zauważył trochę większych i mniejszych gałęzi rozsypanych na ścieżce. Tak więc to w tym miejscu zwierzę zaatakowało. Sądząc po skąpej ilości drewna, Tom domyślił się, że Naomi zapewne przyszła tu w nadziei, że znajdzie go więcej. Prawdopodobnie zapuszczała się coraz głębiej w dżunglę, nie zdając sobie sprawy z grożącego jej niebezpieczeństwa.

Wróciło do niego wspomnienie tamtej chwili, gdy oboje przyznali przed sobą, że w tej grupie są outsiderami. Była to prawda, lecz zarazem fakt ten kosztował Naomi życie. Tom przypomniał sobie, jak obiecał, że nie zostawi jej samej. Poczul się teraz jak kłamca.

George skierował latarkę na prawo, gdzie podszycie wydawało się spłaszczone.

– Kot powlókł ją chyba tędy.

Kate zbliżyła się do tego miejsca i przez chwilę przypatrywała się zieleni. Wreszcie ujęła szeroki liść w dwa palce i poświeciła na niego latarką.

– Przeszła już trochę, ale to krew.

Coś w jej sposobie zachowania zdradzało, że czuła się pewnie w leśnym środowisku. To samo mówiła zresztą Emma, gdy Kate zaproponowała, że pójdzie poszukać wraku.

– Kate, znasz się na tym?

– Trochę. To zasługa mojego taty.

– Myślałem, że twój ojciec jest prawnikiem.

Tom wiedział o tym, bo od śmierci rodziców to właśnie firma ojca Kate zajmowała się jego urzędowymi sprawami. Ta myśl wydała mu się uderzająca: okazywało się, że subtelne nici łączą go z ludźmi, którzy do niedawna wydawali mu się zupełnie obcy.

– To prawda, ale w młodości dużo czasu spędzał w lesie. Latem zazwyczaj wyjeżdżaliśmy do domku letniskowego, który mój dziadek zbudował w Maine. W ogóle najczęściej wakacje spędzaliśmy na łonie przyrody. Żaden ze mnie ekspert, ale umiem poruszać się po lesie.

– Lepiej się na tym znasz niż my wszyscy – zauważył George.

– Nie czuję się jak specjalistka, w każdym razie nie w tej chwili – przyznała, zerkając niepewnie na buta.

George zwrócił się znów do Toma:

– Myślisz, że to sprawka tego jaguara, którego spotkałeś?

– Tego albo innego, ale wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że to ten sam. Chyba uciekł właśnie w tę stronę, kiedy go spłoszyłem.

Mimo że Kate znała się na dziczy – a może właśnie z tego powodu – wstrząsnął nią dreszcz.

– Straszne – jęknęła.

– Czytałem o tych dzikich kotach w zeszłym tygodniu – powiedział George. – Zawsze atakują od tyłu. Rzucają się na szyję ofiary, żeby ją zabić. Wystarczy jedno ugryzienie. Wiem, że to marna pociecha, ale przynajmniej Naomi nie cierpiała.

– Ale to zwierzę może być teraz całkiem niedaleko. Rozrywa jej ciało na strzępy. Pożera ją. To takie straszne. – Kate z każdą chwilą mówiła coraz bardziej przejętym głosem. Pobrzmiwała w nim wybuchowa mieszanka złości

i wzburzenia. – My tu sobie stoimy i dyskutujemy, a Naomi nie żyje!

– Kate, nie ma innego wyjścia. Możemy albo zachować spokój, albo pozwolić, by emocje wzięły górę.

– Wiem, wiem – przyznała zrezygnowanym tonem. – Tylko że...

Nie dokończyła. Zapadło milczenie. A dżungla zdawała się zamykać wokół nich.

Tom znowu przypomniał sobie moment, gdy Naomi spytała, czy może z nimi wyruszyć. To, jaka wydała mu się wtedy krucha i przestraszona. Przez myśl przeszło mu teraz, że być może dziewczyna podświadomie wyczuwała, że spotka ją coś złego, i właśnie dlatego zależało jej, żeby razem z nimi uciec z tego miejsca.

A może wszyscy oni na poziomie znacznie głębszym od świadomości doskonale wiedzieli, kiedy i w jaki sposób spotka ich śmierć. Ta myśl sprawiła, że Tom najchętniej zajrzałby teraz każdemu z towarzyszy głęboko w oczy, w nadziei, że na ich dnie odnajdzie tę wiedzę. I sobie też, w tym samym celu.

A jeśli faktycznie tak było, to jaguar prawdopodobnie dojrzał to coś w oczach Toma i zrozumiał w sposób dostępny jedynie dla dzikiego zwierzęcia, że temu człowiekowi nie jest pisane stać się jego ofiarą. Że być może ich przeznaczeniem było spotkać się w tej dżungli, jednak spotkanie to nie powinno skończyć się śmiercią żadnego z nich.

Z drugiej strony może jaguar po prostu się przestraszył, a to dało Tomowi wystarczająco dużo czasu, żeby rzucić w niego telefonem.

Kate popatrzyła na niego i spytała:

– O czym myślisz?

Tom potrząsnął głową i wzruszył ramionami, choć nie miał pewności, czy w mroku dżungli te gesty w ogóle były widoczne.

– Zastanawiałem się, dlaczego jaguar mnie nie zaatakował, mimo że przecież miał okazję. Może te gadki o przeznaczeniu to prawda. No wiecie, może po prostu nie wybiła jeszcze moja godzina.

Jak tylko wypowiedział te słowa, uświadomił sobie, że tego typu filozoficzne dyskusje prowadzili nieraz na lekcjach angielskiego. Kate zareagowała adekwatnie:

– Nie. To by znaczyło, że Naomi miała umrzeć tej nocy, a ja jestem przekonana,

że to nieprawda. – Mówiła drżącym od emocji głosem. Pod maską spokoju przez cały czas buzował gniew. – Naomi zginęła z tego samego powodu, co Toby: ponieważ Joel jest skończonym kretynem.

Tom się uśmiechnął. Wesołość wzbudziły w nim nie tyle jej słowa, co sam fakt ich rozmowy. Na lekcjach angielskiego zachodził nieraz w głowę, do czego w prawdziwym życiu mogą im się przydać tego typu dyskusje. A tu proszę, znajdowali się w samym sercu dżungli, próbując dociec, w jaki sposób zginęła ich koleżanka z klasy, a przy okazji toczyli taki spór.

– Uważam, że Tom ma rację – wtrącił się George. – Ostatnio sporo rozmyślałem o powodach, dla których odszedłem z drużyny futbolowej.

– Nie wiedziałam o tym – westchnęła Kate. – To dlatego nie siedziałeś z nimi w samolocie.

– Właśnie. Trener powtarzał mi, że to najgorszy moment na odejście. Namawiał, żebym został jeszcze przez jakiś czas. A ja nie umiałem mu w żaden sensowny sposób wyjaśnić, dlaczego chcę odejść. Wiedziałem jednak, że muszę to zrobić jak najszybciej. Może zatem po prostu nie było mi przeznaczone zginąć w tej katastrofie. – Po chwili dodał jeszcze, zwracając się do Toma: – Ale Kate też nie można odmówić racji. Naomi zginęła z winy Joela.

– Słuchajcie, nie przepadam za tym gościem. Ale mimo to nie macie prawa go obwiniać. Ja też mogłem zwołać wszystkich do obozu, a jednak tego nie zrobiłem. A nawet gdybym to zrobił, to wcale nie musiało nic zmienić. Gdyby pilot nie rozbił samolotu, nie znaleźlibyśmy się tutaj. Gdyby Naomi przyjaźniła się z kimś z klasy, nie poszłaby sama po drewno. – Kate pochyliła głowę, a Tom przypomniał sobie, że przed laty grywała z Naomi w tenisa. Niewykluczone, że kiedyś się przyjaźniły. – Nikt nie jest winny jej śmierci. Nie chcę powiedzieć, że wierzę w przeznaczenie, bo sam nie wiem, ale pomyślcie o wszystkich tych drobnych decyzjach, które nieustannie podejmujemy. Krok w lewo lub w prawo może przesądzić o tym, czy zginiecie, czy będziecie żyć. George odszedł z drużyny, Chris rozzłościł Olivię i musiał się przesiąść, inny chłopak przeżył katastrofę samolotu, ale niedługo później i tak umarł, bo upadł na jadowitego węża. O wszystkim decyduje

przypadek, dlatego nie wolno nam winą obarczać Joela ani nikogo innego.

Kate westchnęła ciężko, po czym odgoniła ręką owada, którego Tom nie mógł nawet dostrzec.

– Może masz rację – powiedziała. – Ale nasze decyzje mają znaczenie. I dlatego liczy się również to, kto je za nas podejmuje.

– Tak! Dlatego to Tom powinien podejmować decyzje w naszej grupie – wtrącił George.

– Powariowaliście? Przecież w ogóle mnie nie znacie.

– Ja cię znam – zapewniła Kate.

Zamierzał już użyć argumentu, że rok niezbyt wyrafinowanych dyskusji o literaturze nie wystarcza, aby kogoś poznać, ale ubiegł go George:

– Ja też cię znam wystarczająco dobrze.

Nagle nocną ciszę przecięło wołanie Chrisa:

– Tom!

Nie widział w tej chwili twarzy Kate, ale z jej głosu wywnioskował, że dziewczyna się uśmiecha.

– No widzisz, nawet ten debil uważa cię za przywódcę.

– Mogą sobie wybierać przywódców, jeśli ich to bawi. Ale kiedy wyruszymy, będziemy zespołem. I tyle.

– Jak sobie życzysz, szefie – powiedział wesoło George i ruszył ścieżką z powrotem w stronę obozu.

Tom się roześmiał.

– Idźcie przodem – zaproponował, przepuszczając Kate.

Tom zamykał teraz pochód. Przez cały czas niemal fizycznie wyczuwał obecność mrocznej dżungli za plecami. Jeden jaguar mógł zaspokoić apetyt, ale w lesie nadal czały się niezliczone inne stworzenia, którym niewątpliwie doskwierał głód. Pogrążona w ciemności dżungla była śmiertelnie niebezpiecznym miejscem. Tom pomyślał, że to kolejny powód, dla którego nie chciałby zamienić się miejscami z Joelem. Niezależnie od tego, jakie decyzje podejmie przywódca, było mało prawdopodobne, by Naomi miała zostać ostatnią ofiarą tego lasu.

## ROZDZIAŁ 17

**P**odczas drogi powrotnej do obozu ponownie usłyszeli wołanie Chrisa. Nikomu nie chciało się odpowiadać na jego krzyki. Kiedy w końcu wynurzyli się spomiędzy drzew, stał niedaleko ogniska. Jego ciemna sylwetka odcinająca się na tle ognia wydawała się jeszcze większa niż zwykle.

Kiedy światło latarek George'a i Kate padło na jego twarz, malował się na niej autentyczny niepokój.

– Nie znaleźliście jej?

– Znaleźliśmy jej buta – odparła Kate. – I krew.

– I widzieliśmy miejsce, w którym coś na nią skoczyło – dodał George.

Chris potrząsnął głową, wyraźnie zmartwiony. Być może obwiniał się za śmierć Naomi, ponieważ widział ją jako ostatni. Po chwili od strony ogniska dobiegła wrzawa podniesionych, poirytowanych głosów. Niektórzy powtarzali, że nadal musi istnieć sposób, by pomóc Naomi i że to niemożliwe, że dziewczyna nie żyje. Na ironię losu zakrawał fakt, że mówili to ci sami ludzie, którzy nawet nie zauważyli jej zniknięcia. Tom sądził, że Joel w swoim stylu przywróci porządek, on jednak zajęty był rozmową z Nickiem i Chloe, a ich głosy niknęły w ogólnym hałasie.

Kate usiadła obok Emmy i obie dziewczyny momentalnie wdały się w rozmowę. Kate ocierała łzy, Emma objęła ją ramieniem.

Tom poszukał Alice. Gdy tylko usiadł przy niej, dziewczyna powiedziała:

– Po tym, jak poszliście do lasu, zrobiło się trochę nerwowo. – Kiedy spojrzał na nią pytająco, dodała: – Chciałam po prostu, żeby Joel powiedział, co naprawdę się stało.

– I co? Zrobił to?

Alice nagle spoważniała.

– Tak, wziął winę na siebie. A tak poza tym to Jess i Freddie też chcieliby się z nami zabrać. Nie masz nic przeciwko?

Tom poszukał spojrzeniem tej dwójki. Siedzieli po drugiej stronie ognia. Nie znał ich, wiedział tylko, że od roku są parą. Oboje wyglądali nieco dziwnie, mieli odrobinę nieregularne rysy, ale pasowali do siebie. Trzymali się teraz za ręce i spoglądali na swoje splecione dłonie, jakby umieli komunikować się ze sobą za pośrednictwem dotyku. Tom pomyślał, że trochę im zazdrości tej dyskretnej bliskości, tego, że jako para wydawali się kompletni.

– Nie mam. Zresztą takie decyzje i tak nie należą do mnie.

– Wiesz już, kiedy chcesz wyruszyć?

– Pojutrze o świcie – stwierdził.

– Świetnie. Liczyłam, że właśnie wtedy. Trzecia noc tutaj to mogłoby być za dużo.

Joel odchrząknął i zaczął:

– Słuchajcie. – Nie podnosząc się z ziemi, odczekał, aż ludzie się uciszą, i rozpoczął przemowę. – Przede wszystkim chciałbym was przeprosić. – Mówił nieco mniej pewnym głosem niż zazwyczaj. – Wiedziałem, że musimy się zorganizować, i wziąłem na siebie funkcję przywódcy. Próbowałem po prostu działać w najlepszym interesie nas wszystkich i nadal nie wiem, co powinienem był zrobić inaczej. Ale najwyraźniej niektórzy z was uważają, że straciłem z oczu nasz cel, co dwie osoby przypłaciły życiem. Jeżeli faktycznie uważacie, że to moja wina, gotów jestem wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za to, co się stało. – Odpowiedziała mu chóralna niezgoda na to, co sugerował. Ludzie zapewniali, że Joel nie jest winny. On jednak puścił wszystkie te głosy mimo uszu. – Wiem, że zdaniem niektórych nie ma potrzeby, by ktokolwiek obejmował przywództwo nad grupą. Nie zgadzam się z tym, ale zdaję sobie sprawę, że być może nie jestem właściwą osobą na właściwym miejscu. Jeżeli zatem ktoś chce mnie zastąpić...

Tym razem przerwał mu jeszcze bardziej ożywiony chór. Szczególnie żarliwie w obronie Joela stawała Chloe.

Tom natychmiast przejrzał na wylot zamiary Joela – przeprosiny i propozycja



zrzeczenia się funkcji miały na celu tylko i wyłącznie zjednanie mu sympatii i poparcia, a zarazem zamknięcie ust ewentualnym krytykom jego posunięć w przyszłości. Ta przemowa po części adresowana była bezpośrednio do Toma. Miał wrażenie, że wszyscy to wyczuwali i czekali na jego reakcję.

Żeby uciszyć wrzawę, Joel uniósł ręce w geście, którego nie powstydziliby się wielki orator.

– W porządku. Pamiętajcie jednak, że moja oferta pozostaje aktualna. Jeśli komuś nie spodobały się moje decyzje, proszę, żeby mnie o tym poinformował. Lepiej przedyskutować wszystko razem niż doprowadzić do następnych wypadków. Dobrze wiecie, że zrobię wszystko co w mojej mocy, jednak sam nie dam rady. Musimy wzajemnie sobie pomagać. – Ponownie odpowiedziały mu głosy zachęty. Joel skinął głową, chłonąc poparcie swoich popleczników. – Świetnie. Jeśli ktoś ma coś do powiedzenia, jakieś pytania, teraz jest dobry moment, żeby je zadać.

Zapadła cisza, a Tom znowu wyczuł na sobie spojrzenia. Ludzie nie gapili się na niego otwarcie, jednak co parę chwil ktoś zerkał wyczekująco w jego kierunku.

Cisza stawała się nie do wytrzymania. W końcu ją przerwał:

– Mam pytanie. Właściwie dwa. – Teraz już wszyscy utkwili w nim wzrok. Czekali ich jednak rozczarowanie, ponieważ wiedział już, jak manipulować Joelem. Kluczem było pochlebstwo. W ten sposób łatwo było sprowokować Joela do zrobienia tego, czego oczekiwał pochlebca. Tom podpatrzył tę sztuczkę u Alice. – Zastanawiam się, gdzie będziemy spać. I jak dopilnujemy, żeby ogień nie zgasł.

Joel skinął głową, jakby na znak, że to były rozsądne pytania.

– Cieszę się, że o to pytasz. Już się nad tym zastanawiałem. Wiem, że może to być niezbyt wygodne, ale uważam, że większość z nas powinna spędzić tę noc na fotelach w kabinie.

Ludzie przyjęli tę propozycję z tym większym zrozumieniem, że teraz wszyscy mieli już świadomość, że w pobliżu czają się dzikie zwierzęta gotowe ich zabić.

– Prześpię się na podłodze w kuchni – zapowiedział Shen.

– Ja też – dorzucił Barney.

– Świetnie. W ten sposób zwolni się kilka foteli i będzie więcej miejsca – ucieszył się Joel. Tom się uśmiechnął. Domyślał się, co stoi za propozycją Shena i Barneya: chcieli po prostu mieć pewność, że pod osłoną nocy nikt nie podkradnie zapasów. – Potrzebujemy też osób, które przypilnują ognia. Chyba najlepiej sprawdzą się grupy dwu-, trzyosobowe.

– Chętnie obejmę pierwszą wachtę – zaoferowała Alice. – Ze mnie i tak jest nocny marek. Tom, też się piszesz?

Odpowiedział jej skinieniem głowy.

– No to ja też tu zostanę – zaproponował George.

– Doskonale. W takim razie popilnujecie ognia przez kilka pierwszych godzin. Potem zmienią was Chris, Chloe i Nick. Ostatnia wachta będzie należeć do mnie, Mili i Sandeepa. – Joel wstał i dodał: – To był ciężki dzień, ale daliśmy sobie radę. Mam dobre przeczucia, jeśli chodzi o jutro.

Chris pokiwał głową i stwierdził:

– Tak, jutro nadejdzie pomoc. Czuję to.

Tom uśmiechnął się pod nosem, czując na sobie spojrzenia dziewięciorga dzieciaków, które zdecydowały się wyruszyć razem z nim. Wszyscy oni domyślali się, że proroczy dar Chrisa zapewne już go opuścił.

## ROZDZIAŁ 18

Niemal natychmiast zaczęto szykować się do snu. I niemal natychmiast zapanował bałagan. Ktoś wspomniał o moskitierach, a Oscar przypomniał sobie, że widział coś takiego, gdy przetrząsał bagaże, nie domyślił się jednak wtedy, że mogą się przydać. A teraz nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je widział.

Zaczęto się za nimi rozglądać przy świetle latarek. Co chwilę rozlegały się okrzyki i wrzaski, gdy ludzie natrafiali na przeróżne przerażające stwory, które okazywały się pszczołami, ćmami, w jednym przypadku zaś nietoperzem. W końcu znaleźli moskitiery i próbowali rozpiąć je w poprzek rozdarcia w zbiorniku paliwowym.

Początkowe nieudane próby wywoływały salwy śmiechu. Po pewnym czasie pojawiła się frustracja. Wreszcie Alice zaproponowała:

– Poproście Shena i Barneya o pomoc.

– Kto to jest Barney? – zdziwił się Nick.

– Ten malec, kujon – odpowiedział Chris. Spodziewał się chyba, że taki opis spotka się ze sprzeciwem Alice, dlatego szybko dodał: – Jest w porządku.

Zawołano Shena i Barneya, którzy przyszli z kuchni. Tom zauważył, że w tym samym czasie na straży w kuchni zmieniała ich Alice. Chodziło o to, żeby dopilnować, by nikt nie miał dostępu do tego pomieszczenia. W ciągu dziesięciu minut obaj chłopcy zdołali rozpiąć trzy moskitiery na zbiorniku paliwowym.

Ludzie zaczęli mościć się w kabinie, a po chwili na zewnątrz pozostali wyłącznie ochotnicy z pierwszej wachty oraz Joel, który na stojąco przypatrywał się krzątaniu widocznej za moskitierami. Po chwili zwrócił się do Toma, Alice i George'a:

– Dzięki.

Tom ani Alice nie zareagowali. Z odpowiedzią pospieszył George:

– Dobrej nocy.

Joel skinął głową.

– Jasne, ale gdyby pojawił się jakiś problem, obudźcie mnie.

– Damy sobie radę – zapewniła go Alice.

Chłopak znowu kiwnął głową, a Tomowi zrobiło się go niemal żal: było jasne, że Joel nie ma bladego pojęcia, jak sobie z nimi poradzić.

– No to dobranoc – rzucił na odchodnym.

Chwilę później dołączył do nich Shen.

– Barney mocuje dwie moskitiery na tylnych drzwiach. Ale rozwiesi je w taki sposób, żebyście mogli dostać się do środka.

– Shen, jeśli kiedyś dojdzie do apokalipsy zombie, chcę mieć ciebie i Barneya w zespole. – Alice się uśmiechnęła.

Tom popatrzył na nią.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy. Ale podpisuję się pod tym, co powiedziała Alice.

– No wiesz, apokalipsa zombie.

– Tak, Alice. Znam znaczenie obu tych słów, ale...

George wybuchnął śmiechem. Nie było jasne, co go tak rozśmieszyło – niewiedza Toma czy może sam fakt, że w ogóle rozmawiali teraz na taki temat.

Po chwili z góry dobiegł ich karcący głos Chrisa.

– Widzę, że przynajmniej niektórzy dobrze się bawią.

Teraz już wszyscy pokładali się ze śmiechu. Po chwili Shen się pożegnał i wrócił do kabiny. Pozostała trójka usiadła wtedy w milczeniu. Nasłuchiwali stopniowo cichnących głosów dobiegających z góry. Po chwili ciszę mąciło już tylko trzaskanie ognia i niemilkący nawet na sekundę hałas dobiegający z dżungli. Niekiedy słyhać było wyraźniejsze trzaski gałęzi i podszycia, gdy nieopodal przemykało jakieś zwierzę.

Przerwali milczenie dopiero, gdy od strony dżungli dobiegł ich szczególnie głośny szelest liści oraz wyraźny pomruk.

– Co to było? – szepnęła Alice.

George nakierował światło latarki na drzewa, ale osiągnął tylko tyle, że ściana dżungli wydała im się jeszcze bardziej zbita.

– Może jakiś rodzaj dzikiej świni. Jak one się nazywają? Pekari? – zastanowił się.

– Tak, chyba czytałam o nich.

Tom się uśmiechnął. Przed wylotem uczniów zachęcano do przyswojenia na własną rękę informacji na temat Kostaryki. I większość faktycznie posiadała pewną wiedzę na temat tego miejsca. Co prawda teraz znajdowali się nie tam, gdzie zamierzali trafić, jednak flora i fauna zapewne były zbliżone i równie niebezpieczne. Ponieważ Tom nie miał wcale ochoty na tę podróż do tropików, jego wiedza ograniczała się do informacji, jakie zaczerpnął z filmów przyrodniczych obejrzanych w telewizji.

George i Alice cicho podjęli przerwana rozmowę o różnych osobach, z których część zginęła na początku tego długiego dnia. Tom ze zdziwieniem odkrył, że rozmawiają niczym starzy znajomi, mimo że sprawiali wrażenie ludzi, których nic ze sobą nie łączyło. Przypomniał sobie jednak, że Alice przez krótki czas spotykała się z Ethanem, który był zawodnikiem drużyny futbolowej. Zapewne dlatego znała George'a.

Po około dwudziestu minutach Alice powiedziała:

– Przepraszam, Tom. Rozmawiamy o ludziach, których chyba nie znasz.

– Nie ma sprawy.

George popatrzył na kabinę samolotu, górującą nad nimi w ciemności. Dobiegało z niej czyjeś pochrapywanie, ledwo słyszalne pośród wszechobecnego hałasu dżungli.

– Świetnie sobie z nim poradziłeś – odezwał się po chwili. – Joel próbował cię sprowokować.

Alice przyznała mu rację kiwnięciem głowy. Tom powiedział jednak:

– To wszystko jest takie głupie. Dobrze, że będziemy musieli się z tym użerać jeszcze tylko przez jeden dzień.

– Kiedy zamierzasz im powiedzieć?

– Że wyruszamy? – spytał. – Jutro późnym popołudniem, zanim się ściemni. Wszyscy muszą mieć czas, żeby się przygotować, skoro mamy wyruszyć o świcie.

Alice wstała, podniosła z ziemi gałąź i wrzuciła ją do ognia.

– Ciekawe, jak on to przyjmie – zastanowiła się.

Tom miał świadomość tego, że ponad połowa ocalonych dołączyła już do jego grupy. Godził się na to i wręcz udawał, że tak naprawdę to nie ma nic wspólnego z nim. Teraz uprzytomnił sobie, że jutrzejszy nieunikniony konflikt zażegnać będzie można tylko w jeden sposób.

– Słuchajcie, skoro wszyscy oni chcą z nami iść, nie możemy ich powstrzymać. Tak samo nic nie może nas powstrzymać przed wyruszeniem. Pozostali mogą się z tym nie zgadzać, ale my i tak wyruszymy. Więc koniec końców będą musieli wybrać: idą z nami albo zostają tutaj i czekają na nadejście pomocy.

Odniosł wrażenie, że jego słowa przyniosły Alice ulgę. Chciał przypomnieć jej znowu, że te decyzje nie należą do niego, ponieważ nie czuje się przywódcą. Ona jednak go uprzedziła:

– Mam nadzieję, że wszyscy postanowią zabrać się z nami. Nie będę umiała spojrzeć w oczy rodzicom Chrisa, jeśli... – Wykonała obiema dłońmi gest, jakby chciała zaczesać włosy do tyłu. Tom wielokrotnie widywał, jak to robi, teraz jednak zapomniała chyba, że ma krótkie włosy. – Z drugiej strony wiem, że nie mogę siedzieć tu beczynn timer i czekać. Bez przerwy myślę o moich rodzicach i moim młodszym bracie. O tym, jak ciężko musi im teraz być.

– Ja też – wtrącił się George. Nagle spojrział na nią ze zdumieniem. – Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. Jesteś przecież siostrą Harry’ego Dysarta! On gra w baseballa z moim bratem.

Alice uśmiechnęła się na dźwięk imienia brata. Z jakiegoś powodu na ten widok Tom poczuł dziwną pustkę w środku.

– Wiem, Dylan był u nas w domu kilka razy. Uroczy z niego dzieciak.

– W niewielkich dawkach owszem. Ale w sumie tak, jest w porządku. – George wpatrywał się przez chwilę w ogień. Wreszcie podniósł spojrzenie na Toma. – Masz rodzeństwo?

Tom zauważył kątem oka, że Alice zmieszała się i spochmurniała.

– Nie, jestem jedynakiem – wyjaśnił. – Moi rodzice zginęli, kiedy miałem dziewięć lat. I dlatego...

– Wybacz.

– Nie ma sprawy, przecież nie mogłeś o tym wiedzieć. Poza tym teraz mam łatwiej, bo przynajmniej nie muszę się przejmować, że ktoś się o mnie zamartwia. – Pomyślał o Julii i poczuł potrzebę, żeby o niej też wspomnieć. – Mam opiekunkę, Julię, ale ona przebywa teraz w ośrodku jogi we Włoszech i pewnie nie ma nawet pojęcia, że nasz samolot zaginął.

– Widziałam ją raz na zebraniu rodziców – powiedziała z uśmiechem Alice. – W sumie to widziałam ją kilka razy. Wiem, jak to zabrzmiało, ale zawsze jej zazdrościłam. Wydawała się taka wyluzowana. I mówisz, że poleciała na wakacje do ośrodka jogi? Przecież to niesamowite. Kto robi takie rzeczy?

– Julia – przyznał ze śmiechem Tom. – Jasne, wyluzowana z niej babka, tylko że... bardziej przypomina wymagającą wiele uwagi przyjaciółkę niż rodzica. Teraz nie mam już z tym problemu, ale kiedy byłem młodszy, marzyłem... Cóż, powiedzmy, że taka sytuacja ma swoje dobre i złe strony.

Jak tylko skończył mówić, uświadomił sobie, że w ciągu tych kilku sekund wyznał na swój temat więcej niż kiedykolwiek wcześniej. I natychmiast poczuł się z tego powodu bezbronny, jakby znalazł się w niebezpiecznej sytuacji. Serce zabiło mu szybciej i w nieregularnym rytmie.

– Wcale ci się nie dziwię. Mogę sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać – powiedziała Alice.

Jej słowa sprawiły, że Tom trochę się uspokoił, jakby zdołał uniknąć jakiegoś niewidzialnego zagrożenia. Pomyślał wtedy, że być może tak właśnie ludzie ze sobą rozmawiają: może nie ma nic złego w przyznaniu się, że zamiast dorosłej współlokatorki wolałby mieć rodziców, że brakowało mu ich, mimo że nie pamiętał nawet, jak to jest mieć mamę i tatę.

George wpatrywał się w niego z przejęciem.

– Myślisz, że dlatego właśnie taki jesteś?

– To znaczy niekoleżeński i źle funkcjonujący w grupie? Dlaczego jestem takim dziwolągiem?

George się roześmiał, a na jego twarzy odmalował się szok zmieszany z zażenowaniem, jakby nie mógł uwierzyć, że zadał to pytanie wprost. Alice też się roześmiała, jakby po słowach Toma kamień spadł jej z serca. Zaczął się nawet zastanawiać, jakiej innej reakcji mogła się po nim spodziewać ta dziewczyna. Czyżby budził w ludziach lęk?

Tom uśmiechnął się na znak, że nie ma do George'a żalu za jego pytanie. Jak mógłby mieć, skoro wiedział, że właśnie tak postrzegają go inni?

– Prawdę mówiąc, to nie wiem. Julia zawsze powtarza mi, jak wyluzowani, przyjacielscy i zabawni byli moi rodzice. Może więc ja też kiedyś taki byłem. Nie pamiętam siebie sprzed wypadku.

Zapadła cisza. Przerwała ją po dłuższej chwili Alice, która powiedziała z uśmiechem:

– Mam wrażenie, że tylko na lekcjach literatury angielskiej pokazujesz, jaki jesteś naprawdę. Zawsze zdumiewało mnie, że na lekcji potrafisz dyskutować o czymś z przejęciem, a zaraz po wyjściu z klasy przemieniasz się w głaz. Dzisiaj chyba pierwszy raz w życiu porozmawiałeś ze mną poza salą lekcyjną. – Alice potrząsnęła z niedowierzaniem głową i się zaśmiała. – Kiedy szłam do ciebie na szczyt wzgórza, miałam tremę. Obawiałam się, że nie będziesz chciał ze mną gadać – wyznała. Tom był zdumiony, bo w jego odczuciu Alice w ogóle nie zdradziła się ze swoim skrępowaniem. Jeszcze większym szokiem było dla niego odkrycie, że ludzie postrzegają jego zachowanie jako aż tak nieprzyjazne. – Ale tak, powoli przyzwyczajam się do myśli, że Tom z lekcji literatury angielskiej to ten prawdziwy.

Poczuł się na swój sposób wzruszony. A zarazem miał też nadzieję, że Alice się nie myli – i że tamten beztroski mały chłopiec, jakim kiedyś był, nadal w nim mieszka. I że czytanie książek może go wywabić z kryjówki skuteczniej niż żywi ludzie. A przynajmniej do tej pory tak było.

– A skoro już mowa o zazdrości – odezwał się George – zawsze zazdrościłem



osobom, które chodzą na lekcje literatury angielskiej. Prowadzicie tam fascynujące dyskusje o książkach. To tak jakbyście siedzieli w jakiejś paryskiej kawiarence i wszyscy byli bardzo wyluzowani.

Alice parsknęła i szybko zakryła sobie dłonią usta. Tom też nie umiał powstrzymać śmiechu: takie złudzenia mógł żywić wyłącznie ktoś, kto nigdy nie siedział na angielskim.

## ROZDZIAŁ 19

**R**ozkręcali się powoli, ale skończyło się to tak, że przegadali pół nocy. Zdarzały się też długie chwile, gdy nikt nic nie mówił. Czuli się już na tyle dobrze w swoim towarzystwie, że takie wspólne milczenie im nie przeszkadzało. Dokładali wtedy do ognia albo nasłuchiwali odgłosów dżungli. Tom mówił mniej od pozostałej dwójki, ale i tak więcej niż zazwyczaj.

Kiedy Alice spytała go o czas, uświadomili sobie, że trzymają wartę już od pięciu godzin. A ponieważ nadal nie czuli zmęczenia, postanowili, że posiedzą jeszcze trochę. Przed świtem uzgodnili, że nie będą budzić swoich zmienników i wytrzymają aż do wschodu słońca.

Od czasu do czasu ktoś w kabinie poruszył się przez sen albo wstał i przyświecając sobie latarką, poszedł do toalety. Inne odgłosy świadczyły o nagłych przebudzeniach, a może nawet koszmarach.

Kiedy trójkę wartowników dobiegło mamrotanie brzmiące niczym błaganie o pomoc, Alice stwierdziła:

– To Lara. Ona ma codziennie koszmary, nie potrzebuje do tego katastrofy lotniczej.

Tom nie posiadał się ze zdumienia, że Alice potrafi rozpoznać ją po zduszonym krzyku. Na krótką chwilę zachwycił się tajemnym światem przyjaźni, który nie do końca rozumiał – światem nocowania u siebie nawzajem, światem, w którym przyjaciele znali swoje nadzieje i lęki, wiedzieli, jak sypia i co lubi jeść ta druga osoba, a także szereg innych rzeczy. Tom nie był pewien, czy chciałby znaleźć się w takim świecie, ale budził on w nim fascynację i zachwyt.

Prowadzili właśnie ożywioną dyskusję, kiedy zorientowali się, że czerń nieba powoli zaczyna się rozjaśniać i niespiesznie ustępuje miejsca pierwszym niebieskawym odcieniom. Wysoko na stoku zauważyli jakieś poruszenie. Kiedy

wyteżyli wzrok, zobaczyli duże pekari na ścieżce skoszonej przez spadający fragment samolotu. Zwierzę ryło chyba w szczątkach. Popatrzyło na nich, nie przejawiając strachu, po czym powoli wycofało się w zarośla.

– Jak myślicie, czy pieczone pekari smakuje jak bekon? – zastanowił się George.

Alice trąciła go w żartach w ramię, ale chwilę później umilkli. Kilka minut wystarczyło, by nikła, chorobliwa poświata przerodziła się w coś zwiastującego nadejście nowego dnia.

– Dwadzieścia cztery godziny – powiedziała Alice.

George potwierdził skinieniem głowy.

Dopiero po chwili Tom zrozumiał, że Alice chodziło o czas, jaki tutaj spędzili. Dwadzieścia cztery godziny upłynęły od rozbicia się samolotu i początku ich przygody w dżungli, ale on sam skupiał się raczej na tym, że za tyle samo czasu wyruszą w drogę.

Doleciały ich jakieś dźwięki od strony kabiny, a po chwili w drzwiach ukazali się Shen i Barney z dwiema tacami zafoliowanych pakunków.

– Nie spaliście przez całą noc? – zdziwił się Barney.

Alice uśmiechnęła się i przeciągnęła.

– Wyszło tak przypadkiem. Nie czuliśmy zmęczenia.

– W takim razie powinniście coś przekąsić przed pójściem spać – zauważył Shen, podchodząc do ogniska. – Coś mi się zdaje, że dzisiaj musimy pozbyć się dużej części jedzenia. Większość zapasów nie wytrzyma do jutra.

– A co z suchym prowiantem? – zainteresował się Tom. – Albo tym pakowanym w folię?

– Jeśli będziemy uważać, może starczy go maksymalnie na dwa dni – powiedział bez większego przekonania Shen. – Kiedy chcesz wyruszyć?

– Jutro rano.

Shen wydawał się zadowolony.

– To dobrze. Gdybyśmy posiedzieli tu jeszcze dłużej, musielibyśmy zacząć zdobywać pożywienie w dżungli.

George uśmiechnął się, zapewne na wspomnienie widzianego na wzgórzu

pekari.

– A co z wodą? – spytał Tom.

– Razem z napojami niealkoholowymi powinno nam starczyć picia na kilka dni. A jeżeli dotrzemy w pobliże rzeki, będziemy mogli zaczerpnąć z niej wody.

– To bezpieczne? – chciała wiedzieć Alice.

– Przefiltrujemy wodę przez siateczkę moskitiery, żeby uzdatnić ją do picia. Przepotujemy ją, jeśli pojawi się taka możliwość, a jeśli nie, zawsze możemy użyć tabletek do uzdatniania wody, które znaleźliśmy w apteczce. Mam nadzieję, że nie będzie to konieczne. Ale musimy być przygotowani również na taką ewentualność.

– W porządku – rzekł Tom. Spoglądając na Alice, dodał: – Shen myśli pragmatycznie. Nawet jeśli pójdziemy wzdłuż rzeki, wydostanie się z dżungli może potrwać wiele dni.

Barney zajął się sortowaniem plastikowych pojemników, które ułożył na ziemi niedaleko ogniska. Teraz jednak uniósł spojrzenie i szczerząc zęby w uśmiechu, powiedział:

– Chyba że za tymi wzgórzami znajdziemy luksusowy ośrodek wypoczynkowy.

– Wskazał na Alice i dodał: – Będzie tam taras i leżak z twoim imieniem na plakietce. Wyobraź sobie, że czeka na ciebie już w tej chwili.

– A nawet jeśli go tam nie ma, to Barney zbuduje dla ciebie taki leżaczek – dodał Shen. – Prawda, Barney?

Przygotowywanie jedzenia upływało w wesołej atmosferze. Wkrótce ludzie w kabinie zaczęli się budzić. Z głosów, które docierały z góry, wynikało, że pierwsza pobudka w dżungli nikogo nie nastraja zbyt entuzjastycznie. Ludzie czuli się brudni, lecz nie mogli wziąć prysznic.

Tom uśmiechnął się pod nosem, słysząc ich narzekania. Niesamowicie, jak szybko zapomnieli, że w niemal cudowny sposób ocalili z katastrofy lotniczej, a więc czegoś, czego współcześni ludzie wyjątkowo się boją. Najwyraźniej ich budzący się rówieśnicy nie pamiętali już, o jakim szczęściu mogą mówić.

Pierwszy z samolotu wyszedł Joel. Wydawał się odświeżony i czysty. Przyglądał się długą chwilę trójce siedzącej przy ognisku. Chciał chyba wyrazić swoje uznanie

dla nich, jednak nie zdążył, bo odezwała się Alice:

– Nie czuliśmy się zmęczeni.

– Pewnie prześpicie teraz cały dzień – odparł z uśmiechem Joel. – Będziemy uważać, żeby was nie obudzić.

Mimo woli zerknął na Toma, zdradzając prawdziwe emocje kryjące się za ostatnią wypowiedzią: myśl, że uwolni się na jakiś czas od Toma, napawała go ulgą.

Tom nie rozumiał, o co mu chodzi, bo przecież dał mu jasno do zrozumienia, że nie zamierza uzurpować sobie pozycji przywódcy. Poza tym przecież to jakiś absurd – byli tylko grupką dzieciaków zagubionych w dżungli, a nie oddziałem partyzanckim.

Shen dopilnował, żeby w pierwszej kolejności zjedli Tom, Alice i George. A gdy wszyscy pozostali zgromadzili się wokół ognia, ich trójka poszła do kabiny. W środku panował już skwar, ale przynajmniej za sprawą moskitier wewnątrz tonęło w półmroku kojarzącym się ze zmierzchem. Dzięki temu w środku zrobiło się całkiem przytulnie.

Tom szybko zaczął zasypiać. Zanim całkiem zapadł w sen, usłyszał, jak w dole Joel mówi coś o zbieraniu drewna, ale o dziwo teraz ten głos, a także dźwięki rozmów, które rozległy się potem, wydał mu się dziwnie odprężający. Zanim zasnął na dobre, zdążył pomyśleć: jeszcze tylko jeden dzień.

## ROZDZIAŁ 20

**O**budziły go wiwaty. Poruszył się na fotelu, przetarł oczy i momentalnie uderzyła go myśl, że stało się niemożliwe i dotarła do nich ekipa ratownicza. Zaraz jednak uświadomił sobie, że wrzawa dobiega z daleka. Wstał z fotela, w którym na czas snu odchylił maksymalnie oparcie. W tym samym momencie wstali też Alice i George.

– Co to za hałas? – zastanowiła się Alice.

– Ktoś wiwatuje – odparł Tom.

Zbliżyli się do siatki moskitiery i wyjrzeni na zewnątrz. W obozowisku został tylko Barney, który właśnie ostrożnie dokładał gałęzi do ognia. Wszyscy pozostali znajdowali się wysoko na stoku. Po chwili Tom zrozumiał, dlaczego tam poszli i co ich tak cieszyło.

Na szczycie grani płonęło ognisko. Ogień był nierówny, ale wznosił się z niego gruby słup czarnego dymu, który płynął wysoko w nieruchomym powietrzu. Tom zerknął na zegarek – było wczesne popołudnie.

– W sumie jeśli w jakiś sposób mamy zwrócić na siebie uwagę... – zaczęła cichym głosem Alice.

– To bagaże – przerwał jej Shen, który wszedł niepostrzeżenie do kabiny i stanął za nimi. – Pałą wszystko, czego, jak sądzą, nie będziemy potrzebować. Walizki, ubrania, tego typu rzeczy.

– Ale dlaczego?

– Ludzie narzekali, że nie robią nic, co pomogłoby ekipie poszukiwawczej w dotarciu tutaj – wyjaśnił Shen, wzruszając ramionami. – No i wtedy Joel wpadł na ten pomysł. Niewykluczone, że ma on pewne szanse powodzenia.

– Ale...?

– Ale przez ostatnie parę godzin w upale znosili bagaże na grań. Co oznacza, że

teraz będą bardziej spragnieni. Jeśli nam się poszczęści, wody wystarczy do jutrzejszego wieczora, tylko że...

– Mówiłeś o tym Joelowi? – zainteresowała się Alice.

– Tak. Odparł, że kiedy już zostaniemy uratowani, nie będziemy musieli przejmować się wodą.

George zaklął pod nosem. Alice podniosła swój plecak i ruszyła do łazienki. Shen natomiast utkwiał spojrzenie w Tomie, jakby czekał na jego reakcję albo decyzję, jaki powinien być ich następny krok.

Z jednej strony Tom niemal rozumiał, jakie motywacje przyświecały Joelowi. Zakładał on zapewne, że na niebie nad nimi roi się od samolotów poszukiwawczych, i niewykluczone, że faktycznie tak było. Poza tym Joel w ten sposób próbował uśmierzyć niepokoje wśród ludzi, którym przewodził. Wszystko to nie zmieniało jednak faktu, że była to szalona decyzja: zmusił ludzi do ciężkiej fizycznej pracy w porze największego skwaru, a tym samym w znacznym stopniu uszczuplił zapasy wody.

– Shen, razem z George'em zajmijcie się dzieleniem jedzenia i picia: połowę zostawiamy, drugą połowę zabieramy w drogę. Zastanówcie się też, jakiego rodzaju sprzęt może nam się przydać, a co możemy zostawić. Kiedy wszyscy zejdą do obozu, poinformujemy ich o naszym planie.

George poczuł chyba ulgę, a Shen się uśmiechał. Obaj sprawiali wrażenie, jakby czekali, aż Tom weźmie sprawy w swoje ręce. Najchętniej przypomnieliby im, że nie ma takiego zamiaru. Z drugiej jednak strony, właśnie coś takiego się działo – Tom, mimo że po prostu planował uciec w pojedynkę, żeby ochronić się przed zgubnymi skutkami głupich decyzji Joela, teraz chcąc nie chcąc wchodził w rolę przywódcy.

Kiedy wyszedł z samolotu, większość ludzi zebrała się już przy ognisku. Euforia minęła, a kiedy przypatrzył im się z bliska, jeszcze lepiej zrozumiał wściekłość Shena: wyglądali strasznie.

Chrisa spaliło słońce i twarz miał czerwoną jak burak. Nick przeciwnie – wydawał się blady jak ściana i na skraju wymiotów. Jess leżała z głową na

kolanach Freddiego, a chłopak głaskał ją po włosach. Wszyscy byli apatyczni. Joel spoglądał co chwilę na ognisko płonące na grani, jakby chciał w ten sposób upewnić się, że było warte tak wielkiego zachodu.

W porównaniu z nimi osoby, które nie brały udziału w jego rozpalaniu, sprawiały wrażenie wypoczętych. George i Barney krzatali się przy ogniu i chyba omawiali sposoby, w jakie spalają się różne materiały. Po paru minutach dołączyli do nich Alice i Shen. Oboje spoglądali wyczekująco na Toma.

Tom zwrócił się do Joela:

– Kilka osób z naszej paczki podjęło decyzję. – Joel popatrzył na niego z zaciekawieniem. – Ognisko na górze nadal płonie. Jeżeli w okolicy znajduje się jakiś samolot, do wieczora powinniśmy go zobaczyć. Jeśli nikt nie przyleci, ja i parę innych osób wyruszamy jutro z samego rana.

Joel odpowiedział w taki sposób, jakby Tom zapowiedział właśnie zrobienie czegoś niewykonalnego.

– Nie wolno wam. Musimy trzymać się razem. Poza tym nie ma dokąd pójść.

– Niedaleko przepływa rzeka – wtrącił się Shen. – Mamy dwie tratwy ratunkowe. Możemy poszukać miejsca, gdzie rzeka staje się żeglowna, i popłynąć z nurtem.

– O Boże – jęknął Joel. Jego twarz wykrzywił teraz grymas człowieka, któremu cios w plecy zadali najlojalniejsi poplecznicy. – Zaplanowaliście sobie to wszystko i uznaliście, że zrobicie to bez nas.

– Joel, właśnie was o tym informujemy – zauważył Tom. – Nie chcemy podważać twojego przywództwa. Chcemy po prostu wydostać się z dżungli. Każdy może się do nas przyłączyć.

Joel potrząsnął głową w demonstracyjny sposób, jakby chciał wszem i wobec pokazać, jak bardzo czuje się dotknięty tą niespodziewaną zdradą. Przez chwilę wydawało się, że powstrzyma się od odpowiedzi. W końcu jednak spytał:

– Kto jeszcze należy do waszej grupy?

Kiedy ręce podnieśli Alice, George, Shen i Barney, Joel kiwnął spokojnie głową, jakby od początku tego właśnie się spodziewał. Po chwili jednak to samo zrobili



również Lara, Kate i Emma. Następnie rękę uniosła też Jess, która nadal leżała. Freddie również próbował, ale nie starczyło mu sił i jego dłoń szybko opadła z powrotem na włosy Jess.

– Rozumiem – rzekł Joel. – Myślałem, by poddać sprawę pod głosowanie. Ale skoro ponad połowa osób chce opuścić obóz...

– Nie ma powodu do głosowania – wtrącił się Tom. – Wyruszymy tak czy inaczej. Jeśli chcesz zostać, zostawimy w obozie połowę zapasów żywnościowych i wody. Jeżeli uda nam się dotrzeć do cywilizacji, wskażemy ratownikom waszą lokalizację.

Chloe parsknęła śmiechem: był to pozbawiony wesołości, nieprzyjemny rechot. Twarz miała czerwoną, jednak nie od poparzeń słonecznych, lecz po prostu z gorąca. Włosy lepiły jej się od potu.

– Naprawdę wydaje wam się, że zdołacie wyjść z tej dżungli? – spytała szyderczym tonem. – Dżungli, w której roi się od węży, jaguarów i Bóg wie czego jeszcze. A to wszystko was czeka, zanim w ogóle dotrzecie do rzeki. Wszyscy umrzecie.

– Chloe ma rację – wtrącił się Chris.

– Możliwe – przyznał spokojnie Tom.

To rozwścieczyło ją jeszcze bardziej.

– Możliwe! – powtórzyła. – Tylko tyle masz do powiedzenia na obronę tego kretyńskiego planu?

– Nie zamierzamy wdawać się z wami w dyskusje – oznajmił Tom. – Nasza grupa wyruszy rankiem. Wy możecie iść z nami albo zostać. Wybór należy do was.

– Przecież tu nie może być mowy o żadnym wyborze. To nedorzeczne!

Tym razem Tom nie zareagował na jej zaczepkę. Postanowił, że nie da się sprowokować.

Barney nie miał natomiast takich oporów.

– Powinniście wziąć pod uwagę coś jeszcze – stwierdził.

– Kiedy będziemy zainteresowani, co myślisz na jakiś temat, sami spytamy – przerwała mu obcesowo Chloe.

Barney zaniemówił. Było jasne, że słowa dziewczyny go zabolęły. W tym samym momencie z ziemi poderwała się Alice. Utkwiła wściekłe spojrzenie w Chloe.

– Ejże. To Barney wyprawił się do wraku. To on zbudował schody. On przywrócił działanie toalet. On pomógł rozwiesić moskitiery. Może powiesz nam, co ty zrobiłaś? – Chloe otworzyła usta, ale pod ostrym spojrzeniem Alice nie dobiły się z nich żadne słowa. – Tak myślałam. Sugerowałabym, żebyś uważnie słuchała, jeśli Barney ma ci coś, cokolwiek, do powiedzenia.

Po tych słowach Alice usiadła z powrotem na ziemi. Twarz miała napiętą, a emocje trzymała na wodzy tylko z największym trudem. Tom zauważył, że Chris pokiwał głową, co mogło sugerować, że doskonale znał te wybuchy wściekłości Alice, bo często obrywało mu się od niej w dzieciństwie. Barney tymczasem spiekł raka – jego twarz była teraz niemal tak samo czerwona jak u osób, które pracowały w pełnym słońcu. Sprawiał wrażenie, jakby raz na zawsze przeszła mu ochota do zabierania publicznie głosu.

Nieoczekiwanie sytuację próbował rozładować Joel.

– Alice oczywiście ma rację. Jeśli nie będziemy się nawzajem słuchać, nic nie wskóramy. Barney, wybac, wszyscy jesteśmy spoceni i zmęczeni. Ale ja chętnie posłucham, co masz do powiedzenia. Domyślam się, że ma to jakiś związek z problemami, jakie napotkamy, jeśli zostaniemy w obozie.

Wbrew sobie Tom poczuł, że najchętniej uściskałby Joelowi dłoń w podziękowaniu za sposób, w jaki zareagował. Powstrzymał się, ponieważ chciał oszczędzić Barneyowi dalszych upokorzeń. Zamiast tego odszukał spojrzeniem Alice. A kiedy dziewczyna popatrzyła na niego, uśmiechnął się do niej. Zrewanżowała mu się tym samym. Nadal chyba czuła się zażenowana po swoim wyskoku sprzed chwili, ale dla Toma, po tym jak zobaczył jej wybuch wściekłości, była już nie tylko ładna, co wręcz piękna.

Barney odchrząknął i powiedział:

– Chodziło mi tylko o to, że nasza wyprawa pewnie okaże się niebezpieczna. To znaczy na sto procent. Ale jeśli tu pozostaniemy, będziemy mieć bardzo nikłe

szanse na przeżycie. To wrogie środowisko. Nawet jeśli nie umrzemy z głodu albo pragnienia, jeśli nie padniemy ofiarą zwierząt, dopadną nas pasożyty i choroby przenoszone przez owady. Prawdę mówiąc, choroby czają się tu na każdym kroku.

– Ale przecież tam, w dżungli, będzie jeszcze gorzej – zauważyła Chloe przestraszonym głosem. Wydawało się, jakby uleciała z niej cała waleczność.

Barney popatrzył na nią z życzliwością, na którą dziewczyna nie zasługiwała.

– Ależ my właśnie znajdujemy się w dżungli. Tkwimy w samym jej sercu. To prawda, w drodze narażeni będziemy na wszystkie te niebezpieczeństwa, a dodatkowo czeka nas wędrówka w bardzo trudnym terenie. Ale przynajmniej będziemy dokądś zmierzać.

– To prawda – wtrącił się Joel. Rzucił okiem na odległe ognisko, z którego słup dymu nadal wznosił się w górę. Jednak na tle przepastnego błękitnego nieba wydawał się coraz mniej wyraźny. – Nie zamierzam jednak pozwolić, byśmy się rozdzielili. Zaczekamy do zmroku, a jeśli do tego czasu nie wypatrzymy żadnego samolotu, wyruszymy z wami. Wszyscy powinni opróżnić plecaki. Zabierzemy tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Barney, ty i Shen powinniście sprawować pieczę nad prowiantem. Dopilnujcie, byśmy mieli wszystko, co niezbędne.

Obaj chłopcy spojrzeli wyczekująco na Toma, jednak on tylko się uśmiechnął. Następnie obaj wstali i poszli do samolotu. Nikt z pozostałych nie kwapił się, by opróżnić plecak. Nikt w ogóle się nie poruszył.

## ROZDZIAŁ 21

**T**om ruszył śladem Shena i Barneya do samolotu. Na schodach uświadomił sobie, że z kabiny przestała dobiegać ich rozmowa.

– Wszystko gra, to Tom – powiedział na jego widok Barney.

– W porządku – odparł Shen. Kiedy Tom dotarł na szczyt, dodał: – Tom, kiedy już pozbędziesz się pierdół, zostaw plecak tutaj, a my zapakujemy do niego różne potrzebne rzeczy. Uważamy, że to ty powinienesz nieść pistolety sygnałowe i takie tam.

– Dobra. Zaraz to zrobię.

– Cieszę się, że wszyscy wyruszymy – odezwał się po chwili Barney. – Mieliby małe szanse tu przeżyć. Zwłaszcza pod przewodnictwem Joela.

Tom skinął głową, ale w głębi duszy miał mieszane uczucia. Dotychczas ich grupa, chociaż całkiem spora, stanowiła jednak dość spójny oddział. Zakładał, że mieli spore szanse, by szczęśliwie wydostać się z dżungli. Teraz, gdy ich liczebność niemal się podwoiła, a na karku nadal miał Joela, nie był już taki pewny, czy im się uda.

– Joel nadal jest szefem – przypomniał im Tom. Obaj chcieli chyba zaoponować, dlatego szybko dodał: – Nie warto się o to spierać. Jakie to ma znaczenie, jeśli tylko będziemy w ruchu? Pozwólmy mu grać rolę przywódcy, ale realizujemy własny plan.

Odniosł wrażenie, że takie postawienie sprawy przypadło im do gustu, i skupił się na wypakowywaniu części swoich ubrań. Po chwili do kabiny przyszła Alice i zaczęła opróżniać swój plecak. Z początku pracowali w milczeniu, jednak po chwili dziewczyna spytała, unikając go wzrokiem:

– Uważasz, że posunęłam się za daleko z Chloe?

– Absolutnie nie – zapewnił ją. A kiedy podniosła na niego spojrzenie, dodał: –

Wstawiaś się za kimś.

– Jeśli mam być szczerą, w pewnej mierze przemawiało przeze mnie poczucie winy. Wcześniej sama też traktowałam Barneya jak powietrze. Był dla mnie tylko małym chłopaczkiem z dziwnymi zainteresowaniami.

– Coś mi się zdaje, że tacy ludzie są całkiem spoko.

Alice uśmiechnęła się, ale zaraz potem znów spoważniała.

– Joelowi nadal się chyba wydaje, że wszystkimi rządzi.

– A niech sobie myśli, co chce – powiedział. Alice wydawała się zbita z tropu. Być może nie mogła zrozumieć, dlaczego Tom tak łatwo mu ustępuje. – Przed chwilą właśnie o tym rozmawialiśmy z chłopakami. Niech będzie szefem, pod warunkiem że będzie realizował nasz plan.

– Podoba mi się takie podejście – odparła z uśmiechem Alice. – Poszukam Chloe i ją przeproszę.

Kiedy wyszła, Tom zaniósł do kuchni do połowy opróżniony plecak, a następnie wyszedł na zewnątrz. Wiele osób nadal siedziało przy ogniu, bo z wyczerpania nie mogli się ruszyć. Pozostali rozeszli się po stoku w poszukiwaniu drewna.

Tom zszedł na dół, a ponieważ upał nie nastrajał do pracy, skupił się na obserwowaniu innych – część ludzi kręciła się bez celu, część pakowała plecaki, inni pomagali zbierać drewno. W pewnym momencie zauważył, że Chloe pograżona jest w czymś, co wygląda na przyjacielską pogawędkę z Barneyem.

Z pozoru ludzie zachowywali się podobnie jak na początku, tuż po katastrofie, jednak równocześnie w obozie dawało się wyczuć dziwną, napiętą atmosferę oczekiwania. Tom nie potrafił dokładnie określić, z czego ona się brała, ale miał wrażenie, że coś było nie w porządku. Miał poczucie, jakby w powietrzu albo w ścianie dźwięku, która ich otaczała, zaszła jakaś subtelna zmiana. Jakby świat wstrzymał oddech w oczekiwaniu.

Było już późne popołudnie, gdy ciszę przeciął krzyk.

– Freddie?

Tom popatrzył na stok i zobaczył, że chłopak klęczy. Jess stała obok niego i ciągnęła go za rękę, próbując go podnieść. Zrozumiał, że to ona krzyknęła.

Uświadomił też sobie w tej chwili, że nigdy nie słyszał, by którekolwiek z tych dwojga się odezwało.

Freddie zaczął wstawać z ziemi, ale w jego twarzy było coś niepokojącego. Był czerwony jak burak i miał minę człowieka, który znalazł się w jakimś miejscu, z którego nie może się wydostać. Zdołał stanąć, ale zaraz zatoczył się i upadł do przodu.

– Freddie! – zawołała jeszcze bardziej udręczonym głosem Jess.

Tom upuścił na ziemię niesione drewno i ruszył w stronę pary. Po kilku krokach zobaczył, że inni zdążyli podbiec tam pierwsi, więc przystanął. Wokół pary bardzo szybko zebrała się spora grupka, od której dobiegał chór głosów. Brzmiały pokrzepiająco, lecz zarazem dało się w nich wyczuć narastające rozgorączkowanie. Na ich tle wyróżniał się głos Jess, która wydawała z siebie coraz trudniej zrozumiałe i rozpaczliwe okrzyki. Przepęłniała je tak straszliwa rozpacz, że trudno było tego słuchać.

Tom podniósł upuszczone gałęzie i zaniósł je do ogniska. Kiedy wrócił, Freddiego niesiono już z powrotem do obozowiska. Z naprzeciwka nadbiegła Mila, łkając bezgłośnie. Tom zauważył, że dziewczyna lekko utyka. Pomyślał wtedy o wszystkich z pozoru drobnych kontuzjach, które mogą nazajutrz spowalniać ich marsz przez dżunglę. Dziewczyna zaczęła wołać Shena, nim jeszcze zbliżyła się do samolotu. Już po chwili chłopak wynurzył się z kabiny w towarzystwie Barneya.

Gdy tylko Shen zobaczył niedomagającego Freddiego, wskazał dolną część zbiornika paliwowego, gdzie wcześniej znajdował się luk bagażowy.

– Połóżcie go w cieniu

Dźwignęli Freddiego w górę. Jess, która teraz trzymała się na skraju grupy, przestała płakać, ale jej twarz przypominała maskę grozy. Tom przyjrzał się twarzy Freddiego, która zastygła w grymasie zdumienia. Chłopak nie pocił się, a jego skóra wydawała się woskowata, ale była sucha.

Shen zatrzymał się na chwilę przy Tomie i powiedział:

– Jestem niemal pewny, że to udar słoneczny, i to poważny. Mamy szansę go uratować, tylko jeśli będziemy przemywać jego ciało chłodną wodą.

Tom rozumiał, co próbuje mu zakomunikować Shen – roztrwonili już mnóstwo wody i obecnie mieli jej już naprawdę niewiele, a nazajutrz ich zapotrzebowanie znacznie wzrośnie. Jeśli jednak Shen czekał, co zdecyduje Tom, odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Niedaleko przepływa rzeka. Znajdziemy jakiś sposób, żeby uzupełnić zapasy.

– W porządku, ale chciałbym, żebyś dobrze zrozumiał, jak wygląda sytuacja – zaznaczył Shen. Kiedy Tom spojrzał na niego pytająco, wyjaśnił: – Obawiam się, że Freddie i tak nie przeżyje.

Nie czekając na odpowiedź, Shen zabrał się do roboty. Barneyowi polecił przynieść wodę, innym kazał rozebrać Freddiego i znaleźć coś, czym będzie można go wachlować.

Joel również dał się pochłonać krzątaniu. Czasami powtarzał instrukcje Shena, doradzał innym, żeby zwolnili więcej miejsca wokół Freddiego albo zrobili to i owo. W pewnym momencie wyjrzał spod cienia, jaki rzucał na ziemię rozerwany zbiornik paliwowy, i spoglądając ponad ramieniem Toma, popatrzył na wzgórze.

Tom podążył za nim spojrzeniem. Znad ogniska nadal wznosiła się cieniuteńka kolumna dymu, jednak było jasne, że ogień wkrótce zgaśnie. Tom ruszył do niego. Wspinał się tym zboczem trzeci raz i miał nadzieję, że już ostatni raz.

Znajdował się jeszcze w sporej odległości od ogniska, kiedy poczuł cuchnącą woń palących się chemikaliów, która zdawała się spowijać wyższe partie wzgórza. Dopiero teraz mógł z bliska przyjrzeć się ognisku, które okazało się znacznie ambitniejszą budowlą, niż zdołał to zaobserwować z dołu.

Szkielet konstrukcji stanowiły walizki, jednak na nich ułożono setki ubrań znalezionych w bagażach. Większość pochłonął ogień, ale niektóre tkaniny okazały się nadzwyczaj odporne na jego działanie. Gdzieniegdzie Tom widział nawet zachowane plamy kolorów.

Wspiął się na grań i obszedł ognisko. Wywłókł z paleniska kilka waliz, a wtedy w powietrze wystrzelił jeszcze jeden słup dymu. Było jednak jasne, że materiał spalił się już doszczętnie. Rozgrzany wspinaczką, w promieniach popołudniowego słońca, nie był w stanie nawet wyczuć, by od paleniska biło dodatkowe ciepło.

Poszukał spojrzeniem głównej części samolotu, która leżała spalona na dnie doliny. Zapewne wyobraźnia płatała mu figle, jednak miał wrażenie, że wrak zaczął się już wtapiać w otaczającą go roślinność. Mimo że wyteżał wzrok, nie potrafił też dostrzec wśród drzew błękitu koszuli Charliego. Nie mieściło mu się w głowie, że wszyscy ci ludzie, razem z ich niepowtarzalnymi osobowościami, zostali już wchłonięci przez dżunglę i obracali się w nicość.

Zaczął omiatać spojrzeniem otaczający go pejzaż – krajobraz, dla którego tu przylecieli. Odnalazł rzekę, ledwie widoczną wśród zieleni. Miejsce, w którym zginęła Naomi. Odległe niskie wzgórza i kuszącą przełęcz między nimi. Nie miał pojęcia, co kryje w sobie ten pejzaż, jakim próbom podda ich ten łagodnie pofałdowany teren dzielący ich od przełęcz. Poczucie było myśl, że wiedzą przynajmniej, dokąd chcą dotrzeć. No i mieli czym się kierować.

Niebo nad jego głową było nieskazitelnie błękitne. Ale na horyzoncie po lewej – w jego mniemaniu odpowiadającej północy – stronie, zaczynało się chmurzyć. Co prawda deszcz oznaczałby, że uzupełnią zapasy wody, lecz zarazem istniało ryzyko, że ich obóz nie przetrwa ulewy.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że muszą wyruszyć. I tylko jedno mogło im w tym przeszkodzić. Kiedy oswoił się z tą myślą, ciszę przecięło straszliwe zawodzenie. Dobiegało z dołu, a Tom momentalnie zrozumiał, że jedyna przeszkoda, która mogła spowolnić ich wymarsz, właśnie sama się usunęła.

Osobą, która lamentowała, była Jess.



## ROZDZIAŁ 22

**T**om zostawił tłące się resztki paleniska i ruszył w dół stoku. Gdyby ich fortel okazał się skuteczny i dym z ogniska przyciągnął uwagę przelatującego samolotu, wszystko wyglądałoby inaczej.

W grupie wszyscy porozumiewali się przyciszonymi głosami. Górował nad nimi głos Jess, która była bliska hysterii.

– Nie! Nie pozwolę wam!

Ktoś odpowiedział jej cichym, spokojnym głosem, jednak Tom był jeszcze za daleko, żeby dosłyszeć słowa. Zaraz potem Jess zaczęła na nowo krzyczeć:

– Nie pozwolę, żeby coś go zjadło. Jeśli go pochowacie, to... to będzie jeszcze gorsze. Nie!

Tom nie widział ani Jess, ani Freddiego. Po chwili odezwała się Alice:

– Jess, na razie położymy Freddiego w jednym z pojemników na bagaż. Zamkniemy go i nic go wtedy nie dopadnie. W ten sposób poczeka, aż ktoś się tu zjawi i zabierze jego ciało.

Zapadła cisza. Tom domyślił się, że Jess przystała na tę propozycję, bo po chwili odezwał się Joel:

– Zanieśmy go na zbocze. Jess, zrobimy to tak, jak należy.

Tom wyminął ich i zbliżył się do samolotu. Zauważył Barneya i Shena, którzy siedzieli na stopniach prowizorycznych schodów. T-shirt Shena, mokry od potu, oblepiał jego szczupły tułów. Jego twarz wyrażała zniechęcenie. Barney zauważył nadchodzącego Toma i wzruszył bezradnie ramionami.

Shen uniósł głowę i powiedział:

– Przez chwilę się łudziłem... – zawiesił głos i potrząsnął głową w zamyśleniu, jakby jeszcze raz analizował, co właśnie zaszło. – Ale on po prostu umarł. Nie...

– Czy coś mogłeś zrobić inaczej?

Shen znów potrząsnął głową. Było jasne, że analizuje swoje postępowanie i zbyt surowo siebie osądza. Chyba nie domyślał się nawet, że wszyscy pozostali, łącznie z Tomem, nie umieliby nawet poprawnie zdiagnozować stanu Freddiego, nie wspominając nawet o próbach udzielenia mu pomocy.

Barney poklepał kolegę po ramieniu.

– Dałeś z siebie wszystko.

– A on i tak umarł.

Tom pomyślał o Freddie i Jess, kolejnej parze ludzi, których bardzo łatwo było nie zauważyć. Nieco dziwnych z wyglądu i zawsze trzymających się razem. Myśl, że praktycznie nic nie wiedział na ich temat, była niepokojąca. Uświadomił też sobie, że nigdy już nie usłyszy głosu Freddiego.

Może nie była to wina Joela, bo niezależnie od tego, kto był przywódcą, pewnych błędów po prostu nie dało się uniknąć, a część ludzi tak czy inaczej musiała stracić życie – niewykluczone, że Freddie wcale nie był ostatnią ofiarą. Tom miał jednak poczucie, że było w tym coś nieprzyzwoitego – tych troje ludzi w niemal cudowny sposób ocalało z katastrofy lotniczej tylko po to, by na przestrzeni dwudziestu czterech godzin zginąć, mimo że teoretycznie dało się uniknąć ich śmierci.

Zeszłej nocy rozmawiał na temat przeznaczenia. Naprawdę był przekonany, że dostrzegł coś takiego w spojrzeniu Naomi – to obudziło w nim wiarę, że ludzkie losy zostały wcześniej ustalone. Z drugiej strony jednak nie sądził, by cokolwiek w zachowaniu Freddiego czy Jess pozwoliło przewidzieć, że wydarzy się coś takiego. O śmierci chłopaka zdecydowała szalona decyzja jednego człowieka, by rozpaść ognisko na grani.

Shen miał teraz minę lekarza, który heroicznie walczył o uratowanie śmiertelnie chorego pacjenta, lecz w końcu przegrał. Patrząc na niego, Tom uświadomił sobie, że mogą do woli obwiniać Joela, przypadek albo przeznaczenie, jednak w gruncie rzeczy recepta jest tylko jedna: każdy musi wziąć pełną odpowiedzialność za własne życie.

Przez parę lat po śmierci rodziców Tom zwykł fantazjować, co by się stało,

gdyby znajdował się wtedy z nimi, i w jaki sposób mógłby ich uratować. W końcu uznał jednak, że to mrzonki. Zrozumiał, że rodzice i tak by zginęli, ponieważ był wtedy tylko małym chłopcem i w żaden sposób nie mógłby uchronić ich przed śmiercią.

Teraz natomiast zaczął sobie uświadamiać, że nie próbuje w żaden sposób ratować ludzi, z którymi znalazł się w dżungli. Najłatwiej było obwiniać innych o śmierć trzech osób, ale prawda była taka, że Tom zachowywał się biernie, jakby te śmierci nie miały z nim nic wspólnego.

Owszem, nigdy nie należał do żadnej grupy. Podejrzewał też, że jeśli kiedyś wróca do cywilizowanego świata, raczej nie będzie się przyjaźnił z większością swoich przypadkowych towarzyszy. Ale przecież Shen i Barney zapewne wcale nie czuli się bardziej od niego związani z tymi ludźmi, a mimo to ze wszystkich sił starali się im pomóc.

Kiedy zobaczył, jak bardzo Shen starał się ocalić Freddiego i jak mocno przeżywa jego śmierć, poczuł się jak człowiek pozbawiony wartości. Niezależnie od tego, czy chciał znaleźć się na tej wycieczce, czy też nie, teraz tu był. Jak ten mały chłopiec, którego sobie kiedyś wyobrażał. Znajdował się we właściwym miejscu we właściwym czasie i mógł kogoś uratować. Był tutaj.

Popatrzył na kolegów i powiedział:

– Nie pozwolę już nikomu umrzeć. Mam dość obwiniania o wszystko Joela.

Shen, nadal ze zrezygnowaną miną, odparł:

– Słusznie. Ale nie wiem, czy damy radę.

– Tom da radę – wtrącił się Barney.

Shen popatrzył na niego i kiwnął głową. Jego twarz wyrażała teraz coś w rodzaju bezwarunkowej akceptacji.

Tom momentalnie pożałował swoich słów. Zrozumiał bowiem, że Shen ma rację, a Barney się myli. Owszem, Tom mógł starać się uratować wszystkich, i być może tak należało robić. Jednak to nie zmieniało faktu, że zapewne ktoś jeszcze straci życie. Takie były realia środowiska, w którym się znaleźli. Niezależnie od wysiłków Toma, by do tego nie dopuścić, być może ktoś jeszcze przypłaci życiem

wyprawę, do której się szykowali. Otwarta pozostawała tylko kwestia, kto umrze, kiedy i w jaki sposób.

## ROZDZIAŁ 23

Jess czuwała przy pojemniku na bagaże nawet po zmroku. Niektórzy zastanawiali się, czy nie naraża się w ten sposób na niebezpieczeństwo, ale w końcu uznano, że bliskość ognia powinna odstraszyć dzikie zwierzęta.

Ich rozważania zresztą i tak nie miały większego znaczenia, bo nie zdołaliby nakłonić Jess do powrotu do obozu. Dziewczyna odmawiała też jedzenia i dopiero za trzecim razem udało im się namówić ją do wypicia odrobiny wody. Cały wieczór upływał w ponurej atmosferze – nikt nie mógł otrząsnąć się po śmierci Freddiego ani uwolnić się od myśli, że nieopodal Jess czuwa przy jego ciele.

Być może ludzie myślami byli też już przy jutrzejszej wyprawie. Nikt jednak nie zadawał żadnych pytań ani nie oferował, że w czymś pomoże. Ognisko i nadzieja na przybycie ekipy ratunkowej wydawały się dawno zapomnianymi mrzonkami.

Alice, George i Tom znowu zgłosili się na pierwszą wachtę przy ognisku. Tym razem jednak nocne czuwanie nie dało im już tyle satysfakcji, co ostatnio. Rozmyślali o tym, co czeka ich nazajutrz. Postanowili też, że posiedzą tylko kilka godzin, a potem obudzą Chrisa i Chloe, którzy mieli ich zmienić.

Mniej więcej po godzinie Jess zjawiała się przy ognisku niczym duch. Przeszła obok, chyba w ogóle ich nie zauważając. Wyglądała, jakby lunatykowała.

– Jess, idziesz się położyć? – zagadnęła ją Alice.

Dziewczyna skinęła milcząco głową i ruszyła w kierunku schodów.

Alice wydawała się zaniepokojona, być może przez wyraz twarzy Jess albo jej wcześniejsze czuwanie przy Freddie. A może przez to, że Jess tak nagle oddaliła się od ciała.

– Myślicie, że da sobie radę? – zastanowiła się Alice.

– Pewnie tak, ale nagle straciła chłopaka. Musi być jej ciężko – powiedział George. Popatrzył na Alice, bo nagle chyba przypomniał sobie, że ciało jej byłego

chłopaka nadal tkwi we wraku po drugiej stronie wzgórza. – Przepraszam, nie chciałem...

Alice uśmiechnęła się lekceważąco.

– Nie ma sprawy. To nie to samo. Te dwie sytuacje nie mają ze sobą nic wspólnego. Nie potrafię sobie wyobrazić, przez co przechodzi teraz Jess.

Tom przysłuchiwał się ich dyskusji jednym uchem, bo przez cały czas nasłuchiwał dźwięków lasu. Miał wrażenie, że nie słyszy pośród nich oczekiwanego odgłosu stąpienia butów Jess. Nic nie wskazywało na to, że dziewczyna wchodzi po prowizorycznych schodach.

Sięgnął po latarkę i wstał. Starł się zachowywać naturalnie, bo nie chciał przestraszyć towarzyszy.

– Zaraz wrócę.

– Spoko – rzucił George i odwrócił się z powrotem do Alice.

Tom zamierzał wejść do kabiny, jednak nim postawił stopę na pierwszym stopniu, z niedaleka dobiegł go hałas, który nie dał się z niczym pomylić: ktoś ewidentnie przedzierał się po ciemku przez las i podążał tą samą wydeptaną przez zwierzęta ścieżką, na której znaleźli wcześniej but Naomi. Wtem Tom uświadomił sobie z całą przerażającą jasnością, dlaczego Jess tak nagle zeszła ze zbocza.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien powiadomić George'a i Alice. Jess zdążyła już jednak ująć spory kawałek, a on nie chciał ryzykować, że ją zgubi. Dlatego skierował światło latarki przed siebie i ruszył jej śladem.

Szybko zrozumiał, że to był właściwy wybór, bo już po paru sekundach marszu przez las, obóz i ognisko zaczęły mu się wydawać bardzo odległe, a po kolejnych kilkunastu krokach obozowisko skurczyło się do maleńkiego jasnego punkciku tańczącego pośród gałęzi. Tymczasem z głębi lasu dobiegały chaotyczne trzaski i szuranie – dźwięki marszu Jess, która poruszała się po mrocznej dżungli bez latarki.

Tom pożałował, że nie zabrał ze sobą jakiegoś badyła albo czegoś innego, czym mógłby się w razie potrzeby bronić. Teraz było już jednak za późno, żeby się cofnąć. Pozostawało mu wierzyć, że blask latarki odstraszy jaguara czy innego

drapieżnika. Równocześnie próbował nie zastanawiać się nad drugą stroną medalu – że światło mogło przyciągnąć zwierzęta, które będą chciały sprawdzić, co to takiego.

Zatrzymał się, bo nagle zdał sobie sprawę, że nie słyszy już koleżanki. Odgłosy dżungli również zdawały się na krótką chwilę ucichnąć, ale zaraz potem rozbrzmiały na nowo, w przeciwieństwie do kroków Jess.

Tom przeszedł kawałek dalej, po czym zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Przez chwilę wyobrażał sobie, że niechcący ją wyprzedził. Albo, co gorsza, że dziewczyna rozmyśliła się i zawróciła do obozu, a on został sam w dżungli. Ruszył znów przed siebie i wkrótce dojrzał coś bielącego się na ścieżce. Omiótł to miejsce światłem latarki – był to adidas Naomi.

A zatem doszedł do miejsca, gdzie Naomi zaatakował dziki kot. To tutaj zginęła, a ten z pozoru prosty fakt nadal wydawał mu się niezgłębioną tajemnicą. Osoba, która jeszcze niedawno chciała skorzystać z toalety, która nerwowo pytała, czy Tom pozwoli jej wyruszyć razem z nimi, została właśnie w tym miejscu w sposób brutalny pozbawiona życia.

Trawa, wcześniej spłaszczona tam, gdzie drapieżnik włókł ciało ofiary, zdążyła się już podnieść. Teraz tylko biały sportowy but przypominał o tym tragicznym wydarzeniu i o osobie, która została zaatakowana. Tym niemniej, śmierć Naomi nadal była w tym miejscu wyczuwalna. Tom nagle odniósł wrażenie, że coś obserwuje go w mroku. Poczł się bezbronny.

Stał bez ruchu jeszcze przez chwilę, aż usłyszał stłumiony głosik. Był tak cichy, że Tom dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że docierał z bardzo bliska.

– Zostaw mnie w spokoju.

Odwrócił się. Jess zeszła ze ścieżki i stała pośród krzewów, na tyle jednak blisko, że mógł ją dotknąć. Tom poświecił przed siebie latarką, żeby w ogóle dojrzeć ją w ciemności. Ze zdziwieniem stwierdził, że światło chyba jej nie oślepia.

Niepokojące było też coś innego – fakt, że dziewczyna stanęła właśnie w tym konkretnym miejscu. Bez latarki nie mogła zobaczyć na ścieżce adidasa, a tym samym nie mogła wiedzieć, że to właśnie tutaj dziki kot zaatakował Naomi.

Najwyraźniej jednak podświadomość bezbłędnie wskazała jej to miejsce. Może w powietrzu nadal wyczuwalne były jakieś ślady, jakaś energia, która została tu po wypadku.

– Jess, co ty tu robisz?

– Tom?

Nie mogła wypatrzeć go w ciemności. Kiedy się odezwała, w jej głosie pobrzmiwało niedowierzanie. To dało Tomowi do myślenia: kogo właściwie dziewczyna mogła się tu spodziewać?

– Tak, to ja – odparł. A nie doczekawszy się żadnej reakcji, dodał: – Chcesz, żeby dopadł cię jaguar. Dobrze zgaduję?

Zamiast odpowiedzieć wprost na jego pytanie, Jess powiedziała:

– Nie wrócę do obozu. To nie... po prostu nie...

Tom niemal słyszał burzę, która rozpętała się w jej mózgu. Nawałnicę walczących ze sobą myśli. W samym sercu tego chaosu tkwiła pustka, jaką pozostawiła po sobie śmierć Freddiego. Wcześniej Tom zazdrościł parze bliskości, jaka ich łączyła. I chyba teraz był odpowiedni moment, żeby się z tej zazdrości wyleczyć, skoro na własne oczy widział, co ta bliskość robi z Jess. Stało się jednak coś odwrotnego – zazdrość zyskała tylko na intensywności, gdy zrozumiał, jak bardzo Jess kochała Freddiego.

Ta sama miłość kryła się w jej głosie, gdy powtórzyła wyraźnie:

– Zostaw mnie w spokoju, proszę.

– Dobra. – Tom opuścił latarkę, ale nadal stał bez ruchu. W głowie miał mętlik. Próbował znaleźć sposób, by wyperswadować jej pozostanie w lesie. Równocześnie ani na sekundę nie opuszczała go świadomość, że w każdej chwili mogą zostać zaatakowani. W końcu powiedział ostrożnie: – Ale możliwe, że będziesz musiała poczekać z tym parę dni.

– Co takiego?

– Kiedy jaguar upoluje coś dużego, powiedzmy człowieka, przez trzy, cztery dni nie będzie głodny. Te zwierzęta bronią terytorium przed konkurencją. I dlatego mówię, że będziesz musiała trochę poczekać.



Upłynęła chwila, nim dziewczyna odzyskała mowę.

– Kłamiesz – szepnęła.

– Nie, mówię prawdę – zapewnił. W rzeczywistości zmyślał te informacje. Nie miał bladego pojęcia o zwyczajach żywieniowych jaguarów. Włosy nadal jeżyły mu się na karku pod spojrzeniem tego czegoś, co obserwowało ich skryte w ciemności. – Chcę, żebyś wróciła ze mną do obozu.

– Nie. To... Tam jest... – I znowu nie zdołała dokończyć.

Tom zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą twardy orzech do zgryzienia – przede wszystkim dlatego, że sam zmuszony bywał w przeszłości brać udział w mających dodać otuchy pogawędkach z ludźmi, którzy nie mieli pojęcia, jak to jest być w jego skórze. I tak naprawdę wiedział tylko, że wszystkie pokrzepiające słowa absolutnie nic nie znaczą.

– Słuchaj, Jess, kiedy byłem mały, moi rodzice umarli.

– Wiem.

Nawet to było dla niego odkryciem. Nie miał pojęcia, że ktoś taki jak Jess zna podstawowe fakty z jego życia.

– Byłem za mały, żeby zrozumieć, co próbowali przekazać mi wtedy dorośli. To jednak nie powstrzymało ich przed mówieniem, że muszę być silny, bo tego właśnie oczekivaliby po mnie mama i tata. Mówili też, że teraz może mi się wydawać, że nigdy już nie będzie lepiej. Ale że z czasem ból minie. Tłumaczyli, że to, co jednego dnia jest raną, następnego się zablizni. I wiesz co? Te wszystkie zapewnienia były jedną wielką ściemą. Ból nigdy nie minął. Kiedy tracimy kogoś, kogo kochaliśmy, to zmienia nas na zawsze. Zmienia sposób, w jaki przeżywamy swoje życie. Nigdy potem nie jest już dobrze, najwyżej trochę inaczej.

Na chwilę wrócił pamięcią do tamtych chwil, gdy mama czytała mu książkę z królikiem na okładce. Nie pamiętał, jaki miała tytuł ani nawet o czym była. W podobny zresztą sposób utracił wspomnienia o mnóstwie innych szczegółów z dzieciństwa. Ta książka jednak nadal budziła w nim zachwyt i bardzo cenił sobie nawet te szczątkowe wyobrażenia o niej – wspomnienia chwil, gdy otaczało go ciepło, a wkoło rozbrzmiewał kojący głos jego mamy. Nagle poczuł, że do oczu

napłynęły mu łzy, mimo że nie płakał od niepamiętnych czasów. Ze zdziwieniem stwierdził, że teraz, w samym sercu dżungli, tęsknił za rodzicami bardziej niż przez ostatnie lata.

– Bez przerwy to dzisiaj słyszałam. Wszyscy powtarzali w kółko, że muszę być silna. I że tego właśnie chciałby dla mnie Freddie.

– Freddie chciałby, żebyście oboje cało wrócili do cywilizacji. Nie chciał umierać, ale gdyby miał wybór, jestem niemal pewien, że wolałby zginąć zamiast ciebie.

– Ja wolałabym umrzeć, żeby on nie musiał.

– Wiem o tym. I właśnie dlatego musisz teraz pójść ze mną, Jess. Nie sprawię, że będzie ci łatwiej. Nikt nie ma takich możliwości. Jesteś teraz tym, kim jesteś. Nie mam ci do zaoferowania nic więcej, żadnych słów pocieszenia. Proszę cię tylko, żebyś wróciła ze mną do obozu.

Upływały sekundy, a Jess trwała bez ruchu. Wreszcie zbliżyła się o krok do Toma. Miał się już odsunąć na bok, żeby ją przepuścić. Dziewczyna jednak podeszła do niego i go przytuliła. Zachowywała się tak cicho, że upłynęła długa chwila, nim Tom uświadomił sobie, że płacze.

Teoretycznie powinien poczuć się lepiej, bo przecież zdołał wyperswadować jej pragnienie śmierci, przynajmniej na razie, czy też może raczej nakłonił ją, by sama ją sobie wyperswadowała. Z jakiegoś powodu czuł się jednak strasznie przygnębiony. Być może dlatego że rozmowa z Jess sprawiła, iż jego własny smutek wychynął na powierzchnię świadomości. A przecież w pewnym sensie nie uważał nawet, by miał prawo przeżywać żałobę po śmierci rodziców. Dlaczego miałby opłakiwać ich stratę, skoro niemal w ogóle ich nie pamiętał?

## ROZDZIAŁ 24

Ruszyli w milczeniu ścieżką. Kiedy znaleźli się w pobliżu samolotu, Jess poszła z Tomem do ogniska.

Na widok Toma Alice powiedziała:

– O, jesteś. Już myśleliśmy, że się rozchorowałeś albo... – nie dokończyła, bo dopiero teraz zorientowała się, że Tomowi towarzyszy Jess. – Cześć, Jess.

– Hej – odparła dziewczyna. Tom usiadł, ona jednak jeszcze się wahała. Po chwili wyjaśniła: – Zgubiłam się. Tom mnie znalazł. Mogę z wami przez chwilę tu posiedzieć? Nie mam ochoty spać w kabinie.

– No pewnie – zachęciła ją Alice.

Jess przeszła na drugą stronę ogniska i usiadła na stercie bagaży. Tom już podczas spotkania w dżungli uświadomił sobie, jaka jest drobniutka. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, bo zawsze towarzyszył jej Freddie, który był dokładnie tego samego wzrostu. Kiedy jednak usiadła naprzeciw nich, wydała mu się naprawdę maleńka.

Alice spytała:

– Może zjesz coś albo czegoś się napijesz?

Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową.

– Chętnie poleżałabym tu przez chwilę, jeśli wam to nie przeszkadza. – Nie czekając na odpowiedź, zwinęła się w kłębek na stercie bagaży.

Alice i George popatrzyli z zaciekawieniem na Toma. Było jasne, że chcą poznać całą historię. Tom uśmiechnął się tylko i wzruszył ramionami. Alice go przedrzeźniła, na co Tom zareagował śmiechem. Kiedy popatrzył znów na Jess, dziewczyna już spała. Było jasne, że trudy minionego dnia dały jej się we znaki.

Odwrócił się do pozostałych i powiedział:

– Jess poszła sama do dżungli. Liczyła chyba na to, że rzuci się na nią jaguar.

– O Boże – jęknęła Alice. – Skąd wiedziałeś?

– Nie słyszałem jej kroków na schodach, dlatego poszedłem sprawdzić, co się stało. No a potem od strony dżungli dobiegł mnie trzask łamanych gałęzi. Robiła wokół siebie tyle hałasu, że pewnie przepłoszyła jaguara.

– Kurczę, szkoda, że mnie nie zawołałeś – zauważył George.

– Nie było czasu. Nie chciałem, żeby odeszła za daleko. Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło.

– Namówiłeś ją, żeby z tobą wróciła – stwierdziła Alice. Tom potwierdził skinieniem głowy. Liczył, że nie będzie drażnić tematu. Nie miał ochoty wracać do tamtej rozmowy. Alice kiwnęła tylko głową, jak gdyby sama domyśliła się jej przebiegu. – Jestem pod wrażeniem. Powinieneś być z siebie dumny. To się mogło źle dla niej skończyć – powiedziała. Tom podziękował jej uśmiechem, a wtedy dodała: – Tom, mówię zupełnie poważnie.

– Wiem o tym. Dzięki – odparł, zerkając na śpiącą Jess. – Może to głupie, ale w pewnym momencie pomyślałem, że zrobię wszystko, żeby nie dopuścić, by umarł ktoś jeszcze.

– Przecież nikt nie zginął z twojej winy – zauważył George. – Te śmierci były dziełem przypadku. Podobnie jak moja decyzja, żeby opuścić drużynę.

– Ale właściwie dlaczego to zrobiłeś? – zwróciła się do niego Alice. – Dlaczego odszedłeś z zespołu? Ethan wspominał, że nikt nie mógł tego zrozumieć.

– Tak, wszyscy próbowali mnie od tego odwieść. Doprowadzało ich do szału, że nie dają im żadnej racjonalnej przyczyny, którą mogliby zrozumieć.

– Może dlatego, że byłeś takim dobrym zawodnikiem.

– Owszem, byłem całkiem niezły – przyznał George ze śmiechem, zaraz jednak spoważniał. – Nie chciałem, żeby wzięli to do siebie, ale po prostu miałem nieco inne ambicje. No wiecie, kto powiedział, że szczytem marzeń wysportowanego czarnoskórego musi być gra w piłkę?

Alice poklepała go pocieszająco po ramieniu.

– Cieszę się, że odszedłeś z zespołu – powiedział Tom.

– Dzięki, doceniam to. I wcześniej mówiłem zupełnie serio. Być może ludzie,

którzy zginęli już po rozbiciu się samolotu, umarliby i tak. Ale jeśli ktokolwiek odpowiada za ich śmierć, jest to Joel.

Tom nie zdążył odpowiedzieć, bo po niebie przetoczył się odległy grzmot. Wszyscy popatrzyli w górę, bo w pierwszej chwili łudzili się chyba, że to samolot. Kiedy jednak zrozumieli, co zwiastuje ten hałas, spojrzeli po sobie. Tom przypomniał sobie chmury, które dostrzegł wcześniej na horyzoncie. Zastanowił się, czy to te same i czy zmierzają w ich kierunku.

– Możliwe – odezwał się w końcu. – Ale i tak nie zamierzam dopuścić, by zginął ktoś jeszcze.

– Masz rację – rzekła Alice. – Taki właśnie cel powinien nam przyświecać. Mamy wszystkich ocalić. Rzecz jasna, łącznie z nami samymi.

Alice roześmiała się w reakcji na swój ostatni komentarz, jednak Tomowi z jakiegoś powodu zrobiło się nieswojo. Kolejny już raz przyłapał się na myśleniu, że niebezpieczeństwo grozi innym, nie jemu samemu ani Alice, ani innym osobom, które stały mu się bliskie. Słowa Alice niechcący obudziły w nim jednak niepokojącą myśl – a co, jeśli to ją spotka coś złego? Tom ze zdziwieniem stwierdził, że perspektywa taka napawa go przerażeniem.

Kolejny grzmot rozdarł ciszę. Zdawał się nieco mniej odległy, jednak było jasne, że burza wciąż znajduje się dość daleko. George popatrzył w nocne niebo, tam gdzie nadal było ono bezchmurne i rozgwieżdżone.

– Nie chcę tkwić w tym obozie, gdy spadnie deszcz.

Tom doskonale rozumiał jego obawy. Mieli za sobą dwa dni suchej pogody, a mimo to dzieciaki zdawały się ciągnąć już ostatkiem sił. Możliwe, że wystarczyłaby większa ulewa albo jakiś nieprzewidziany problem, żeby wśród ludzi zapanował chaos. Tom również uniósł spojrzenie ku gwiazdom, które zdawały się wisieć niesamowicie nisko nad ziemią. Ich piękno było uderzające, lecz mimo to nie mógł doczekać się nadejścia poranka.

## ROZDZIAŁ 25

**T**rzy godziny później teoretycznie mogli dołączyć do pozostałych w kabinie, jednak koniec końców zdecydowali się doczekać na warcie do rana. Dorzucili drewna do ognia i idąc za przykładem Jess, ułożyli się do snu na stertach bagaży.

Wysłuchany w trzaskający ogień i odległe gromy, Tom szybko zasnął. Kiedy się obudził, było już jasno. Uniósł głowę i zobaczył Jess, która krzątała się nieopodal i dorzucała do ognia resztki drewna.

George i Alice nadal spali. W kabinie samolotowej u góry wciąż panowała cisza. Być może ludzie byli wykończeni po wczorajszym dniu albo przywykli do nieustannego harmidru panującego w dżungli, który stał się teraz częścią ich życia.

– Cześć – rzuciła Jess, kiedy zobaczyła, że Tom już nie śpi.

– Hej – odpowiedział, siadając. – Dawno się przejaśniło?

– Jakies dziesięć minut temu. – Zaczęła grzebać w popiołach patykiem. – Dziękuję. Za to, co zrobiłeś dla mnie zeszłej nocy.

Tom skinął głową.

– Wiesz, że dzisiaj wyruszamy?

– Tak. – Jej spojrzenie pobiegło w górę stoku, tam gdzie znajdował się pojemnik z ciałem Freddiego. – Chyba pójdę się z nim pożegnać.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą?

– Dam sobie radę.

Oddaliła się od ogniska, nadal z patykiem w ręku. Przez chwilę pożałował, że nie poradził jej, żeby nie próbowała otwierać pojemnika. Zaraz jednak przekonał się, że niepotrzebnie się niepokoił. Dziewczyna nachyliła się nad pojemnikiem i opuściła głowę, jakby zatopiona w modlitwie. Tak, da sobie radę, ale to, co powiedział jej w mrocznej dżungli zeszłej nocy, było prawdą: nigdy już nie będzie

tym samym człowiekiem co dwa dni temu.

Z kabiny zaczęły dobiegać odgłosy świadczące o tym, że ktoś się obudził. Po chwili do ogniska, przy którym siedziała przebudzona już Alice, podeszli Shen i Barney.

– Dzień dobry. Bardzo już późno?

– Nie, niedawno wzeszło słońce – wyjaśnił Tom. Zauważył, że Alice zerka ku Jess. – Nie martw się o nią. Chce się po prostu pożegnać z Freddie.

Alice potrząsnęła tylko w milczeniu głową, jakby nie mogła ogarnąć rozumem, przez co musi teraz przechodzić Jess. Po chwili westchnęła i oznajmiła:

– Muszę się wysikać.

Po tych słowach wstała, przywitała się z Shenem i Barneyem i ruszyła do samolotu.

Shen wytrzasnął skądś dość produktów, by wszyscy mogli zjeść suto śniadanie. Nastroje dopisywały, gdy cała grupa posilała się przy ognisku. Dawało się wyczuć pewną nerwowość, ale wynikała ona raczej z ekscytacji. Ludzie mieli świadomość, że czekają ich dzisiaj nowe wyzwania, że dokądś wreszcie wyruszą, mimo że nie wiedzieli, dokąd konkretnie.

Przygotowania do wyprawy zajęły im około godziny. Joel znów wszystkimi komenderował, sprawdzał, czy ludzie spakowali to, co trzeba, lecz mimo to od czasu do czasu potrzebował rady Alice, która przypominała na przykład, żeby zabrać ze sobą wszystko, co wodoodporne, oraz że ludzie powinni założyć buty, a nie nieść je w bagażu.

Joel nie zauważył też chyba, że równolegle z oficjalnymi przygotowaniem miały miejsce też inne – Shen i Barney metodycznie obeszlili cały obóz. Zdjęli moskitiery, spakowali kluczowe zaopatrzenie do plecaków wybranych osób, a alkohol i apteczki pierwszej pomocy powierzyli Alice i George'owi. Jedzenie i picie rozdali natomiast po równo między wszystkich członków grupy.

Wcześniej Tom szperał w swoim plecaku w poszukiwaniu czystych ubrań. Zakładał, że to ostatnia szansa na zmianę ciuchów przed dotarciem do cywilizacji. Niczego wtedy nie zauważył, ale kiedy wszyscy zaczęli się gromadzić przed

wyruszeniem, Shen odciągnął go na bok.

– Do bocznej kieszonki plecaka włożyłem ci kilka latarek i jeden nóż. Barney ma drugi. Pod ubraniami znajdziesz dwa pistolety sygnałowe i zapasowe race. Razem z Barneyem będziemy nieść część artykułów pierwszej pomocy, pozostałe mają Alice i George. To samo dotyczy alkoholu. Trochę sprzętu spakowaliśmy też do tratw.

Tom skinął głową, jednak było jasne, że Shen oczekiwał czegoś więcej, jakiegoś dowodu aprobaty.

– Mówiłem ci już, że nie jestem waszym przywódcą. Ale nie zawiodę was.

– Wiem o tym. – Chłopak się uśmiechnął. – W przeciwnym razie sam wziąłbym jeden z tych pistoletów sygnałowych.

Tom wybuchnął śmiechem, ale już po chwili obaj usłyszeli podniesiony głos Joela:

– Do niesienia pojemników z dwiema tratwami ratunkowymi potrzeba czterech osób. Będziemy się zmieniać. Proponuję, żeby najpierw ponieśli je George z Chrisem oraz Sandeep z Nickiem, co wy na to? – W gruncie rzeczy nie było to pytanie, więc wszyscy pokiwali zgodnie głowami. – Musimy zastanowić się nad trasą. Shen, wspomniałeś, że rzeka przepływa gdzieś tam, prawda?

– Nie ja, tylko Tom. Ale tak, w tamtym kierunku. Naszym celem jest jednak przełęcz, więc będziemy musieli nadłożyć drogi.

Joel uśmiechnął się do niego z wyższością. Nadal, po wszystkim, co się wydarzyło, traktował Shena w sposób protekcjonalny.

– Super, ale przecież w tamtym kierunku prowadzi ścieżka wydeptana przez zwierzęta.

Alice spojrzała na Toma z przerażeniem – oczywiście, to tam jaguar zaatakował Naomi. Po drodze kolejny raz będą musieli minąć jej białego adidasa. A Tom jako jedyny wiedział też, że zeszłej nocy Jess chciała spotkać swoje przeznaczenie właśnie na tej trasie.

– Niedaleko jest jeszcze jedna ścieżka prowadząca do przełęcz, o której wspomniał Shen – odezwał się Tom. – Przecina ją co prawda przewrócone drzewo,



ale poza tym jest szersza.

– W porządku – zgodził się bez większego przekonania Joel. – W takim razie pójdziemy w tamtą stronę i zorientujemy się, jak wygląda ta droga.

Kiedy ludzie zaczęli zarzucać plecaki, Barney stwierdził:

– Mam trochę prętów. Może komuś się przydadzą?

Podszedł do zbiornika paliwowego i podniósł z ziemi naręczce metalowych drążków. Tom przyjrzał się im i zrozumiał, że są to rurki ze stelaża od namiotu. Barney zaimponował mu faktem, że w ogóle wpadł na pomysł, żeby je wykorzystać w taki sposób.

Nie wszyscy jednak byli pod wrażeniem.

– A jaki pożytek będziemy mieć z tych rur? – spytał Chris.

Barney zbył jego uwagę wzruszeniem ramion.

– W sumie niewielki. Ale mogą się przydać do odgarniania gałęzi tarasujących przejście, pajęczyn, tego typu rzeczy.

Dłużej nie trzeba było nikogo przekonywać – ludzie na wyścigi zaczęli wrywać mu rurki. Chloe powiedziała wręcz Barneyowi, że jest „istnym świętym”, co było dość komiczne.

Barney podniósł jeden z kijków i z uśmiechem patrzył, jak Tom robi to samo. Wcześniej Barney przy pomocy wodoodpornej taśmy klejącej z materiału przymocował nóż do końca kija. W efekcie powstało coś w rodzaju włóczni do łowienia ryb. Kiedy Barney ujął narzędzie, wyglądał zupełnie jak postać z kart powieści *Władca much*. Tom zachodził w głowę, czy ktokolwiek, kto nie uczęszczał na lekcje literatury angielskiej, wiedział, jaki finał ma historia opowiedziana w tej książce.

## ROZDZIAŁ 26

**W** końcu ruszyli gęsiego niczym jedna z tych starych ekspedycji, których celem było dotarcie do źródła rzeki. Zazwyczaj wyprawy takie organizowane były przez białych Europejczyków, którzy nie mieli pojęcia o otaczającej ich przyrodzie. Pod tym względem ich wędrówka niewiele różniła się od eskapad z epoki wiktoriańskiej – podobnie jak ich członkowie byli zagubieni, kiepsko wyposażeni i bez pomysłu na to, jak przeżyć więcej niż kilka dni w dżungli.

Joel szedł na przedzie kolumny, jednak za sprawą różnych machinacji sprawił, że tuż za nim posuwał się Shen. Joel nie zamierzał zrzec się swojej pozycji przywódcy, ale w końcu uzmysłowił sobie, że Shen ma wiedzę niezbędną do poruszania się po dżungli. Niektórzy, choćby Alice czy Barney, również mogli pochwalić się podobnymi umiejętnościami, jednak najwyraźniej zaakceptowanie tego przerastało możliwości Joela.

Pochód zamykał Tom, a tuż przed nim szli George i Chris, którzy nieśli pojemnik z jedną tratwą. Zanim wyruszyli, Tom obrzucił jeszcze spojrzeniem obóz, który mieli zostawić. Omiótł wzrokiem oderwaną tylną część kadłuba samolotu, ognisko, w którym nadal tlił się ogień, mimo że próbował je ugasić, porzucone przedmioty i pojemniki na bagaże, nadal zaścielające stok wzgórza. Wiedział, że jeden z nich kryje w środku ciało Freddiego.

Spojrzał ku szczytowi wzgórza, gdzie dostrzegł samotne resztki wczorajszego ogniska. Ku grani, która na samym początku zdecydowała, kto zginie, a kto będzie żyć. Mimo upływu czasu nadal nie posiadał się ze zdumienia – na zdrowy rozum nikt nie miał prawa przeżyć katastrofy samolotu. To kolejny powód, by wszyscy z ocalonych wrócili do domu.

Po chwili dołączył do pozostałych i wsunął się w wilgotny i poznaczony

plamami światła półmrok dżungli. Przysłuchiwał się rozmowom prowadzonym na przedzie kolumny. Z wyglądu przypominali ekspedycję badawczą, ale zdradzała ich mowa – wszyscy brzmiali jak dzieciaki na wycieczce szkolnej.

Posuwali się dość wolno, ale Tom uznał, że to dobrze – należało uniknąć sytuacji, gdy ludzie będą padać ze zmęczenia i upału. Po jakimś czasie kolumna w ogóle się zatrzymała.

Chris opuścił pojemnik z tratwą na ziemię. George nie miał innego wyjścia, jak tylko postąpić tak samo.

– Co się dzieje?

– Wygląda na to, że ścieżka jest zatarasowana.

George wyminął go i wyteżył wzrok.

– To chyba drzewo, o którym wspominał Tom.

Chris skinął głową z roztargnieniem. Po chwili przeszedł do przodu, żeby zamienić dwa słowa z Chloe.

– Jak duże jest to drzewo? – spytał George, zwracając się do Toma.

Żeby zademonstrować, jak daleko sięgał pień, Tom wskazał dłonią wysokość mniej więcej swojego pasa.

– Pokonałem je bez trudu – wyjaśnił. Jaguar zresztą też, ale o tym Tom nie wspomniał. – Niektórym osobom pewnie trzeba będzie pomóc. Zwłaszcza tym z plecakami.

George skinął głową, ale widać było, że się martwi: niepokojące było, że taka drobna uciążliwość może do tego stopnia spowolnić ich marsz. Tom miał podobne przemyślenia. Zastanawiał się, co czeka ich dalej i czy z czasem nauczą się sprawniej radzić sobie z takimi przeszkodami.

Po paru minutach wrócił Chris. Po drodze starał się poszerzać przejście.

– Chyba znów ruszamy. Joel upewniał się, czy nic nam nie grozi. Wiecie, węże, tego typu rzeczy.

Ujął uchwyt pojemnika, a gdy kolumna ruszyła i zaczęła nabierać szybkości, obaj, Chris i George, unieśli pojemnik z tratwą. Kiedy dotarli do leżącego w poprzek drogi drzewa, pokonali je z taką łatwością, że trudno było zrozumieć, co

właściwie mogło spowolnić grupę. Tom poszukał spojrzeniem miejsca, w którym zobaczył jaguara. Wpatrywał się w otaczającą ich zielen, która wydawała się skąpana w dziwnym, jakby morskim świetle, przesianym przez korony drzew. Chyba liczył podświadomie na to, że dojrzy gdzieś drapieżnika. Miał nadzieję, że jeśli będzie wystarczająco długo wpatrywał się w przestrzeń, w końcu bestia zjawi się, zupełnie jak w bajkach.

Kiedy jednak stało się jasne, że niczego tam nie ma, przeskoczył pień i dogonił pozostałych. Pomyślał wtedy, że na tym właśnie polegał fenomen dżungli: zazdrośnie strzegła swoich tajemnic. Tom i pozostali byli tu i zarazem ich nie było, a wkrótce las miał pochłonąć wszelkie ślady ich dwudniowej bytności w obozie.

Przez ponad godzinę bez odpoczynku kontynuowali wędrówkę. Poruszali się w niespiesznym, lecz stałym rytmie. Sam marsz nie był zbyt forsowny, jednak utrudniał go upał, a dodatkowo naprzykrzały im się owady. Wkrótce rozmowy zaczęły zamierać, niekiedy tylko ta czy inna osoba zdobywała się na parę słów.

W pewnym momencie odezwał się Chris:

– A co, jeśli okaże się, że ta ścieżka nie prowadzi do rzeki?

– To dukty wydeptane przez zwierzęta – wyjaśnił George. – Najprawdopodobniej wiodą do wody. W każdym razie posuwamy się we właściwym kierunku.

– Myślisz?

– Tak. Poza tym Shen wie, co robi.

– To Joel kieruje grupą – przypomniał mu Chris.

Zabrzmiało to tak, jakby chciał przywołać George'a do porządku. Tom wyciągnął z jego słów inny wniosek: nie mogli zdać się wyłącznie na instykt Shena, bo to nie on dowodził.

George nic nie odpowiedział i poszli dalej w milczeniu. Po jakimś czasie kolumna znów zwolniła, a z czoła dotarła do nich informacja, że dotarli na polankę i zatrzymają się na krótki postój. Szybko jednak stało się jasne, że to żadna polanka. Zrobił się zator, gdy ludzie z przodu zwolnili, a pozostali czekali, żeby przejść do miejsca odpoczynku.

Kiedy w końcu przysła też pora na Toma, jego oczom ukazał się niewesoły obraz. Ludzie byli w opłakanym stanie, wyglądali jak maruderzy pokonanej armii. Porozsiadali się na paru okolicznych głazach albo plecakach. Chris upuścił na ziemię niesiony pojemnik z tratwą i natychmiast na nim usiadł.

Wzdłuż ścieżki płynął niewielki strumyk, jednak w tym miejscu zmieniał bieg i kierował się ku rzece. W przeszłości musiał występować z brzegów, bo roślinność wzdłuż niego była wyraźnie przerzedzona. W miejscu, do którego dotarli, zbiegało się parę ścieżek ciągnących się z różnych stron dżungli.

Tom popatrzył w górę strumienia. Domyślał się, że prawdopodobnie przepływa niedaleko miejsca, w którym zginęła Naomi, a dalej zboczem wzgórz, na których szczycie rozbił się ich samolot. Strumień był niemal całkowicie wyschnięty, tylko na samym dnie sączyła się wątła strużka wody. Rzut oka na strome i zerodowane brzegi wystarczył, by stwierdzić, że podczas ulew zamieniał się w rwącą rzekę.

Po chwili do Toma podeszła Alice.

– Shen chce, żebyśmy poszli z nimi wzdłuż strumienia aż do rzeki i sprawdzili, jak to wygląda.

– W porządku.

Lawirując pośród odpoczywających, dotarli do miejsca, w którym stali Shen i Joel. Obaj wypatrywali czegoś po drugiej stronie strumyka. Shen tłumaczył coś, a Joel słuchał go z miną świadczącą o znudzeniu. Tom widywał taki wyraz twarzy u polityków oprowadzanych po zakładach produkcyjnych podczas oficjalnych wizytacji.

– Gotowi? – spytał Shen, kiedy podeszli.

Natychmiast wtrącił się Joel:

– Jeśli wolicie odpocząć, nie musicie z nami iść. Jestem pewien, że sami z Shenem też damy sobie radę.

– O tak, na pewno – mruknęła Alice.

Ruszyli całą czwórką wzdłuż koryta strumienia. Pokonali parę zakrętów. Im bliżej byli rzeki, tym bardziej parne stawało się powietrze, jakby pulsowało życiem. Gdy wreszcie przed nimi zalśniła gładka, mulista woda, nie było w niej nic

zachęcającego czy odświeżającego.

Shen wspiął się na brzeg strumienia w miejscu, gdzie wpadał on do rzeki. Pozostała trójka ruszyła za nim, a już po chwili stało się jasne, że żegluga na tratwach po tej rzece nie wchodzi w grę.

Szerokość była odpowiednia, jednak tylko w wąskim środkowym pasie rzeka była wystarczająco głęboka, by dało się bezpiecznie zwodować tratwy. Poza tym jej bieg najeżony był głazami. Nieco dalej od miejsca, z którego patrzyli, w poprzek koryta leżało powalone drzewo.

Tom zerknął na zegarek – do zmierzchu pozostało siedem, maksymalnie osiem godzin. Jeżeli nie napotkają jakichś większych przeszkód, powinni zdążyć przed wieczorem dotrzeć do odległych niskich wzgórz. Bardziej prawdopodobne było jednak, że czeka ich obozowanie w dżungli. Nie mogli ryzykować wędrówki w ciemnościach.

Milczenie przerwał Joel.

– Od początku wydawało mi się, że ten wasz plan z tratwami nie trzyma się kupy.

Uwaga ta skierowana była do Toma, ale Tom tylko popatrzył na niego w milczeniu. W jego imieniu wypowiedział się Shen:

– Liczyliśmy się z tym, że rzeka może okazać się niezeglowna.

– No i co teraz? Jakie macie pomysły? – spytał Joel.

– Pójdziemy wzdłuż rzeki do miejsca, w którym będziemy mogli zwodować tratwy – stwierdził Shen. Wskazał w dół rzeki i dodał: – Kierujemy się ku przełęczy. Za tymi wzgórzami powinno być łatwiej.

Joel potrząsnął niepewnie głową. Popatrzył na mętną wodę w rzece.

– Prawdę mówiąc, kiedy na to patrzę, nie jestem przekonany.

Shena nie opuszczał jednak dobry humor:

– Joel, jednej rzeczy możemy być absolutnie pewni: rzeki w dolnym biegu nigdy nie stają się węższe. Poza tym nie mamy wyjścia. Możliwe, że minie dzień lub dwa, nim dotrzemy do miejsca, w którym rzeka stanie się żeglowna. Ale tak czy inaczej, musimy pójść w dół jej biegu.

Joel niechętnie skinął głową. Nadal jednak z niepokojem spoglądał na brzeg.

– Coś mi się wydaje, że trudno będzie tędy się przedzierać.

Alice też popatrzyła z uwagą.

– Shen, Barney wspominał chyba, że dopóki będzie to możliwe, powinniśmy unikać bezpośredniej bliskości rzeki.

– Oczywiście. Do rzek schodzą się drapieżniki. Poza tym w ich pobliżu łatwiej złapać jakieś pasożyty.

– To właśnie miałem na myśli – zapewnił szybko Joel. – Pójdziemy wzdłuż rzeki tak daleko, jak będzie to możliwe, ale nie będziemy się zbliżać. – Następnie zwrócił się do Toma: – Masz coś do dodania?

Tom potrząsnął przecząco głową, po czym ruszył z powrotem tą samą ścieżką, którą przyszli. Nie miało dla niego znaczenia, w jaki sposób się dogadali. Nie przejmował się również faktem, że Joel nadal wyobrażał sobie, że dowodzi wyprawą. Ważne było tylko to, że decyzja, którą podjęli, była prawidłowa, oraz że nadal zmierzali we właściwym kierunku.

## ROZDZIAŁ 27

**K**ażdy dostał czas, żeby zjeść i czegoś się napić. Odpoczynek był krótki, ale ludzie tak wykańczał upał, że nikt nie miał siły protestować. Joel stanął na środku i wyjaśnił, na czym polega problem, jaki napotkali nad rzeką. Wy tłumaczył też, jaki jest dalszy plan.

– To chyba dobry moment, żeby zmienić osoby niosące tratwy.

Przez grupę przeszła fala szeptów. W końcu parę osób zgłosiło się na ochotnika.

– Ja mogę ponieść jeszcze przez godzinę – zaoferował George.

– Ja w sumie też – oświadczył Chris. Pozostali dwaj tragarze doszli do takiego samego wniosku.

– Świetnie – ucieszył się Joel. – W takim razie zbieramy się i ruszamy dalej.

Ludzie z wyraźnym wysiłkiem zaczęli się podnosić. Chloe zatoczyła się i klapnęła z powrotem na ziemię. Roześmiała się głośno, próbując ukryć zmieszanie.

Barney, który stał nieopodal, spytał:

– Wszystko gra?

Uniosła spojrzenie i uśmiechnęła się bez przekonania. Ten widok przypomniał Tomowi wyraz twarzy Freddiego, gdy klęczał na stoku porażony udarem słonecznym.

Po chwili jednak Chloe zdołała się podnieść.

– Po prostu za szybko wstałam – zapewniła. – Nic mi nie jest.

Barney pokiwał głową, ale przez chwilę przyglądał się jej uważnie z zatroskaną miną. Wreszcie spytał z uśmiechem:

– Chcesz, żebym szedł obok ciebie?

– A mógłbyś?

– No pewnie. Przełożmy trochę rzeczy z twojego plecaka do mojego.



Tom przypatrywał im się z boku z uśmiechem. Postronny obserwator uznałby zapewne, że Barneyowi po prostu podoba się Chloe. Tom znał go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że Barney postąpiłby tak samo w stosunku do każdej osoby z grupy. Ten gest dobroci budził szczególny podziw, jeśli pamiętało się, w jaki sposób Chloe potraktowała go poprzedniego dnia.

Ruszyli niespiesznie, a na czele tak jak wcześniej posuwali się Joel i Shen. Większość ludzi zachowała tę samą pozycję w kolumnie. Po chwili na polance pozostali tylko Chris, George, Tom i Alice – jedyna, która wyłamała się z szeregu.

– Chyba pójde teraz z wami – stwierdziła. – Z przodu za dużo osób lubi gadać.

– W takim razie trafiłaś pod właściwy adres – zauważył Tom. – U nas ci to nie grozi.

Alice uśmiechnęła się do niego i po chwili ruszyli. Nie rozmawiali ze sobą podczas marszu, mimo że ścieżka była na tym odcinku dość szeroka, by szli obok siebie. Ludzie w kolumnie też w większości ucichli, ale szło im się teraz szybciej.

Przez jakiś czas przedzierali się przez wyjątkowo cienisty zakątek dżungli. Dopiero gdy go pokonali i u góry znów ujrzeli niebo, Tom zrozumiał, że panujący wcześniej półmrok nie był tylko sprawką gęstych drzew. Niebo, do niedawna nieskazitelnie błękitne, przybrało teraz zamglony czerwonawopomarańczowy odcień.

– Nie wiedziałem, że tyle już idziemy – stwierdził Chris.

– Bo wcale nie idziemy długo – odparł George. – To nie zachód słońca, po prostu coś dziwnego dzieje się z powietrzem.

– Może ktoś wypala las – zastanowiła się Alice.

Chris, zadarłszy głowę, przyjrzał się zamglonemu niebu.

– Albo doszło do erupcji wulkanu – mruknął. – To by znaczyło, że naprawdę mamy pecha.

– A mnie się wydaje, że jeśli ktoś przeżyje nie tylko katastrofę lotniczą, ale też wybuch wulkanu, to może mówić o sporym szczęściu – zwrócił się do Alice Tom.

– O ile potem nie zabije go tsunami – odparła.

– Daruj sobie takie żarty – zachnął się Chris. – Śniło mi się, że znalazłem się

w centrum tsunami.

– Christian! – zganiła go Alice, jednak na jej ustach błąkał się uśmiech.

Było jasne, że nadal czuła sympatię do tego chłopaka, z którym znała się w dzieciństwie. Na ten widok Tom poczuł dziwne ukłucie zazdrości. Starał się je rozebrać na czynniki pierwsze, ale nie potrafił.

Z upływem czasu niebo ciemniało coraz bardziej. W powietrzu unosiła się teraz pomarańczowa mgiełka, a momentami dawał się w niej wyczuć kwaśny swąd, przywodzący na myśl spaliznę. Mimo że posuwał się na samym końcu kolumny, Tom słyszał, że ludzie snują spekulacje na ten temat. Ogień w lesie mógł mieć dla nich wielorakie konsekwencje.

Tom pomyślał, że Alice zapewne ma rację – prawdopodobnie faktycznie ktoś wypalał lasy. Niewykluczone, że setki kilometrów stąd. Zarazem jednak nie mógł uwolnić się od wrażenia, że w całej sytuacji było coś dziwnego. Nawet dżungla wydawała się cichsza, w miarę jak mgła opadała coraz niżej i otulała korony drzew.

Drugi postój urządzili w miejscu, gdzie nie było żadnej polanki. Usiedli po prostu na ścieżce. Ludzie popijali z butelek, które przekazywano wzdłuż kolumny. Tym razem jednak nikt nie jadł.

Chris usiadł wysoko na szczycie pojemnika, w którym niósł tratwę. Kiedy się odezwał, wszyscy musieli zadrzeć głowy.

– Pewnie i tak mnie zakrzyczycie, bo macie to w zwyczaju, mimo że nie myliłem się w sprawie samolotu – powiedział. W odpowiedzi rozległ się pomruk głosów. Chris parsknął śmiechem. – No dobra, z tym snem o katastrofie to była bujda. Ale pomyślcie: co, jeśli to nie był wypadek lotniczy?

– Co takiego? – zdziwił się Oscar.

– Już tłumaczę. – Chris wykazywał się cierpliwością, która mogła wskazywać, że dla odmiany mówi teraz całkowicie poważnie. – Jasne, nasz samolot spadł. Ale kiedy widzę tę mgłę, zaczynam się zastanawiać, czy nie wydarzyła się jakaś większa katastrofa. Może w Ziemię uderzył meteoryt albo wybuchła wojna nuklearna, a nasz samolot w efekcie zboczył z kursu i rozbił się w tej głuszy. Może nie tylko my jesteśmy w opałach. To by wyjaśniało, dlaczego nie zjawiała się żadna

pomoc. Po prostu nikogo oprócz nas nie ma już na Ziemi.

Odpowiedziało mu zbiorowe milczenie. Widząc to, co widzieli teraz wokół siebie, mogli bez trudu wyobrazić sobie, że świat zmienił się nie do poznania. Ciszę przerwał w końcu Barney:

– Jasne, to możliwe. Ale sposób, w jaki roztrzaskał się nasz samolot, wskazuje na znacznie bardziej prozaiczną przyczynę. To znaczy...

Chris nie pozwolił mu dokończyć. Najwidoczniej zamierzał trzymać się swojej teorii.

– Ale nie możemy wykluczyć, że stało się coś złego.

– Owszem, to możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne.

Ludzie znowu zaczęli szemrać.

– Sami słyszeliście – odezwał się Chris. – Ten chłopak ma umysł naukowca i przed chwilą przyznał, że być może mam rację.

Tom wstał i powiedział:

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. – Wskazując tratwę, dodał: – Teraz ja ją trochę podźwigam.

– Ja też – zaoferowała Alice.

George przyjrzał jej się uważnie.

– Jesteś pewna? Możemy zawołać któregoś z...

– Z chłopaków – weszła mu w słowo Alice. Po chwili z uśmiechem zapewniła: – Jeżeli będzie mi za ciężko, dam wam znać.

Ruszyli niespiesznie przed siebie, jednak nie uszli daleko, gdy znów musieli stanąć. Okazało się, że podczas ostatniego postoju coś ugryzło Larę. W ciągu dwudziestu minut od ukąszenia z boku twarzy narosła jej duża opuchlizna. Shen i Barney obejrżeli miejsce po ugryzieniu i czymś je posmarowali. Dziewczyna upierała się jednak, że czuje się dobrze, więc po chwili podjęto wędrówkę.

Niedługo potem Nick, idący w przedniej części kolumny, zszedł nagle ze ścieżki i zwymiotował w krzaki. Wyglądało na to, że znów nie obejdzie się bez postoju. Ale po minucie czy dwóch Nick stwierdził, że jest gotowy do dalszej drogi. Tom zauważył też w pewnym momencie, że Mila, która lekko utykała poprzedniego

dnia, teraz wspiera się na jednym z kijków Barneya niczym na lasce.

Wydawało się, że słabną z każdym krokiem, nadal jednak posuwali się we właściwym kierunku. Brnęli coraz głębiej w dżunglę, a nierówna ścieżka pięła się teraz stromo pod górę. Mimo że bez przerwy kąsały ich owady, które dało się dostrzec dopiero, gdy zatapiały żądło w ciele. Mimo parnego powietrza, które zdawało się ich oblepiać. Mimo nieustannego hałasu otaczającej ich dżungli – kontynuowali mozolną wspinaczkę.

W końcu jednak kolumna znowu zahamowała. Tom niósł teraz tratwę na spółkę z Chrisem. George i Alice natomiast szli za nimi, zamykając pochód.

Kiedy zwolnili, George powiedział:

– Nie możemy robić teraz przestojów.

– Obawiam się, że i tak nie zdążymy dotrzeć do rzeki przed zachodem słońca – odparła Alice. – Dlatego lepiej robić przystanki, jeśli ktoś się źle czuje albo nie ma siły dalej iść. Tak na wszelki wypadek.

Między wierszami kryło się tam coś jeszcze – sugestia, że za wszelką cenę chcą uniknąć kolejnej niepotrzebnej śmierci. Okazało się jednak, że tym razem nikt nie poczuł się źle. Kiedy zebrali się razem, zobaczyli, że przeszkoda, która ich zatrzymała, ma zupełnie naturalny charakter.

Tom i Chris odłożyli pojemnik z tratwą. Ludzie znowu padli na swoje plecaki. Nikt nie zaprzętał sobie głowy tym, co czeka ich kawałek dalej. Wszyscy leżeli bez ruchu, niektórym nie chciało się nawet odganiać owadów, które bez przerwy przysiadły na każdym odkrytym kawałku skóry.

Skwar dawał się szczególnie we znaki Chloe. Chris podszedł do niej i usiadł obok. George i Alice ruszyli na przód kolumny, żeby sprawdzić, co się dzieje. Tom podążył ich śladem. Doszli do miejsca, w którym ściana drzew nieco się przerzedzała. Ponieważ jednak zza zieleni wyłaniało się pomarańczowe, zamglone niebo, nie było tu wcale jaśniej.

Niemal natychmiast Tom zrozumiał, w czym problem – drogę przecinał im olbrzymi, głęboki jar. Tom nie mógł uwierzyć, że nie był on widoczny ze wzgórza nad obozem.

Miejsce, w którym stali, znajdowało się około trzech metrów wyżej niż przeciwległy brzeg wąwozu. Dolina była głęboka na dwanaście do piętnastu metrów, a jeden brzeg od drugiego dzieliło co najmniej dziewięć metrów. Skaliste dno wydawało się suche, ale stan stromych brzegów pozwolił wnioskować, że po ulewach spływa tędy woda. Cały ten jar przypominał coś w rodzaju wielkiej rozpadliny, jakby w tym miejscu ziemia się rozstała.

Tom dostrzegł Joela i Shena i ruszył do nich.

– Tom, potrzebuję twojej pomocy – rzekł na jego widok Shen. – Uważam, że powinniśmy poszukać miejsca, w którym dałoby się zejść na dół, a potem wspiąć się po drugiej stronie.

Nie wyglądało to zachęcająco – brzegi w niektórych miejscach wydawały się podmyte i wydrążone od spodu. Tom domyślał się, że zejście nie przysporzy im większych trudności. Jednak wydostanie się z powrotem na górę mogło okazać się bardzo trudne.

– A jaka jest alternatywa? – spytał.

Shen bez słowa wskazał obalone drzewo, które utworzyło naturalny pomost na drugą stronę. Ponieważ przeciwległy brzeg był niżej, pień nachylony był pod kątem. Drzewo wydawało się dość chybocliwe, ale najwyraźniej za pójściem tą drogą opowiadał się Joel.

Joel ostentacyjnie zignorował Toma.

– Shen, stary, kończy nam się czas. Ludzie są zbyt zmęczeni, żeby teraz schodzić na dół, a potem wdrapywać się z powrotem na górę. Mamy przecież linę. Przywiążemy ją tutaj, a ja przejdę po drzewie na drugą stronę. Sprawdzę, czy jest na tyle stabilne, żeby dało się po nim chodzić, i przywiążę ją na drugim brzegu, żeby pozostali mogli się jej chwycić podczas przeprawy. Nie ma innego sposobu.

Tom wiedział, że Joel ma rację. Członkowie grupy byli zbyt wyczerpani, żeby zmuszać ich teraz do schodzenia na dno jaru, a potem wspinania się z drugiej strony. Gdyby był sam, wybrałby bez wahania drogę po drzewie. Tyle że nie był wcale sam, a myśl, że trzeba będzie po kolei wysłać ludzi na to drzewo, budziła w nim złe przeczucia. Zwłaszcza że niektóre dzieciaki zmagaly się z drobnymi

kontuzjami, źle się czuły, były osłabione przez upał i głód. Dno znajdowało się co najmniej dwanaście metrów pod nimi. Jeśli ktoś się potknie, pozostanie im tylko mieć nadzieję, że umrze od razu i nie będzie się męczył.

## ROZDZIAŁ 28

U płynęło jeszcze pół godziny, zanim cała grupa zebrała się przy końcu powalonego drzewa. Potężne korzenie sterczały na wszystkie strony. Dopiero teraz, gdy stanęli na krawędzi, zorientowali się, że czeka ich bardzo trudna przeprawa: drzewo było nachylone pod większym kątem, niż z początku sądzili. Poza tym wprawdzie sam pień liczył od stu dwudziestu do stu pięćdziesięciu centymetrów szerokości, jednak stopy mogli opierać wyłącznie na jego wąskiej górnej części, która wyglądała dość ryzykownie.

Joel dopiero po paru próbach zdołał wgramolić się na pień. Gdy w końcu na nim stanął, odwrócił się do nich i powiedział pewnym siebie tonem:

– Spójrzcie na miejsce, w którym opieram się stopami. Właśnie w taki sposób będziecie się wspinać. To nie jest wcale trudne, kiedy już złapiecie, o co chodzi.

Tom zerknął na słuchaczy. Coś mu mówiło, że nie wszystkim ta przeprawa przyjdzie z łatwością. Zwłaszcza Chloe wydawała się lekko oszołomiona. Tom zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest to skutek ukąszenia jakiegoś owada.

Joel przywiązał jeden koniec liny do wielkiego, powykręcane go korzenia, po czym zaczął posuwać się wzdłuż pnia. Tom przyznał, że chłopakowi całkiem nieźle udawało się maskować niepokój. Zdradzało go jedynie kurczowe ściskanie liny, które nie umknęło uwadze Toma. Trudno było też nie zauważyć ziemi i kamieni obsypujących się z przeciwnego brzegu jaru i spadających ze stukotem w przepaść, gdy Joel zbliżał się do celu.

Kiedy lina rozwinęła się na całą długość, Joel przywiązał jej drugi koniec do jednej z gałęzi powalonego drzewa. Ostatnie kilka kroków pokonał w podskokach. Kiedy wylądował po drugiej stronie, spowodował kolejne niewielkie, lecz zauważalne osuwisko.

Mila, która opierała się całym ciężarem ciała na kijku, popatrzyła w dół

i mruknęła:

– Nie podoba mi się, że ta ziemia tak się obsypuje.

Chris chciał jej coś odpowiedzieć, ale w tym momencie z przeciwległej krawędzi dobiegło ich wołanie Joela:

– Słuchajcie, drzewo jest całkiem stabilne. A kiedy już na nie wejdziecie, zobaczycie, jakie jest szerokie. Nie zorientujecie się nawet, jak wysoko jesteście. – Odpowiedziało mu szemranie, w którym pobrzmiwały nerwowość i niedowierzanie. – Shen, ty pójdziesz pierwszy. Następnie Nick i Sandeep z pierwszą tratwą.

W nerwowej krzątaninie, jaka zapanowała, wyparowały wszelkie obawy przed ryzykiem, jakiego się podejmowali. Shen natychmiast wszedł na pień, a zaraz potem Nick z Sandeepem umieścili na nim pojemnik z tratwą, po czym ruszyli za nim. Posuwali się powoli, trzymając się kurczowo liny. Pojemnik trzymali między sobą, uważając, żeby nie ześlizgnął się na dużej pochyłości.

Tom nie zwracał uwagi na nerwowe przygotowania. Zamiast tego studiował przeciwny brzeg, a konkretnie miejsce, w którym opierał się szczyt drzewa. Z niepokojem patrzył, jak nieprzerwanie, z każdym krokiem Nicka i Sandeepa, obsypuje się z niego ziemia. Cała naprzeciwległa ściana jaru wydawała się mało stabilna.

Kate i Emma przedostały się na drugą stronę z łatwością. Za nimi na drzewo weszła Chloe, eskortowana przez Chrisa. Chłopak szedł za nią i jej doradzał. Kiedy jednak dziewczyna dotarła do końca liny, zamarła bez ruchu, mimo że od krawędzi dzieliło ją tylko kilka kroków. Nie było tam dość miejsca, by Chris mógł ją wyprzedzić. Niewiele myśląc, Kate wspięła się z powrotem na drzewo. Chwyliła przerażoną Chloe za rękę i pomogła jej pokonać ostatni odcinek.

Alice podeszła do Toma i oświadczyła:

– Przeniosę drugą tratwę z George'em. Ale zaczekamy z tym na sam koniec, ze względu na jej wagę. George martwi się obsypującą się ziemią po drugiej stronie.

– W porządku – odparł Tom. – Ja pójde ostatni. Kiedy dotrzecie już na drugi brzeg, odwiążę linę i zabiorę ją ze sobą.



Ta perspektywa chyba ją zaniepokoiła. Przez chwilę zastanawiała się, co powiedzieć. Wreszcie stwierdziła:

– Mamy więcej liny. Lepiej ją zostaw, żebyś miał się czego chwycić.

Poczuł się wzruszony, że Alice się o niego troszczy.

– Dam sobie radę – zapewnił ją z uśmiechem. – Lina nadal będzie przywiązana z drugiej strony.

Skinęła głową. Otwierała już usta, żeby coś powiedzieć, gdy z drugiego brzegu dobiegł krzyk.

Na drzewie znajdowali się teraz Oscar i Lara. Chłopak zdążył zawołać „Trzymaj się!”, a z przeciwległej ściany wąwozu oderwał się olbrzymi kawał ziemi. Szczyt drzewa się osunął, ale znalazł oparcie w nowo utworzonej wyrwie.

Wstrząs był taki silny, że Oscar i Lara stracili równowagę, ale ponieważ trzymali się liny, jakimś cudem zdołali utrzymać się na drzewie. Lara jęknęła z bólu i pomasaowała się po biodrze, które musiało ucierpieć podczas upadku.

Ludzie wokół Toma zaczęli z niepokojem komentować to, co się wydarzyło. Po chwili Joel zawołał do Oscara i Lary:

– Wszystko w porządku. Dacie radę. Po prostu posuwajcie się wzdłuż pnia, za chwilę was przejmiemy. – Wprawdzie Tom i pozostali słyszeli go całkiem dobrze, lecz mimo to Joel podniósł głos, gdy się do nich zwrócił: – Na razie zczekajcie tam, gdzie jesteście. Najpierw sprawdzimy, czy pień jest stabilny.

George uniósł ze zdziwieniem brew.

– To akurat już wiemy.

Wszyscy w milczeniu patrzyli, jak Oscar pokonuje ostatni odcinek. Za nim, lekko kulejąc, posuwała się Lara. Kiedy oboje zeskoczyli na ziemię, ludzie odetchnęli z ulgą. Pięcioro osób nadal jednak się nie przeprawiło – Barney, Jess, a także George i Alice niosący tratwę, no i Tom.

Joel długo badał ziemię, po czym wdał się w rozmowę z Shenem, który potrząsał głową i kilka razy zerkał na stojącego po drugiej stronie wąwozu Barneya, jakby chciał zasięgnąć jego rady. Joel kopnął krawędź, a gdy spod jego stopy osypała się ziemia i kamienie, postawił ją na pniu i nacisnął, jakby chciał udowodnić, że

drzewo się nie obluzuje.

Po chwili Tom usłyszał zdziwiony głos Barneya:

– Jess?

Kiedy odwrócił się w tamtą stronę, zobaczył, że dziewczyna wspięła się już na drzewo.

Uśmiechnęła się najpierw do Barneya, potem do Toma. Był to uśmiech, który Tom rozumiał, lecz zarazem czuł, że nie powinien mu dowierzać.

– Joel i tak nie sprawdzi, czy drzewo jest stabilne. Ja ważę najmniej z was wszystkich.

Po tych słowach ruszyła wzdłuż pnia, prawie nie przytrzymując się liny. W połowie długości drzewa przystanęła i odwróciła się do nich, a Toma momentalnie ogarnęły złe przeczucia, że dziewczyna rzuci się w przepaść. Ale już w następnej sekundzie Jess wzruszyła lekko ramionami, jakby chciała tylko zademonstrować im, jak łatwo się idzie, po czym ruszyła dalej. Kiedy zbliżała się do drugiego końca drzewa, ze ściany obsypało się jeszcze więcej ziemi, ale sam pień nie drgnął.

Joel nie zorientował się, że Jess przeprawia się na drugą stronę. Dopiero gdy była już niemal u celu, aż podskoczył z wrażenia na jej widok. Szybko się zreflektował i zachowując się, jakby to był jego pomysł, zawołał:

– Super, damy radę. Barney, ty idziesz następny.

Drzewo wytrzymało również przejście Barneya. Tom pomógł George'owi i Alice umieścić tratwę na pniu. Następnie wgramolił się za nimi na drzewo i stanął w miejscu, w którym lina przywiązana była do jednego z korzeni.

– Jak tylko przeniesiecie tratwę na drugą stronę, odwiążę ten koniec liny i ruszę za wami.

George i Alice, tak samo jak wcześniejsza para przenosząca pierwszą tratwę, również zmuszeni byli poruszać się maleńkimi kroczkami. Pień znajdował się teraz pod jeszcze większym nachyleniem, a w ten sposób mogli nieco wyhamować. Ludzie z przeciwnej strony śledzili w skupieniu każdy ich ruch. Przeciwnie ściana jaru wydawała się teraz stabilna, lecz mimo to Toma nie opuszczało

wrażenie, że coś jest nie w porządku.

Wtem poczuł jakieś poruszenie w pniu pod swoimi stopami. W pierwszej chwili pomyślał, że może to wibracje, w jakie wprawiały pień kroki George'a i Alice. Zaraz jednak zorientował się, że bardziej przypomina to drżenie napinanego materiału – coś jak trzeszczenie liny rozciągniętej do granic wytrzymałości, która lada chwila miała pęknąć.

Było jasne, że George i Alice również to czują, bo zaczęli wymieniać między sobą krótkie, nerwowe komentarze. Przyspieszyli też zauważalnie kroku. Z drugiego brzegu Joel zawołał:

– Powoli! Dacie radę!

Oni jednak nie zwracali na niego uwagi – posuwali się coraz szybciej, a Tom czuł, jak rośnie napięcie w pniu. Wreszcie drewno nie wytrzymało.

Poczuł, jak unosi się w górę. W tym samym momencie rozległ się donośny trzask przypominający rozdarcie. Drzewo pod nim poruszyło się gwałtownie. Tom znalazł się w powietrzu, a zaraz potem z wielkim impetem runął na ziemię. Przez ciężki plecak tym dotkliwiej odczuł upadek. Obok siebie poczuł gwałtowny ruch powietrza. Z drugiej strony jaru ktoś krzyknął, równocześnie coś trzasnęło. Obejrzał się szybko w tamtą stronę.

Wielki fragment ściany po jego stronie wąwozu obsunął się, a drzewo ześlizgnęło się w przepaść. Jeszcze przez chwilę było widać sterczące w górę korzenie, ale zaraz potem w powietrze wzbily się kłęby pyłu. George i Alice również znaleźli się w powietrzu i w pierwszej chwili Tom nie mógł się zorientować, czy skoczyli, czy zostali wyrzuceni. Zdążyli dostać się na drugą stronę czy spadli w przepaść.

Okazało się, że dosięgnęli krawędzi. Udało im się nawet utrzymać pojemnik z tratwą. Tom domyślił się, że uratował ich skok. Jednak ulga, którą poczuł na ten widok, szybko ustąpiła miejsca przerażeniu. Gdy tylko George wylądował, ziemia pod jego stopami zaczęła się osypywać. W następnej sekundzie chłopak poleciał w dół, pociągając za sobą pojemnik z tratwą.

Alice krzyknęła, gdy poczuła gwałtowne szarpnięcie. Nie puściła jednak

uchwytu, mimo że ciężar George'a i tratwy z łatwością mógł pociągnąć ją w przepaść. George tymczasem szamotał się poniżej, objając się o ścianę jaru. W jednej ręce nadal ścisnął uchwyt pojemnika, drugą próbował się czegoś chwycić.

Na skutek kolejnego osunięcia terenu George jeszcze bardziej się ześlizgnął. Jego ciężar zawlókł Alice na samą krawędź, ale ona nadal nie puszczała uchwytu, co było właściwie niewiarygodne. Po chwili jednak dał się słyszeć jej zduszony krzyk:

– Niech ktoś mi pomoże!

Kilka osób otrząsnęło się z odrętwienia i ruszyło biegiem w jej stronę. Najszybciej zareagował Chris: przejął od niej uchwyt pojemnika i zaczął ciągnąć tratwę w górę. George tymczasem znów z impetem zderzył się ze ścianą, z której obsypała się ziemia. Nadal jednak się trzymał, a gdy znalazł się blisko ściany, Oscar wychylił się znad krawędzi i chwycił go za ramię. Po chwili, z pomocą Chrisa, zdołali dźwignąć go razem z pojemnikiem nad krawędź. Szybko odsunęli się od brzegu na wypadek, gdyby oberwać miało się jeszcze więcej ziemi.

Zaczęto wznosić triumfalne okrzyki. Tom również wiwatował i śmiał się radośnie. Przepelniała go ulga na myśl, że George był o krok od śmierci, lecz mimo to zdołał ujść z życiem. Popatrzył w dół, gdzie spadło drzewo. Jednak gdy uniósł znów spojrzenie, okrzyki radości dobiegające z drugiej strony wąwozu umilkły. Ludzie patrzyli na niego w milczeniu. Cieszył się, że z tej odległości nie widzi dokładnie ich twarzy.

Alice obejmowała George'a, jednak teraz, zaalarmowana nagłą ciszą, odwróciła się i zobaczyła Toma. Bezwiednie ruszyła w jego kierunku i stanęła niebezpiecznie blisko krawędzi.

– Zaczekamy tutaj! – Nie była to propozycja, raczej stwierdzenie oczywistego faktu. – Musisz jakoś zejść na dół, a wtedy rzucimy ci linę.

Tom popatrzył znów na leżące na dnie wąwozu drzewo, szukając wzrokiem liny, którą stracili. Potem uniósł spojrzenie na grupę ubłoconych osób. Joel miał rację – zejście na dół byłoby dla nich nie lada wyzwaniem. Dla niego zresztą też. A nie mieli już czasu do stracenia.

– Nie czekajcie na mnie! Kierujcie się ku rzece – zawołał. Alice zaczynała już potrząsać odmownie głową. – Musicie iść dalej! Ja dam sobie radę. Znajdę sposób, żeby się przeprawić na drugą stronę, i was dogonię.

George stanął obok Alice. Zacierając ręce, odkrzyknął:

– Mam inny pomysł. Ja i parę osób zaczekamy tu na ciebie, a reszta wyruszy dalej. A potem dogonimy ich razem.

Perspektywa taka była kusząca, lecz Tom wiedział, że to zły pomysł. Wyśmiewał upór, z jakim Joel zabiegał, by wszyscy trzymali się razem w obozie. Jednak tutaj zyskiwało to na znaczeniu, ponieważ przeprawa przez dżunglę jednej grupy była wystarczająco trudna. Musiał znaleźć sposób, by wyperswadować ten zamiar George'owi i Alice.

– Nie chcę, żebyście na mnie czekali. Jeśli pójdziecie wszyscy, znajdę sposób, żeby do was dołączyć. Jeśli będę sam, zamiast szukać wyjścia z jaru, będę mógł skierować się prosto do rzeki. Zaufajcie mi, to jedyny sposób. Lepiej poradzę sobie sam.

Tom nie widział Joela, usłyszał tylko, jak mówi:

– Tom ma rację. Musimy ruszać dalej. On łatwiej niż ktokolwiek inny zdoła nas dogonić. – Słowa te zabrzmiały pusto, jakby były pozbawione znaczenia. Pobrzmiwało w nich niemal coś w rodzaju satysfakcji. Joel wyszedł przed grupę i stanął obok Alice i George'a. – Hej, stary, możemy coś dla ciebie zrobić?

– Możesz przestać nazywać mnie „stary”. Poza tym nic.

Joel przywołał na usta sztuczny uśmiech, następnie odwrócił się do grupy. Gdy zaczął wydawać polecenia, jego głos był jedynym dźwiękiem wznoszącym się ponad otaczający ich warkot dżungli.

Kiedy zebrali się do odejścia, Kate zbliżyła się jeszcze do krawędzi i zawołała:

– Nie wędruj po zmroku, nawet jeśli będziesz pewien, że masz do nas niedaleko. Rozpal lepiej ogień i poczekaj do rana.

Tom skinął głową na znak, że rozumie. Dziewczyna dołączyła do Emmy, jednak nadal wydawała się niespokojna.

Po niej na krawędzi stanął Shen. Dłonie złożył w megafon i zawołał:

– Kieruj się w górę rzeki. Wiem, że to w przeciwnym kierunku, niż my się wybieramy. Intuicja podpowiadałaby coś innego, ale kiedy patrzę na ukształtowanie terenu, wydaje mi się, że tak łatwiej znajdziesz drogę. No i będziesz bezpieczniejszy.

Tom wolał nie zastanawiać się, co mogło się kryć za ostatnim stwierdzeniem Shena.

– Tak zrobię – powiedział. – Dzięki, Shen.

George uniósł rękę w geście pożegnania. Tom odpowiedział mu tym samym. Grupa z wolna zniknęła między drzewami, aż po chwili została tylko Alice.

– Dam sobie radę – zawołał Tom, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Potrząsnęła głową, jakby nieusatisfakcjonowana tym zapewnieniem. Odezwała się po paru sekundach.

– Obiecuj.

– Obiecuję. A teraz już leć.

Emocje wzięły górę, nic więcej nie mógł z siebie wydusić. Chciał, żeby Alice już sobie poszła, lecz gdy w końcu odwróciła się i ruszyła śladem pozostałych, poczuł dziwne ukłucie w sercu.

W ciągu kilku sekund wszyscy zniknęli mu z oczu, przepadając wśród wszechobecnej zieleni. Tom nie ruszał się jeszcze przez kilka minut, nasłuchując głosów, które zdawały się docierać do niego z oddali falami. W końcu jednak umilkły one ostatecznie, a wokół niego rozbrzmiewała tylko dżungla. Został sam. Ale nie to stanowiło problem – połowę życia spędził w pojedynkę, nie szukał towarzystwa rówieśników. Teraz jednak działo się z nim coś innego. Nie tylko został sam, ale po raz pierwszy w życiu poczuł się naprawdę samotny.

Na ironię losu zakrawał fakt, że ta garstka dzieciaków potrzebowała właśnie *jego*. Oczekiwali, że podejmie za nich decyzje, że sprzeciwi się Joelowi, że wejdzie w rolę przywódcy. Jednakże w tej chwili miał poczucie, że to on bardziej potrzebuje ich niż oni jego. Chciał znów obmyślić plan wspólnie z Shenem i Barneyem, móc porozmawiać z George'em i Alice, mieć obok siebie Jess, którą mógłby się zaopiekować.

Popatrzył na pomarańczowe niebo nad drzewami. Popatrzył w dół jaru. I na ścianę dżungli, którą miał za plecami. Na chwilę opanował go dziwny strach – nie wiedział, jakie właściwie jest jego źródło. Jedyne powód, jaki wpadł mu do głowy, to samotność, której przecież zawsze szukał. Ale trwało to tylko sekundę, bo wiedział, że teraz nie pora na uzalanie się nad sobą. Dał słowo i zamierzał dotrzymać tej obietnicy.

## ROZDZIAŁ 29

**W**ędrówka wzdłuż brzegu jaru nie wchodziła w grę. Miejscami roślinność porastała samą krawędź i nie potrafił przewidzieć, jak stabilny jest grunt pod spodem. Wyglądało na to, że będzie zmuszony zawrócić i ruszyć z powrotem ścieżką, którą tu przyszedł.

Przez cały czas wypatrywał duktów odchodzących w prawo. Jednak dżungla najwyraźniej zmówiła się, żeby poprowadzić go z powrotem do punktu wyjścia. Ich marsz trwał wiele godzin, jednak teraz w Tomie zaczął budzić się irracjonalny lęk, że lada moment trafi z powrotem do pustego obozu. A tam za towarzystwo będzie mieć tylko zwłoki Freddiego, zamknięte w pojemniku, oraz trupy we wraku po drugiej stronie wzgórza.

Niebo zdawało się ciemnieć, jednak kiedy sprawdził czas na zegarku, okazało się, że do zachodu słońca zostały mu jeszcze dwie-trzy godziny. Oczywiście to żadna pociecha, jeśli będzie posuwać się w złym kierunku, oddalając się od reszty grupy.

Przez chwilę pomyślał o Kate i Shenie, którzy przed odejściem dawali mu rady. Wróciło wspomnienie George'a i Alice, którzy niechętnie przystali na to, żeby zostawić go z tyłu. Wolał jednak odsunąć te myśli, bo uzmysławiały mu, jak bardzo jest sam. Zapewne nie groziło mu teraz większe niebezpieczeństwo niż wtedy, gdy poruszał się w grupie. Mimo to podskórnie czuł, że znalazł się w większych tarapatach.

Po pewnym czasie zauważył coś, co wyglądało jak szlak, który może go poprowadzić we właściwym kierunku. Ścieżka była pozarastana, przez co nie widział, na co staje. Ruszył nią jednak, z rozmysłem hałasując, żeby ostrzec ewentualne stworzenia, które mogłyby go ukąsić. Po dwudziestu minutach drogę zastąpiła mu gęstwina bujnie rozrośniętych roślin o poskręcanych łodygach. Coś



w ich wyglądzie podpowiedziało mu, że powinien trzymać się od nich z dala. Zatrzymał się, wypił odrobinę wody. Pacnął owada, który przysiadł mu na karku, i rozejrzał się wkoło. Po chwili obszedł gąszcz, jednak za nim ścieżka wyglądała jeszcze mniej zachęcająco. Tom miał wrażenie, że posuwa się we właściwym kierunku. Problem polegał na tym, że trasa, którą się teraz poruszał, nie była uczęszczana nawet przez większe zwierzęta.

Martwiło go, że robi wokół siebie tyle hałasu. Z jednej strony mógł uprzedzić o swoim nadejściu węże, z drugiej stawał się głuchy na inne odgłosy lasu, a więc także te, które mogły potencjalnie ostrzec go przed jakimś niebezpieczeństwem. Co kilka minut przystawał i nasłuchiwał, zatapiając się w szeptach dżungli.

Podczas jednego z takich przystanków usłyszał krzyk dobiegający z lewej strony. Zamarł bez ruchu, a po plecach, do których kleiła się przemoczona od potu koszulka, przeszedł mu lodowaty dreszcz. Odgłosu, który usłyszał, nie wydał człowiek. Dopiero po dłuższej chwili serce забиło mu spokojniej, jednak nawet wtedy wolał nie zastanawiać się, jakie stworzenie mogło wydawać takie dźwięki ani jak daleko od niego się znajdowało.

Przedzierał się przez las. W pewnym momencie zmiana w oświetleniu zasugerowała mu, że może zaraz uda mu się wyjść na bardziej odkryty teren. Kto wie, może dotrze z powrotem do krawędzi jaru? Szybko jednak przekonał się o swoim błędzie – okazało się, że to nie światło się zmieniło, a wszedł teraz w coś w rodzaju mgiełki. Po paru krokach ze zgrozą uświadomił sobie, że owa mgła to w rzeczywistości gęste kłęby pajęczyn. Rozwieszane między drzewami zagradzały dalszą drogę.

Postąpił jeszcze kawałek przed siebie i zobaczył, że buzuje w nich życie i uwijają się tysiące pajaków. Sieci zdawały się rozciągać na trzydzieści, czterdzieści metrów wzdłuż szlaku, niczym gęsty mur zbudowany z nici i pajaków – może nie dużych, na pewno mniejszych od okazów, jakie widywał wcześniej, ale to wcale nie znaczy, że niejadowitych. Poza tym sama ich liczebność przyprawiała o zawrót głowy. Tom rozejrzał się za inną drogą, ale bez powodzenia. Musiałby zawrócić i cofnąć się ścieżką, którą tu przyszedł. Wtedy najprawdopodobniej

w ogóle by nie zdążył dogonić reszty grupy. Zrobił więc jeszcze jeden krok w przód. Zauważył, że w odpowiedzi na jego kroki znajdujące się najbliżej pająki wykonywały gwałtowne, rwane ruchy, które niczym fala roznosiły się po sieciach.

Na myśl o tym, że mogłyby skoczyć na niego z sieci, instynktownie się cofnął. Następnie sięgnął do tyłu i z bocznej kieszeni plecaka wyciągnął nóż, który zostawił mu Shen.

Rozejrzał się wkoło za gałęzią, którą mógłby uciąć. Jego wybór padł na grube pnące porastające pień drzewa. Ciachnął je w dwóch miejscach. Przez chwilę na próbę chłostał nim trawę. Na koniec stanął znów przed siecią.

Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, zamachnął się i posłał pnące w pajęczyny. Pod wpływem uderzenia w gęstwinie sieci otworzyła się szczelina i utworzyła coś w rodzaju tunelu. Nieduże, lśniące ciała pajaków zdawały się rozpierzchać na wszystkie strony. Jednak Tom wiedział, że to nie wystarczy. Na razie zdołał jedynie spenetrować niewielki wycinek, a pajęczyna przed nim wcale nie ustępowała gęstością tej, z którą sobie poradził. Co gorsze, przez jego ingerencję pająki stały się bardziej nerwowe.

Wiedział, że nie może teraz zrezygnować. Nie mógł też zastanawiać się zbyt głęboko nad tym, co właściwie robi. Dlatego zaczął po prostu wymachiwać przed sobą prowizorycznym biczem, posuwając się krok za krokiem w głąb gęstwiny. Pajęczyny oblepiały pnące, wkoło fruwały strząśnięte pająki, niektóre może nawet lądowały na Tomie. Przyspieszył, a w pewnym momencie nawet przesadził: wszedł w nienaruszoną pajęczynę, która momentalnie oblepiła mu twarz i włosy. Poczul, jak coś szybko przebiega mu po czole, coś innego wpełzło mu za ucho i zsunęło się po szyi. Tom był jednak zbyt pochłonięty pracą i zanadto naładowany adrenaliną, żeby zwracać na to uwagę. Bez chwili wytchnienia wyrąbywał sobie drogę lianą, żeby zapuścić się coraz głębiej w niekończący się ocean pajęczyn.

Wreszcie dotarł do miejsca wolnego od sieci, jednak było to złudne zwycięstwo, ponieważ kilka metrów dalej rozpoczynała się kolejna kolonia. Serce biło mu jak opętane. Nie mógłby przestać, nawet gdyby chciał. Trzasnął lianą w sam środek nowej kolonii i bez namysłu wsunął się w szczelinę. Posuwał się teraz jeszcze

szybciej i coraz sprawniej wyprowadzał ciosy. Całe ciało miał już obleczone lepкими nićmi. Ramiona, twarz i włosy pełne miał pajaków.

Wreszcie wypadł z gąszczu i przebiegł jeszcze kilka kroków. Odrzucił lianę, uwolnił się od plecaka. Nie próbował patrzeć w dół, tylko zaczął na oślep okładać się dłońmi po ramionach i nogach, twarzy i włosach. Nie przestawał przez długi czas, jakby pochłonał go jakiś szalony transowy taniec.

W końcu odważył się spojrzeć w dół, żeby poszukać żywych pajaków. Wydawało mu się, że czuje jednego na plecach. Zdarł z siebie T-shirt, strzepnął go, po czym zaczął się nim okładać. Kiedy był już pewien, że pozbył się wszystkich intruzów, zajął się plecakiem i przepędził pozostałe uczipione go pajaki.

Wstał, zdyszany, i omiół spojrzeniem swoje dzieło zniszczenia. Mimo tunelu, który wyciął, w gąszczu, między drzewami, a nawet nad jego głową nadal wisiało mnóstwo gigantycznych pajęczyn. Nie miał wątpliwości, że wkrótce pajaki odbudują to, co zniszczył, i po jego bytności nie pozostanie żaden ślad.

Nagle poczuł, że coś porusza się w jego włosach. Zaczął gorączkowo macać się po głowie i po chwili pajak spadł na jego odkryte ramię, a potem na ziemię. Tom podskoczył zupełnie bez powodu i zaczął przeczesywać dłońmi włosy. I dopiero wtedy przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, czy na dłoniach i ramionach nie ma śladów po ukąszeniu. Na szczęście nic takiego nie znalazł.

Uspokojenie się wymagało od niego niemal fizycznego wysiłku. Dopiero wtedy pomyślał z satysfakcją, że dał radę. Stawił czoła niebezpieczeństwu i wyszedł z konfrontacji obronną ręką. Założył z powrotem koszulkę i spojrzął przed siebie. Dalej szlak wydawał się nieco mniej zarośnięty. Powtarzał sobie, że mu się uda. W końcu najgorsze miał już za sobą, teraz musiał po prostu uparcie brnąć przed siebie.

Podniósł z ziemi plecak i napił się jeszcze wody. Potem jeszcze raz przeszukał plecak, a gdy upewnił się, że nie ma na nim nieproszonych pasażerów, zarzucił go sobie na plecy. Wyruszył natychmiast, ale nadal był niespokojny. Ilekroć coś go załaskotało, okładał się po tym miejscu dłonią. Reagował na każdego owada, który przysiadł na jego skórze, jakby nadal nie dowierzał, że zdołał pozbyć się

wszystkich pajaków.

Ścieżki były tu coraz lepsze, a do tego ich przybywało. Kilka razy znajdował takie odchodzące w prawo, a więc w kierunku, który go interesował. Pół godziny po opuszczeniu kolonii pajaków dotarł do miejsca na pochyłości terenu, gdzie drzewa rosły nieco rzadziej. Polanka nie była zbyt duża, ale uznał, że powinna wystarczyć do rozbicia obozu.

Sprawdził godzinę, pamiętając o radach Kate dotyczących rozpalania ogniska i zaniechania wędrówki po zmroku. Domyślał się, że ma jeszcze około trzydziestu minut, nim zrobi się całkiem ciemno.

Od momentu rozdzielenia się z grupą minęły już ponad dwie godziny. Tom zachodził w głowę, jak daleko zdążyli dojść inni ocaleni. Jaka odległość dzieliła ich teraz od przełęczy i rzeki, która miała być dla nich wybawieniem. Czuł się z tym dziwnie, bo przecież przed przybyciem tutaj wszyscy ci ludzie niewiele dla niego znaczyli. Zresztą nadal z niektórymi nie czuł się związany. Mimo to miał nadzieję, że im się uda, niezależnie od tego, jak on sam sobie poradzi.

Rozejrzał się po polance w poszukiwaniu suchego drewna na rozpałkę. Pech chciał, że teren, na który trafił, porastała bujna roślinność, a żywa zieleń liści sugerowała, iż jest tu raczej wilgotno. Zaczął obchodzić skraj polanki, wypatrując czegokolwiek, co nadałoby się do spalenia. Nagle kątem oka zarejestrował jakiś ruch w trawie, ale było już za późno.

Najpierw poczuł uderzenie, a dopiero w następnej sekundzie zrozumiał, co się dzieje – ujrzał węża, który wynurzył się z trawy i rzucił się na jego nogę tuż poniżej kolana. Poczuł, jak łeb gada z impetem zderza się z jego łydką. Odskoczył, najpierw robiąc jeden krok do tyłu, po chwili następny. Dopiero teraz mógł dokładniej przyjrzeć się przeciwnikowi – wąż liczył około półtora metra długości, a jego łuski miały brązowo-czarno-żółty kolor.

Tom wykonał jeszcze jeden uskok, ale wąż wyprężył się i zaatakował ponownie. Nie dosięgnął celu, ale wcale go to nie zraziło. W kierunku Toma ponownie wystrzeliła paszcza. Chłopak spróbował odskoczyć jeszcze raz do tyłu, jednak potknął się o leżący plecak. Przetoczył się i poderwał na równe nogi, gdy wąż

szycował się do czwartego ataku.

Porwał z ziemi plecak i bez zastanowienia rzucił się do ucieczki. Przebiegł ścieżką kolejne dwadzieścia kroków, nim uderzyła go myśl, że w ten sposób wpakować się może w kolejne tarapaty. Stanął jak wryty. Serce tłukło mu się w piersi. Omiótł rozgorączkowanym spojrzeniem ziemię wokół siebie: jego mózg wszędzie teraz dostrzegał czające się węże.

W pewnym momencie jego spojrzenie zatrzymało się na dwóch maleńkich rozdarciach w bojówkach – pamiętce po pierwszym ataku węża. Momentalnie zrobiło mu się słabo, a inny rodzaj strachu schwycił go w swoje kleszcze. Mimo że nic nie mógł na to poradzić, wiedział, że musi się przekonać, czy został ukąszony.

Rzucił plecak na ziemię i usiadł na nim. Następnie podwinął nogawkę do kolana i spojrzał w dół. Patrzył na nogę przez sekundę, aż w końcu musiał zamknąć oczy i wziąć kilka głębokich oddechów. Czuł, jak przerażenie ogarnia go falami.

Potrząsnął głową. Nie miał ochoty oglądać tego znowu, ale wiedział, że to konieczne. Zmusił się do otworzenia oczu. Z boku łydki widniały dwie równe rany kłute. Skóra pomazana była sączącą się z nich krwią.

– Kretyn – szepnął. – Ależ ze mnie kretyn.

Nagle poczuł dojmujący smutek, jednak nie ze swojego powodu. Poczł go na wspomnienie Toby'ego – chłopaka, który zginął od ukąszenia. Tom bez wahania zdecydował, że Toby umarł przez swoją lekkomyślność. Dopiero teraz poznał na własnej skórze, jak wygląda spotkanie z jadowitym gadem. Wiedział już, jak błyskawicznie atakuje wąż, który sekundę wcześniej pozostawał praktycznie niewidzialny. Wyobraził sobie, jak Toby upada. Wyobraził sobie atak żmii. I poczuł smutek, a także wstyd, że nie zareagował tak od razu.

Toby znajdował się w nieco lepszej sytuacji – przynajmniej umarł w otoczeniu innych ludzi. Jego koledzy próbowali mu pomagać, nieśli go przez dżunglę. Tom pomyślał, że jeśli ma tu zginąć samotnie, nikt nigdy nie dowie się nawet, jak do tego doszło. I w gruncie rzeczy śmierć taka byłaby dla niego odpowiednia. Wolałby, żeby to nie była prawda, ale równocześnie miał poczucie, że zasługiwał właśnie na taki koniec. Miał umrzeć tak jak żył – samotnie.

## ROZDZIAŁ 30

**W** ciągu ostatnich ośmiu lat Tom sporo rozmyślał o śmierci. Zastanawiał się często, czy zobaczy wtedy mamę i tatę. Ale nie w sensie spotkania z nimi w zaświatach. Wyobrażał sobie raczej, że będzie tak, jak w opowieściach niektórych ludzi, to znaczy w ostatnich chwilach przed śmiercią zobaczy rodziców, którzy zjawią się, żeby dodać mu otuchy.

Przez jakiś czas, może kilka minut, może dłużej, nie podnosił się z plecaka, próbując uspokoić serce. Równocześnie miał świadomość, że być może nigdy już nie zabije ono w normalnym rytmie. Rozpaczliwie pragnął poczuć obecność rodziców, doświadczyć znaku, że są tu razem z nim, tak by przestała doskwierać mu samotność. Żeby przestał czuć się sierotą. Do oczu napłynęły mu łzy, bo nagle zrozumiał, że na to właśnie czekał przez ostatnie osiem lat: na znak, że jego mama i tata są niedaleko i nad nim czuwają.

Z jakiegoś powodu wróciło do niego nagle wspomnienie sprzed lat, gdy razem z tatą rzucali piłką do kosza na podwórku pod domem. Tacie nigdy nie szła gra w koszykówkę. Pewnego wieczoru, latem przed wypadkiem rodziców, Tom z okna swojego pokoju zobaczył, jak tata podnosi piłkę z ziemi i wykonuje rzut tyłem, a piłka ląduje w koszu. W pierwszej chwili zupełnie zatkało go z wrażenia. Szok był jeszcze większy, gdy uświadomił sobie, co się za tym kryje: ojciec tylko udawał przed nim, że ma dwie lewe ręce do koszykówki, żeby Tom mógł zawsze z nim wygrywać.

Wspomnienie przywołało uśmiech na jego usta, ale zaraz potem rozkojarzyła go mucha, która próbowała usiąść na ranie. Odpędził owada, a po chwili uświadomił sobie, że serce nie bije mu już tak szybko. Zerknął na zegarek, ale nie wiedział, ile czasu upłynęło od ukąszenia. Nie miał odwagi uwierzyć, że mu się poszczęściło.

Toby niemal momentalnie doznał szoku, a przynajmniej tak twierdzili chłopcy,

którzy z nim wtedy byli. Serce Toma natomiast biło już teraz w normalnym rytmie. Mucha znów spróbowała podlecieć do krwawiącej rany i znowu ją odgonił. Polał ranę wodą i skrzywił się, gdy zapiekła.

Czyżby ukąsił go niejadowity wąż? Mógłby wówczas mówić o nie lada szczęściu, a teoretycznie powinien już czuć jakieś skutki działania trucizny. Jednakże nawet jeśli faktycznie wąż nie był jadowity, sytuacja Toma nadal nie przedstawiała się zbyt kolorowo – został ugryziony przez dzikie zwierzę, a więc istniało ryzyko, że został czymś zakażony. Nie miał przy sobie apteczki pierwszej pomocy, a jedynie antyseptyczną maść na odciski i niegroźne rany.

Wstał chwiejnie. Przez cały czas unikał poruszania zranioną nogą – instynktownie starał się ją chronić, jakby chodziło o złamanie, a nie ukąszenie. Kiedy znalazł maść, usiadł z powrotem na plecaku i ostrożnie wtarł ją w ranę. Krzywiąc się, wsunął palec do obu otworów, w których zaczynała już krzepnąć krew.

Kiedy odkaził ranę, sprawdził godzinę na zegarku. Wiedział, że nie pozostało mu już wiele dnia. Musiał czym prędzej ruszyć dalej. Nawet jeśli zdoła przeżyć atak węża, noc w dżungli bez ognia bez wątpienia okaże się zabójcza. Zanim jednak zdążył się ruszyć, usłyszał jakiś hałas na ścieżce. Zamarł bez ruchu i wytężył słuch.

Zachodził w głowę, czym jeszcze zaskoczy go dżungla.

Hałas się powtórzył. Było jasne, że coś się zbliża. Nie był to jaguar, tego przynajmniej był pewien. Wielki kot poruszałby się bezszelestnie. Domyślał się, że to pekari albo jelen.

Na wszelki wypadek wyciągnął jednak z kieszeni nóż, po czym wstał. Nadal nic nie widział, jednak hałas nie ustawał. Przybliżał się z każdą chwilą.

Wreszcie dostrzegł jakiś niewyraźny ruch między drzewami z przodu. Mogła to być tylko gra świateł, jednak to wystarczyło, by zacisnął kurczowo palce na rękojeści noża, a serce zabiło mu żywiej. Teraz przynajmniej wiedział, dlaczego serce zachowuje się w taki, a nie inny sposób.

Hałas się wzmógł. Znowu coś poruszyło się wśród zieleni. I nagle stanęła przed nim ona, a on utkwiał w niej zdumione spojrzenie. W pierwszej chwili pomyślał, że

wrócili po niego. Okazało się jednak, że przyszła sama.

Kate.

Kate wróciła po niego.

Jak tylko go zobaczyła, uśmiechnęła się szeroko i przyspieszyła kroku. Tom poczuł, że do oczu znów napływają mu łzy, jednak tym razem były to łzy radości i ulgi. Uczucia, które go teraz zalały, przewyższały intensywnością wszystko, czego doświadczył w ciągu ostatnich kilku godzin. Zanim do niego dobiegła i padła sobie w ramiona, Kate śmiała się już, a równocześnie płakała.

Przytulił ją mocno, rozkoszując się świadomością, że ona równie mocno tuli się do niego. W końcu odsunął ją na długość ramienia i spojrzał jej w oczy. Nadal nie posiadał się ze zdumienia.

– Przyszłaś po mnie.

Kate wzruszyła ramionami.

– Wiedziałam, że cię znajdę. Nie dawała mi spokoju myśl, że masz spędzić tę noc samotnie w dżungli. Alice chciała iść ze mną, George też. Ale ja wiedziałam, że łatwiej mi będzie iść samej. – Obejrzała się przez ramię i dodała: – Szedłeś w dobrym kierunku. Założyłam, że tak właśnie zrobisz.

– No to miałaś sporo szczęścia. Bo ja wcale nie byłem taki pewien, że idę we właściwym kierunku. A potem... – nie dokończył, potrząsnął tylko głową. – Musimy znaleźć jakieś miejsce na obóz.

– Parę minut marszu stąd jest brzeg jaru. Możemy tam przenocować. A rano poszukamy pozostałych. – Kate popatrzyła w dół i nagle cofnęła się o krok. Przestraszonym tonem spytała: – Co ci się stało?

– Ukąsił mnie wąż. Znalazłem maleńką polankę, która wyglądała jak idealne miejsce na obóz. I nagle nie wiadomo skąd pojawił się ten gad i mnie użarł. A potem ciągle było mu mało i próbował atakować dalej.

Uświadomił sobie nagle, jak trudno mu opisać tamto doświadczenie: atak i strach, że umrze. Może jednak wcale nie było to konieczne.

– Usiądź, obejrzę ranę. – Zrobił, co kazała. Był jej wdzięczny za te proste polecenia. Kate przykucnęła przy nim. – Sam cię zaatakował? Jak wyglądał?



– Długi na sto dwadzieścia, może sto pięćdziesiąt centymetrów. Łuski w kolorze żółtym, brązowym i czarnym. Poruszał się za szybko, żebym zdążył mu się dokładnie przyjrzeć.

– O cholera – mruknęła dziewczyna, przypatrując się ranie. – Nie masz problemów z oddychaniem? Co z pulsem?

– Wszystko w porządku. Czym się tak martwisz?

Zignorowała jego pytanie.

– Czujesz pieczenie wokół rany? – spytała, macając delikatnie w tamtym miejscu.

– Trochę boli, ale nie piecze. Dlaczego? Co to...

– Wąż z twojego opisu wygląda mi na żararakę lancetowatą. To by znaczyło, że masz naprawdę olbrzymie szczęście. Ten gatunek ma na sumieniu wielu ludzi i jest agresywny. Całkiem możliwe, że jeden z nich ukąsił Toby'ego.

– Dlaczego w takim razie nie umarłem?

– Jedno na cztery ukąszenia pozbawione jest jadu. Wąż tylko ostrzega ofiarę. Prawdopodobnie przytrafiło ci się właśnie coś takiego.

– Jesteś pewna?

– Raczej tak. W przeciwnym razie jad już zacząłby na ciebie działać. Dlatego właśnie pytałam cię o pieczenie.

– O rany – mruknął.

W głowie roilo mu się od myśli – o rodzicach, o wdzięczności i uldze, o tym, że nigdy nie chce zapomnieć, jak wielkie szczęście mu dzisiaj dopisało.

– Otóż to. Mam środki, którymi będziemy mogli lepiej odkazić ranę. Ale na razie skupmy się na rozbiciu obozu.

Pomogła mu się podnieść.

– Kate, ja... – Nie potrafił zamknąć w słowach wdzięczności, jaka teraz przepełniała mu serce. – Po prostu dziękuję.

– Dałbyś radę wrócić sam. Ale uznałam, że przyda ci się towarzystwo. W końcu od tego są przyjaciele, co nie?

– Ze mnie nigdy nie był materiał na przyjaciela – roześmiał się Tom.

– Cóż, nie definiuje nas to, kim byliśmy w przeszłości – powiedziała z uśmiechem Kate. Popatrzyła na niego w zdumieniu i dodała: – Tom, przeżyliśmy katastrofę lotniczą. Teraz jesteśmy tymi, którzy przeżyli, niezależnie od tego, czy to się nam podoba, czy nie.

Tom skinął głową i ruszyli w stronę, z której nadeszła Kate. Wiedział, że dziewczyna ma rację. Ta katastrofa uczyniła ich nowymi ludźmi. Jeśli zdołają wydostać się z tej dżungli cało, jeżeli unikną spotkań z innymi wężami, te dni spędzone w dziczy zadecydują o tym, jak wyglądać będzie reszta ich życia.

## ROZDZIAŁ 31

**K**ate mówiła prawdę – zaledwie kilka minut marszu dzieliło ich od jaru i miejsca, w którym jeden brzeg się obsunął i utworzył dogodne zejście na dół. Kusila ich myśl, by noc spędzić na dnie. Istniało jednak niebezpieczeństwo, że w razie ulewy jar momentalnie zamieni się w rwącą rzekę. Dlatego ostatecznie rozbili się na brzegu. Udało im się zebrać dość drewna, żeby rozpalić małe ognisko.

Zjedli to, co mieli jeszcze w plecakach.

– Po drodze zauważyłam orzechy i owoce. Nie miałam czasu ich zebrać, ale możemy się przy nich zatrzymać, kiedy będziemy wracać. Kończy nam się jedzenie.

Tom kiwnął głową na znak, że się zgadza.

– Jak inni się trzymają?

– Spędziłam z nimi tylko pół godziny po tym, jak cię zostawiliśmy – wyjaśniła Kate. Roześmiała się i dodała: – Kiedy powiedziałam, że idę cię poszukać, Joel oczywiście nie chciał o tym słyszeć. Tym razem jednak nie dałam mu wyboru. Jak się czułeś, kiedy zostałeś tu sam, zdany na własne siły?

– Poza tym, że zostałem ukąszony przez jadowitego węża? – spytał ze śmiechem. – Nawet przed spotkaniem z gadem było strasznie. Wszystkie ścieżki zmierzały w złą stronę. Dlatego żeby pójść we właściwym kierunku, musiałem... – zawiesił głos i potrząsnął głową na to wspomnienie. – Musiałem przedrzeć się przez kolonię pajaków. To było coś jak zasłona utkana z pajęczyn. Ciągnęła się przez dwadzieścia, trzydzieści metrów. A w niej tysiące pajaków...

– Widziałam je kiedyś na wakacjach! Te pajęczyny wyglądają jak obłoki waty cukrowej.

– Tak. Nie była to łatwa przeprawa. No i ta ciągła niepewność, czy zdołam was odnaleźć. A potem ten wąż. Jak on się nazywa?

– Żararaka lancetowata. Wąż z rodziny żmijowatych. Od ich ukąszenia zginęło mnóstwo ludzi.

– Uważasz, że coś takiego zaatakowało Toby’ego? – spytał, a Kate skinęła głową. Wróciło do niego wspomnienie ściągniętej przerażeniem twarzy chłopaka, gdy Chris niósł go na plecach pod górę. – Nie znałem go.

– Był z niego dupek – przyznała dziewczyna, wzruszając ramionami. – Wiem, nie powinno się mówić źle o zmarłym. Przykro mi z powodu tego, co go spotkało. Naprawdę. Ale to nie zmienia faktu, że za życia był strasznym dupkiem. Bez przerwy wygadywał jakieś złośliwości na temat mój i Emmy.

– Aha.

– Klasyczne homofobiczne gadki. Ten chłopak miał strasznie wsteczne poglądy na te sprawy.

Tom popatrzył na pomarańczowe niebo i od razu zorientował się, że zmierzch zapadnie w ciągu paru minut. Na krótką chwilę zadumał się nad faktem, że nauczył się rozpoznawać takie rzeczy na podstawie subtelnych zmian w oświetleniu. Ale w tym momencie jego uwagi domagała się bardziej paląca kwestia.

– Ale przecież ty i Emma nie jesteście parą, nie?

Posłała mu krzywy uśmiech, który mógł sugerować, że dotychczas go nie doceniała.

– Chyba powinnam była przewidzieć, że mimo twojej obojętności w końcu się domyślisz – powiedziała figlarnym tonem. Zaraz jednak spoważniała. – Emma jest lesbijką. Ja nie. Przyjaźnimy się od dawna. Emmie chyba odpowiada ten układ. Jest jej łatwiej, gdy ludzie wyobrażają sobie, że jesteśmy razem. Zdziwiłbyś się, jak wiele osób zachowuje się w taki sam sposób jak Toby. Ci ludzie nadal żyją tak, jakby nie dojrzeli jeszcze do dwudziestego pierwszego wieku.

Przyjaciółki gotowe w taki sposób pilnować sobie nawzajem pleców budziły w nim podziw większy może nawet niż ten, który wywarła na nim decyzja Kate, by wyruszyć samotnie do dżungli na poszukiwania. Potrafił zrozumieć, dlaczego jeden przyjaciel ryzykuje życie dla drugiego, jednak niektóre inne zawiłości przyjaźni nadal wydawały mu się dziwne i nie do końca zrozumiałe. A to najlepszy dowód na

to, jak pochrzanione było jego dotychczasowe życie.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Z wolna wokół nich zapadła ciemność, a cały świat skurczył się do światła ogniska i ciągłego hałasu dżungli.

W pewnym momencie Kate wetknęła kijek w węgle i powiedziała:

– A tak à propos związków, z Alice stanowilibyście świetnie dobraną parę. – Tom parsknął śmiechem, ale równocześnie zalała go fala dziwnego zadowolenia, którego nie umiał w żaden sposób wytłumaczyć. – Mówię zupełnie poważnie. Wydaje mi się, że już dawno wpadłeś jej w oko.

– Wątpię. Ale tak, dobrze się dogadujemy. Kto wie, może kiedy wrócimy do domu... – nie dokończył. Szybko zmienił temat. – A co z tobą? Jesteś z kimś?

– W sumie to nie – odparła, nie przestając grzebać patykiem w ogniu. – Ktoś mi się podobał, ale... ta osoba siedziała w przedniej części samolotu.

Z jakiegoś powodu Tom momentalnie pomyślał o Charliem Staffordzie, którego ciało widział zawieszony w koronach drzew. Z łatwością mógł sobie wyobrazić ich dwoje jako parę.

– Przykro mi.

– On nawet nie wiedział, że mi się podoba. Poza tym i tak mało prawdopodobne, żeby się mną zainteresował.

– A dlaczego nie? Jesteś atrakcyjna, inteligentna...

– Calloway, nie pogrywaj ze mną. – Kate uśmiechnęła się ironicznie. – Wiesz, zawsze wydawało mi się, że mamy przed sobą jeszcze tyle czasu, i w związku z tym nie muszę się z niczym spieszyć. A tu proszę, popatrz teraz na nas. – Tom skinął głową, rozważając jej słowa. – Wybacz. Nie jesteś osobą, której trzeba tłumaczyć takie rzeczy.

Dopiero po chwili zrozumiał, za co właściwie go przeprasza. Wstał i uśmiechem dał jej znać, że nie ma powodu do przeprosin.

– Nie myślałem teraz o rodzicach, tylko o tym, że nie powinnaś obwiniać się o odkładanie wszystkiego na potem. Ludzie tak po prostu robią. Od zwierząt zamieszkujących tę dżunglę odróżnia nas to, że rozumujemy w kategoriach przyszłości. Snujemy plany, marzenia. Kojarzysz te wszystkie kretyńskie memy

o tym, że trzeba każdy dzień przeżyć tak, jakby to miał być nasz ostatni. Cóż, w rzeczywistości wcale nie musimy tego robić. To jeden z luksusów bycia człowiekiem.

– Racja – przyznała. Po chwili dodała: – Chociaż w naszej obecnej sytuacji ten luksus wydaje się dość zawodny.

Oboje wybuchnęli śmiechem i długo nie mogli się uspokoić. Czuli wielką ulgę i szczęście, że mogą siedzieć przy ogniu w tym zapomnianym przez Boga miejscu. Oczywiście jutrzejszy dzień mógł okazać się ich ostatnim. Ale na razie byli tutaj, żywi, i tylko to się liczyło.

## ROZDZIAŁ 32

S pali na zmianę po parę godzin. A gdy tylko zaczęło się przejaśniać, zgasili ogień i zeszli po osypisku na dno jaru. Niebo nadal miało intensywnie pomarańczowy kolor. Momentami w powietrzu dawało się wyczuć charakterystyczny gryzący smród spalenizny.

Przeszli kilkaset metrów i dotarli do wyjścia z doliny po drugiej stronie. Kate ruszyła przodem i wspięła się ścieżką na szczyt. Szła pewnie, jakby знаła ten szlak na wylot.

W pewnym momencie przystanęli, żeby zebrać owoce z drzewa – papaję albo jakąś jej odmianę. Tom zauważył rosnące niedaleko drzewo owocowe innego gatunku. Kate nie była przekonana, że to dobry pomysł.

– Nie znam go – powiedziała, biorąc do ręki owoc. – Wydaje mi się, że przewodnik częstował nas czymś takim, kiedy byliśmy w Kolumbii.

– A więc może rozbiliśmy się gdzieś na terenie Kolumbii.

– Ale wtedy byliśmy na wakacjach – zaznaczyła ze śmiechem.

Po paru minutach marszu Kate wskazała drzewo, pod którym leżało mnóstwo wielkich owoców w łupinach.

– Te są smaczniejsze – oznajmiła. Podniosła jeden i wręczyła Tomowi. Z wyglądu przypominał orzech kokosowy, ale był cięższy. – Rozłupiemy je, kiedy dołączymy do pozostałych. To orzechy brazylijskie.

– I pomyśleć, że upierałaś się, że bym to ja był przywódcą – powiedział z uśmiechem.

– Ja się do tego nie nadaję.

– Ja też nie.

– Ależ nadajesz się, Tom, tylko o tym nie wiesz. Zapakujmy trochę orzechów do plecaków i chodźmy.

– Dobra, szefowo.

Poruszali się w milczeniu. Niekiedy tylko Kate wskazywała jakieś zwierzę albo roślinę i mówiła parę słów na ich temat. Tom nie mógł się dziwić Joelowi, że nie poznał się na Kate. On sam również nie domyślał się, że dziewczyna ma tak wielką wiedzę. Co prawda poznał próbkę jej możliwości, gdy znaleźli adidas Naomi, ale mimo to nie przeczuwał, jak świetnie Kate jest przygotowana do radzenia sobie w leśnym środowisku.

Kiedy szła przed nim, zauważył łatwość, z jaką porusza się w trudnych warunkach, a równocześnie uważność, która nie opuszczała jej ani na chwilę. Ta dziewczyna była wyczulona na wszystko, co znajduje się wokół niej, na to, po czym stąpa, i na to, co leży przed nią. Kate i Emma mogły pokusić się o samodzielne wydostanie się z dżungli. Obserwując ją, Tom utwierdzał się w przekonaniu, że dałyby radę.

Na drugie śniadanie zatrzymali się w miejscu, gdzie zbiegało się kilka szlaków. Było tam dość miejsca, by mogli rzucić plecaki na ziemię i na nich usiąść. Zjedli na spółkę nieduże opakowanie ciastek owsianych oraz najmniejszy z zebranych owoców papai. Kiedy Tom poczuł w ustach sok, uświadomił sobie, jak bardzo jest spragniony. Zapas wody skurczył się niebezpiecznie, dlatego woleli powstrzymać się od picia.

Po posiłku siedzieli jeszcze przez chwilę. Zjedli niewiele, ale poczuli się dziwnie pokrzepieni. Pozwalali odpocząć nogom, które czuły już trudy wędrówki. Kate otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Zamiast tego przechyliła jednak głowę na bok. Tom również popatrzył ku drzewom.

Czyżby się przesłyszeli? Byli już osłuchani z dźwiękami dżungli, jednak ponad nimi rozbrzmiewało coś jeszcze. Coś przypominającego ludzkie głosy, a konkretnie jeden głos.

Olśnienie spłynęło na nich oboje w tym samym momencie.

– Joel – powiedziała Kate.

– Nigdy nie sądziłem, że kiedyś ucieszę się na dźwięk jego głosu. Jak myślisz, dociera z daleka?



– Chyba z dość bliska, nie sądzisz? – Kate popatrzyła z namysłem na ścieżkę, jakby próbowała obliczyć coś w myśli. Po chwili jednak się poddała. – Wiemy przynajmniej, że posuwają się we właściwym kierunku.

Pewność siebie tej dziewczyny budziła jego nieustanny podziw. W umyśle Kate nie było cienia wątpliwości, że razem z Tomem idą w dobrą stronę.

Podjęli marsz i po paru godzinach znów usłyszeli ludzkie głosy. Tym razem brzmiały jak rozmowa i dobiegały z przodu. W pewnym momencie głos Joela zagłuszył pozostałe. Mieli wrażenie, że mimo upływu czasu nie skracają dzielącego ich dystansu. Niekiedy wydawało im się wręcz, że głosy się oddalają.

– Nadal są przed nami – powiedziała Kate. – Wiem, że momentami brzmią, jakby byli dalej. Ale to tylko złudzenie akustyczne. Skutek ukształtowania terenu.

– Na pewno – zgodził się Tom. Zauważył wtedy, że jej pewność siebie słabnie. – Kate, idziemy dość szybko. A grupa posuwała się powoli już wczoraj.

– Racja. Chcę dogonić ich przed zmrokiem, to wszystko.

Zerknąwszy na zegarek, powiedział:

– Została nam godzina, może dwie. Damy radę. – Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Nie wiedział, co takiego powiedział, i gdy nie przestawała się uśmiechać, spytał: – No co?

– Nic. Kiedy wrócimy, możemy być przyjaciółmi?

Roześmiał się z zakłopotaniem.

– A teraz nie jesteśmy?

– No, w sumie tak, ale... – Potrząsnęła głową, jakby nadal trudno jej było uwierzyć, że naprawdę może się z nim zaprzyjaźnić. – A, raz kozie śmierć. No więc ja i Emma zawsze się w tobie tak trochę platonicznie podkochiwałyśmy. Za to, jaki byłeś na lekcjach literatury: taki wyniosły, agresywny i zarazem szlachetny. Zupełnie jak bohater *Nowego Wspaniałego Świata* Huxleya.

– Ten, który na końcu się powiesił? – upewnił się Tom. Kate uśmiechnęła się w odpowiedzi. – Nigdy nie chciałem wydać się agresywny.

– Wiem. – Uśmiechnęła się znowu, tym razem nieco smutno. Po chwili ruszyli dalej.

Po dziesięciu minutach ścieżka zaczęła się pięć w górę niewielkiego wzniesienia. Stanąwszy na szczycie, zobaczyli przed sobą wzgórze na horyzoncie i przełęcz, do której od początku zmierzali. Poczuli się podniesieni na duchu i ten nastrój nie opuszczał ich przez jakiś czas, mimo że potem przez pół godziny nie słyszeli w ogóle grupy, którą ścigali.

Potem jednak dobiegł ich głos Joela, a chwilę później śmiechy i okrzyki. Z tyłu z prawej strony dolatywał szum wody, wskazujący, że niedaleko znajdują się progi rzeczne. Oni jednak skupiali się na głosach, które słyszeli przed sobą, ponieważ tym razem nie przepadały one już pośród hałasów dżungli.

Zobaczyli pozostałych ocalonych, zanim oni dostrzegli ich. Kate i Tom wspięli się na niewielki wzgórek i przystanęli, podziwiając rozciągający się stamtąd widok. Kawalek dalej rzeka wpływała do wąwozu, który wrzynał się w pas wzgórz. Ich towarzysze leżeli na kamienistym brzegu w kształcie podkowy. Plaża wyglądała, jakby została utworzona przez rwące strumienie wody, które po ulewach spływały korytem i zderzały się z płycizną u wejścia do wąwozu.

Nawet z daleka Tom zorientował się, że w porównaniu z poprzednim dniem przybyło wody w rzece. Poddane erozji brzegi i szeroka plaża sugerowały, że po ulewach rzeka na tym odcinku potrafi być znacznie dziksza.

Kate doszła chyba do podobnych wniosków.

– Całkiem niezłe miejsce na obóz. Pod warunkiem że nie spadnie deszcz.

Ludzie u dołu zajęci byli rozpalaniem ogniska. Widząc to, Tom uznał, że zapewne rozbili się tam niedawno. Może tym należało tłumaczyć docierające do nich śmiechy. Ludzie cieszyli się, że po dwóch dniach wędrówki wreszcie dokądś dotarli.

Z jednej strony plaży zebrała się grupka ludzi. Po chwili Tom rozpoznał wśród nich Barneya, który właśnie kończył stawiać prowizoryczne schronienie z moskitiery. Tom zastanowił się, czy może to oznaczać, że ktoś doznał kontuzji albo zachorował.

Omiótł spojrzeniem całą plażę, żeby zorientować się, kogo brakuje. Uśmiechnął się mimo woli, kiedy wypatrzył Alice. Dziewczyna niosła naręcze patyków.

– Gotowy? – spytała Kate.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Zanim tam zejdziemy, chcę ci coś powiedzieć. Spytałaś wcześniej, czy będziemy się mogli przyjaźnić, kiedy to wszystko dobiegnie końca. Oczywiście, że tak. Ale chcę też, żebyś wiedziała, że nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie dziś zrobiłaś.

– Sam też dałbyś radę wrócić – odparła z wyraźnym zakłopotaniem. – Ty też zrobiłbyś to samo na moim miejscu.

– Możliwe.

A potem wspólnie ruszyli w dół zbocza ku nowemu obozowi.

## ROZDZIAŁ 33

Pierwsza zauważyła ich Jess. Podbiegła do Toma i go uścisnęła. Jej śladem poszli szybko George i inni. Mało brakowało, a przewróciliby Toma na ziemię. Kiedy spojrział w bok, zobaczył, że wokół Kate również zgromadziła się grupa ludzi.

W końcu witający cofnęli się o krok i zasypali go gradem pytań. Tom zauważył wtedy Alice, która stała kilka metrów dalej. Nie podchodziła, ale uśmiechała się promiennie. Widząc to, Tom pomyślał, że całkiem prawdopodobne, że Kate miała rację – jeśli zdołają wydostać się z dżungli, może on i Alice zostaną parą.

Podszedł do niej powoli i spytał jak gdyby nigdy nic:

– Jak leci?

– A, stara bieda – odparła lekkim tonem, ale już po chwili roześmiała się głośno i rzuciła mu się na szyję. – Ani przez sekundę nie wątpiłam, że ci się uda.

– Tom, dobrze cię widzieć – powiedział Shen.

– Cieszę się, że was w końcu dogoniliśmy.

– Prędzej czy później i tak byście nas znaleźli – odparł Shen, po czym dodał ze zmarszczonymi brwiami: – Na dzień albo dwa będziemy tu unieruchomieni.

Tom skierował spojrzenie ku miejscu, w którym Barney pracował nad schronieniem. Joel stał nieopodal, przyglądając się jego wysiłkom. Zachowywał się, jakby w ogóle nie zauważył powrotu Toma i Kate. Pod siatką przeciw komarom ktoś leżał.

– To Chloe – wyjaśniła Alice. – Wczoraj źle się poczuła. Barney zrobił wtedy coś w rodzaju noszy. Shen jest zdania, że musimy poczekać z wyruszeniem w dalszą drogę, aż jej stan się poprawi.

– Dopadło ją jakieś choróbsko, gorączkuje. Ale nie wolno tracić nadziei – stwierdził Shen. Jego wzruszenie ramion sugerowało, że nadzieja ta jest dość nikła.

– Zostaliśmy zaszczepieni przeciwko najgroźniejszym chorobom. Teraz Chloe najbardziej potrzebuje odpoczynku. Podobnie zresztą jak wszyscy. Kilka osób nadwyrężyło kostkę, parę innych jest po prostu wycieńczonych podróżą.

– Ile zostało nam wody?

Wyraz twarzy Shena nie pozostawiał złudzeń – woda była na wyczerpaniu.

– Kiedy Joel zapowiedział, że rozbijemy tu obóz, miałem obawy. Ale w okolicy nie widzieliśmy na razie żadnych drapieżników. Woda tutaj płynie dość bystrym nurtem, więc może użyjemy tabletek do uzdatniania, a potem dodatkowo jeszcze ją przegotujemy.

Tom popatrzył ku rzece. Progi rzeczne, których szum słyszeli wcześniej, znajdowały się dalej w górę strumienia. Ale również w dolnym biegu, tam gdzie rzeka wpływała w gardło przełęczy, dało się dostrzec wielkie głazy skryte tuż pod powierzchnią wody. Było jasne, że przed zwodowaniem tratw będą musieli przepłynąć się na drugą stronę wzgórza.

– A co z jedzeniem?

– Człowiek jest w stanie poradzić sobie długi czas bez jedzenia – odparł Shen.

– Na to możemy chyba coś zaradzić, prawda, Tom? – zagadnęła Kate, podchodząc do nich. Zdążył już zapomnieć o owocach i orzechach w plecaku. Zanim cokolwiek powiedział, Alice wyściskała Kate. Usłyszał, że szepcze jej coś do ucha. Kate uśmiechnęła się w odpowiedzi i powiedziała: – Sam też zdołałby wrócić. Kiedy go znalazłam, najgorsze miał już chyba za sobą. Nawet wąż zdążył go ukąsić.

Alice spojrzała na niego z niepokojem. Tom potrząsnął głową.

– Nic mi nie dolega. Shen obejrzy potem ranę, ale naprawdę czuję się dobrze. Skupmy się na temacie jedzenia.

Nie czekając na odpowiedź Alice, Tom i Kate przystąpili do opróżniania plecaków ze swoich zdobyczy.

Dopiero teraz Joel się do nich pofatygował.

– Fajnie, że wpadłeś, Tom.

Miał to być chyba żart. Tom uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Słyszałem, że organizujecie imprezę.

– Tak – odparł Joel, przywołując na twarz wymuszony uśmiech. Jego spojrzenie powędrowało ku owocom i orzechom. – A to co?

– Papaja – wyjaśniła Kate. – A to coś przypominającego orzechy kokosowe to orzechy brazylijskie.

Shen i Alice przykucnęli już i badawczo przyglądali się zdobyczom.

– Nie wiem, czy jedzenie tego to najlepszy pomysł – stwierdził Joel. – No wiecie, nietrudno tu o owoce, które mogą wyglądać znajomo, a tak naprawdę są trujące. Ostrzegano nas przed tym, zanim wylecieliśmy.

– Cóż, Joelu, wybór należy do ciebie. Możesz mi zaufać i je zjeść albo wstrzymać się i chodzić głodny.

– Nie chciałem podważać twojej...

Kate nie zamierzała jednak czekać, co ma do powiedzenia Joel. Zwróciła się do Shena:

– Skoro zanoszą się na dłuższy postój, jutro możemy wybrać się na ryby. Wykorzystamy do tego jedną z siatek przeciw komarom.

Joel zrobił sceptyczną minę, ale po chwili bez słowa odszedł, żeby przypilnować ognia. Kate podeszła do Emmy, która ją zawołała. Tom zauważył, że Alice i Shen wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Popatrzył na nich pytająco.

– Powinniśmy byli dotrzeć tu wiele godzin wcześniej – odezwał się półgłosem Shen. – Przez cały ranek Joel prowadził grupę w złym kierunku. Nie było łatwo go przekonać, że zeszliśmy z obranego kursu.

– Koniec końców George wspiął się na drzewo, żeby rozejrzeć się po okolicy – wtrąciła się Alice. – Dopiero wtedy Joel był zmuszony przyznać, że idziemy w niewłaściwą stronę i że musimy się cofnąć. To był ciężki dzień dla wszystkich.

– Widzę – przyznał Tom. Rozejrzał się po obozie, który na razie był na etapie rozbijania. Rzucone na ziemię plecaki, razem z dwoma pojemnikami z tratwami, tworzyły okrąg wokół ogniska. Nieco dalej z boku wznosił się prowizoryczny namiot dla Chloe. Miła siedziała na ziemi, rozcierając obolałą kostkę. Nick, blady jak ściana, też sprawiał wrażenie chorego. Oscar leżał z głową opartą na plecaku.

Mokre od potu włosy oblepiały mu czoło. Wczorajszy dzień okazał się trudny dla Toma. To, co zobaczył w obozie, sprawiło jednak, że zaczął współczuć pozostałym. – Dzień odpoczynku dobrze wszystkim zrobi, ale pod warunkiem, że będziemy mieli co jeść i pić.

– W takim razie już teraz przygotujemy coś do zjedzenia – stwierdziła Alice.

– Dobry pomysł – przyznał Shen.

Przywołał parę osób i poprosił, żeby zajęły się łupaniem orzechów. Z różnych plecaków powyciągał pakowane ciasto i podpiekł je na ogniu – nie było to nic wielkiego, ale ludzie nie szczędzili mu komplementów. Gdy tylko towarzystwo zaspokoilo nieco głód i odpoczęło, nastroje wyraźnie się poprawiły. I tylko widok Chloe leżącej pod moskitierą przypominał wszystkim, w jak groźnej sytuacji się znajdowali.

Nadal siedzieli w milczeniu wokół ognia, gdy słońce zaszło i zrobiło się ciemno. W pewnym momencie Mila zagadnęła Joela:

– Tutaj spuścimy tratwy na wodę?

– Zastanowimy się nad tym jutro. To dobre miejsce. Rzeka jest tu dość szeroka. Ale musimy jeszcze sprawdzić, jak wygląda na dalszym odcinku.

Shen nie próbował się z nim spierać. Spojrzał tylko na Toma, a w drżącym świetle ogniska na jego ustach zatańczył kpiący uśmieszek. To, co z początku brali za obniżenie terenu między wzgórzami, okazywało się teraz czymś w rodzaju przełomu rzeki. Nawet z plaży było widać głazy w dolnym biegu. Według Toma nie ulegało żadnej wątpliwości, że tratwy będzie można zwodować dopiero po przekroczeniu wzgórz.

Możliwe, że Joel też zdawał sobie z tego sprawę i po prostu odwlekał podzielenie się z ludźmi tą rewelacją do czasu, aż nieco odpoczną i wstanie nowy dzień. Tom wbrew sobie podziwiał trochę tego faceta – Joel na pewno był równie zmęczony jak wszyscy inni, a mimo to zachowywał spokój i opanowanie, jakby wziął na swoje barki odpowiedzialność za nastroje w grupie.

Z wolna wszyscy układali się do snu. Co prawda nie uzgodniono, kto będzie trzymał wartę tej nocy, ale wkrótce nie spało już tylko pięć osób. Barney czuwał

przy Chloe i wilgotną szmatką przemywał jej czoło. Przy ognisku zostali Tom, Alice, George i Shen.

Siedzieli w milczeniu. W końcu Shen zwrócił się do Toma:

– Sądzisz, że Kate uda się złowić ryby?

Mimo że starał się to ukryć, w jego głosie pobrzmiwał niepokój. Tom domyślał się, skąd się bierze – Shen zapewne obawiał się, że posuwają się za wolno i nim zdołają się stąd wydostać, umrą z głodu albo pragnienia. W sprawie ryb Tom akurat mógł go pocieszyć.

– Jeśli komukolwiek ma się udać, to właśnie Kate. Ta dziewczyna po prostu rozumie przyrodę. Nikt z nas nie może się z nią pod tym względem równać. Dopiero dzisiaj to zrozumiałem.

– To, co zrobiła wczoraj, było niesamowite – powiedziała Alice. – Chciałam wyruszyć razem z nią, tak samo George. Ona jednak się uparła, że samej będzie się jej lepiej szło. W końcu Emma poradziła nam, żebyśmy jej pozwolili. Zapewniła, że Kate wie, co robi. Chyba miała rację: pewnie tylko byśmy ją spowalniali. Prawda, George?

– Co? Przepraszam, myślałem o tych rybach.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. W końcu Shen powiedział:

– Jeśli uda nam się złowić ryby, wszystko będzie dobrze. Ale prawdę mówiąc, wolałbym, żebyśmy rozpoczęli już spływ. – Po chwili dodał, wzruszając ramionami: – Chyba teraz trochę się prześpię.

Położył się, głowę opierając na plecaku. A pozostali zaczęli w milczeniu wpatrywać się w ogień. Tom ani przez chwilę nie przestawał myśleć o tych wszystkich wyczerpanych trudami wędrowni ludziach śpiących naokoło.

Wiedział, że znaleźli się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Miał wrażenie, jakby lada chwila miało się stać coś złego, a wówczas wszyscy zawisną w pustce. Zresztą, w obozie przy wraku samolotu ich sytuacja nie była wcale lepsza. Wtedy po prostu nie byli tego tak świadomi. Być może Tom dostrzegał to teraz wyraźniej, ponieważ sam został ukąszony przez węża i przez jakiś czas błąkał się samotnie. Patrzył na grupę świeżym okiem i wiedział, że miał rację, gdy założył, że nie



przeżyją, jeśli pozostaną przy wraku. Ale zarazem zdawał sobie sprawę z jeszcze czegoś – że nie przeżyją, jeśli czeka ich w dżungli jeszcze wiele takich dni.

## ROZDZIAŁ 34

Ranek nie przyniósł zbyt wielu powodów do optymizmu. Znowu przywitała ich ta sama pomarańczowa, chorowita bladość w powietrzu. Jako grupa nie rokowali zbyt dobrze. Oscarowi dokuczała jakaś choroba, której nie umieli zidentyfikować. Lara wciąż kuśtykała po potknięciu na drzewie. Mila nadal wspierała się na jednej z rurek, której używała jak laski. Patrząc na nich, Tom miał wrażenie, że znalazł się w lazarecie obłęzonego obozu.

Rano Joel powiadomił grupę, że w tym miejscu nie będą mogli zwodować tratw. I że w związku z tym zarządza jeszcze jeden dzień odpoczynku, nim podejmą marsz na drugą stronę wzgórz. Nikt nie sprawiał wrażenia rozczarowanego, ludzie przyjęli tę wiadomość z wyraźną ulgą, ponieważ nikomu chyba nie chciało się już teraz pokonywać wzgórz. A kiedy Joel części osób nakazał pozbierać drewno, a pozostałym pomóc Shenowi w pozyskiwaniu wody, w grupie zapanowały nawet lepsze nastroje.

– Jak się dziś czujesz? – spytał Tom Alice.

Kiwnęła głową na znak, że nie najgorzej.

– A ty?

– Może być. Chyba wespnę się na to wzgórze i zobaczę, co jest z drugiej strony.

– Chętnie się z tobą przejdę.

Ucieszył się, że chce mu towarzyszyć. Uczucie to było wciąż dla niego nowe i zupełnie go zaskoczyło. Jeszcze kilka dni temu wydawało mu się, że nic nie łączy go z tymi ludźmi. I nie miał żadnych złudzeń, że dwutygodniowy wspólny wyjazd do Kostaryki cokolwiek może tu zmienić. Teraz jednak zbliżył się, a wręcz zaprzyjaźnił, z paroma osobami.

– Lepiej uprzedźmy Joela, że idziemy – powiedział. Popatrzyła na niego, unosząc brew. Uznała chyba, że żartuje, więc Tom wyjaśnił: – Nie chcę robić

niepotrzebnych problemów.

– No dobra, powiem mu – obiecała niechętnie Alice.

Kiedy odeszła, zbliżył się Barney. Niósł włócznie, którą sporządził z metalowej rurki i noża.

– Cześć, Tom! Nie mieliśmy wczoraj czasu pogadać.

Tom poszukał spojrzeniem prowizorycznego namiotu, w którym Barney czuwał nad Chloe. Teraz przy jej legowisku siedział Chris.

– Jak ona się czuje?

– Myślę, że się z tego wyliże. Ale... – zawiesił głos.

Tom pokiwał głową.

– Zamierzam wybrać się na szczyt wzgórza i się rozejrzeć.

– W takim razie weź to – oświadczył Barney, podając mu włócznie. – W sumie zrobiłem ją z myślą o tobie.

– Dzięki.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł chłopak z uśmiechem. – Przynajmniej miałem w co włożyć ręce.

Barney odszedł kawałek i dołączył do Kate i George'a, którzy stali nad rzeką. Tom widział, jak George unosi moskitierę. Kate tłumaczyła, w jaki sposób ją wykorzystają.

Po chwili wróciła Alice.

– Joel chce, żebyśmy na niego zaczekali. Powiedział, że zabierze się z nami.

– Czemu nie? – odparł z uśmiechem Tom.

Wyruszyli z plaży we trójkę i skierowali się w górę zbocza. Zarośla były tu gęstsze. Ponieważ nie udało im się znaleźć nic przypominającego ścieżkę, Tom przy pomocy noża z włóczni oraz deptania starał się torować drogę. Pracował ciężko, wiedząc, że zapewne tą właśnie ścieżką wkrótce będzie poruszać się cała grupa.

Zależało mu na znalezieniu dogodnego punktu obserwacyjnego, ale równocześnie starał się wytyczać ścieżkę zboczem wzgórza o mniejszym nachyleniu, tak by z podejściem pod górę mogli poradzić sobie wszyscy

członkowie grupy. Koniec końców i tak znaleźli całkiem niezły punkt widokowy. Było to niewielkie urwisko, z którego otwierał się widok ponad szczytami drzew porastających zbocza.

W pierwszej chwili to, co zobaczyli, nie wydało się zbyt obiecujące. Teren był tu płaski, jedynie miejscami lekko się fałdował. Dominowały w nim olbrzymie równiny, a wszystko ginęło w soczystej zieleni – tropikalny las zdawał się ciągnąć w nieskończoność, przykryty od góry pomarańczowym niebem.

Tom odszukał wzrokiem rzekę, która za przełomem rozlewała się szerzej. W niektórych miejscach widać nawet było płaską, nieburzącą się powierzchnię wody. Rzeka wiała się łagodnie przez równinny krajobraz.

Alice patrzyła przez chwilę w tę samą stronę. W końcu powiedziała:

– Wygląda na to, że wkoło nic nie ma.

– Jeśli istnieją tu jakieś osady, będą przy rzece. Stąd wszystko wygląda tak samo, ale... – Tom zamilkł, gdy popatrzyła na niego wyczekująco. Roześmiał się i dodał:

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Ale ta rzeka to nasza jedyna szansa.

Alice też się roześmiała.

– A może nie – wtrącił się Joel. – Spójrzcie tam.

Wskazał na lewo od rzeki, gdzie znad bezmiaru drzew wznosiła się czarna nitka dymu.

Na ułamek sekundy Tomowi zabiło żywiej serce i zbudziła się w nim nadzieja, że oto znaleźli wioskę. Jednak niemal natychmiast pojawiły się też wątpliwości. Wyteżył wzrok i obserwował teren wokół ognia. Myślał, że może dostrzeże srebrzyste błyski innej rzeki, ale nie.

Wyglądało to jak prawdziwe ognisko, a nie przypadkowo zaprószony pożar lasu. Tom miał jednak złe przeczucia co do osoby, która mogła rozpalić ogień w takim miejscu. Poza tym, dotarcie tam zajęłoby im kilka godzin, a na dodatek poruszałiby się w kierunku, w którym pierwotnie nie planowali się udać.

Alice chyba miała podobne przemyślenia. Kiedy się odezwała, w jej głosie nie było entuzjazmu.

– To miejsce wydaje się takie... oddalone. Wiecie, może to jakieś plemię, które

nie utrzymuje kontaktu ze światem zewnętrznym.

Joel popatrzył na nią z lekceważeniem.

– Alice, to nie jest jedna z tych twoich powieści, w których się zaczytujesz. Mamy dwudziesty pierwszy wiek.

– Dobrze by ci zrobiło, gdybyś czasem coś przeczytał. Nie byłbyś takim burakiem – warknęła. Joel próbował się roześmiać, udając, że jest oburzony jej napaścią. Ale Alice wcale nie było do śmiechu. – Popatrz tylko na tę dżunglę! Jak ci się wydaje, gdzie jesteśmy?

– Podejrzewam, że na terenie puszczy amazońskiej.

– Dokładnie. A zatem w miejscu, gdzie nadal istnieją plemiona bytujące w całkowitej izolacji. Ci ludzie zapewne nie byłiby zachwyceni, gdyby jacyś intruzi wdarli się na ich terytorium.

– To i tak nie byłby najgorszy scenariusz – zauważył Tom. – Jeśli to plemię, moglibyśmy przekonać ich, że nie mamy wrogich zamiarów. Gorzej, jeśli to jacyś partyzanci albo członkowie kartelu narkotykowego. Nie wydaje mi się, żeby takie spotkanie wyszło nam na dobre.

Joel robił się coraz bardziej poirytowany.

– Nie do wiary! Odnaleźliśmy pierwszy ślad innych ludzi, a wy chcecie jak gdyby nigdy nic to zignorować i spłynąć w dół rzeki, która być może donikąd nie prowadzi. – Wskazał znów na słupek dymu. – Ci ludzie mają jedzenie. Może jakieś lekarstwa. Może radiotelefon. – Nikt mu nie odpowiedział. Alice nie przestawała kręcić głową. – Słuchajcie, to moja decyzja. Zamierzam dowiedzieć się, kto rozpałił ten ogień. Ale gotów jestem pójść na kompromis. Chloe i tak dzisiaj musi odpoczywać. Proponuję zatem, żebyśmy małą grupą udali się na rekonesans. Sprawdźmy, co to za goście. Jeśli uznamy, że nie wyglądają przyjaźnie, wycofamy się niezauważeni i wrócimy do pierwotnego planu.

Alice nie była w nastroju do kompromisu.

– Jeśli to tubylcy, raczej mało prawdopodobne, żebyśmy podkradli się do nich niezauważeni.

– Racja. Ale i tak uważam, że warto podjąć to ryzyko. I moim zdaniem to błąd

zakładać, że ktokolwiek tam żyje, stanowi dla nas niebezpieczeństwo. Tak czy inaczej, Alice, podjąłem już decyzję: pójdę tam.

Tom wiedział, że nie zdołają już wyperswadować Joelowi tego pomysłu. Przez chwilę sądził nawet, że powinien go puścić, pozwolić na rozdzielenie grupy. Na jakimś poziomie nadal jednak uważał, że najważniejsze było, by nikt już więcej nie zginął. Instynkt podpowiadał mu, że jeśli pozwolą Joelowi samemu wyruszyć na czele grupy, która ma zbadać odległe ognisko, istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że ktoś umrze.

– Kogo widziałbyś w tym oddziale zwiadowczym?

Joel wydawał się zaskoczony, że nie napotkał większego oporu ze strony Toma.

– Co wy na to, żebyśmy wybrali się w trójkę? – zaproponował. A nie doczekawszy się głosów sprzeciwu, dodał po chwili: – Może też Chris i Nick.

Tom skinął głową, zadowolony, że Joel nie wymienił Kate ani George'a, Shena ani Barneya. Zależało mu na tym, żeby tamci pozostali w obozie. Miał poczucie, że w razie niebezpieczeństwa cała czwórka zdołałaby zatroszczyć się o pozostałych. Wymienił spojrzenia z Alice i zrozumiał, że chyba oboje doszli do tego samego wniosku – zastosują się do planu Joela. Zarazem jednak domyślali się, że mogą przypłacić tę eskapadę życiem.

## ROZDZIAŁ 35

**K**iedy wrócili do obozu, Mila doglądała Chloe. Kate, George i Shen krzętałi się na brzegu rzeki, ale chyba jeszcze nie przystąpili do łowienia ryb. Barney siedział przy ogniu i przy pomocy noża rozcinał na kawałki swój plecak. Parę osób obserwowało z zaciekawieniem, jak pracuje.

– Mam nadzieję, że się nie pogniewasz – powiedział na widok Toma. – Wziąłem nóż z twojego plecaka.

Joel natychmiast się podminował:

– Nie wiedziałem, że w ogóle mamy drugi nóż.

Tom zignorował go i zwrócił się do Barneya:

– Spoko. Co porabiasz?

Barney popatrzył na rozłożony na części pierwsze plecak.

– Na razie jeszcze nad tym pracuję. Ale pomyślałem, że stelaż i nylonowy materiał świetnie mogą się nadać na wiosło.

Tom się uśmiechnął. Pomysłowość i smykałka do wynalazków Barneya nie przestawały mu imponować. Uśmiech spelzł mu z ust, gdy Joel powiedział:

– Super, ale raczej nam się nie przyda. – Barney zrobił rozczarowaną minę, a Joel podniósł głos, przemawiając teraz do wszystkich członków grupy. – Zauważyliśmy dym po drugiej stronie wzgórz. Kilka osób wybierze się tam, żeby sprawdzić jego źródło. Chris, Nick, pójdziecie z nami. – Rozległ się chór pytań, ale Joel uciszył je wszystkie, unosząc ręce. – Na razie nic więcej nie wiemy. To na pewno ogień rozpalony przez człowieka. Musimy jednak się upewnić, czy ludzie ci zechcą nam pomóc. Jestem przekonany, że tak. Gdyby się jednak okazało, że nie, wycofamy się do obozu i popłyniemy na tratwach, tak jak planowaliśmy od początku.

Alice zwróciła się szeptem do Toma:

– Jak ty planowałeś.

Kate i George wystąpili przed szereg.

– Ja mogę pójść – powiedział George.

– Ja też – rzuciła Kate.

Tom gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie – rzekł Joel. – Oddział zwiadowczy jest już wystarczająco liczny. Chcemy wyruszyć bez zbyt dużego bagażu, tak żeby wrócić przed zmrokiem.

– Jak daleko znajduje się ten ogień? – zainteresował się Shen.

– Niedaleko, niespełna godzinę marszu stąd – wyjaśnił Joel.

Alice nie wydawała się jednak przekonana.

– Nie wydaje mi się. Moim zdaniem co najmniej półtorej godziny, o ile teren nie okaże się trudny.

– Tak – zgodził się Tom.

– W takim razie powinniście zabrać plecaki – powiedział Shen. Joel w odpowiedzi zrobił zdumioną minę, jakby propozycja Shena była absurdalna. Chłopak mówił jednak zupełnie poważnie. – Wygląda na to, że to miejsce jest na tyle oddalone, że po drodze możecie się zgubić. Oczywiście mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Gdyby jednak tak się stało, powinniście mieć ze sobą plecaki.

– Racja – przyznała Alice. – Zabiorę swój.

– Ja też – stwierdził Tom, nie dając Joelowi szansy na dyskusję.

Kiedy zaczęli się przygotowywać do drogi, Tom podszedł do Kate i George'a.

– Nie chciałem, żebyście szli z nami – powiedział. Obejrzał się przez ramię, żeby upewnić się, że Joel nie podsłuchuje. Chłopak prowadził właśnie rozmowę z Milą. Wyglądał jak dygnitarz, który odwiedza szpital. – Rzecz jasna, planuję wrócić. Jednak gdyby coś poszło nie tak, wiem, że wy razem z Barneyem i Shenem zdołacie poprowadzić ludzi dalej.

– Musisz wrócić – powiedział żarliwie George.

– Tom, słyszałeś, co mówi George – podsumowała Kate. – Jesteś tu potrzebny. Nie mam zamiaru szukać cię drugi raz po dżungli.

Tom się uśmiechnął. Podejrzewał, że w rzeczywistości wcale nie potrzebowali



go aż tak, jak im się wydawało. Poczuł się jednak wzruszony ich słowami.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Shen przypilnował przepakowania plecaków, tak by obie grupy miały apteczki pierwszej pomocy, a oddział zwiadowczy został wyposażony w wystarczającą ilość jedzenia i wody.

Joel ruszył przodem, za nim szli Chris i Nick. Pochód zamykali Alice i Tom. Szybko oddalili się od plaży wydeptaną już ścieżką pośród krzewów. Kierowali się ku urwisku. Wstążka dymu, nadal widoczna na tle nieba, wydawała się cieniutka, lecz nie znikła.

– Oto i ona. – Chris wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Tom nie wiedział, co chłopak miał na myśli. Joel skinął głową i wskazał na lewo od skarpy.

– Będziemy chyba mogli zejść tędy. A potem ruszymy na skos...

Alice weszła mu w słowo:

– O czym ty mówisz? – Joel popatrzył na nią zaskoczony, a wtedy sprecyzowała:

– Po zejściu nie będziemy mieć pojęcia, gdzie znajduje się ogień. Musimy przemieszczać się granią pasma wzgórz, żeby nie stracić go z oczu. Dopiero gdy znajdziemy się mniej więcej na wysokości ogniska, możemy zejść na dół.

– Ona ma rację – przyznał Nick. Tom nie wierzył własnym uszom.

– Prawdę mówiąc, ona zazwyczaj ma rację – dodał Chris.

– Dobra. – Joel wcale nie brzmiał, jakby uważał to za dobry pomysł. – Czeka nas bardziej forsowny trekking, ale jeśli macie się poczuć dzięki temu lepiej, chodźmy górą. – Wskazując włócznię trzymaną przez Toma, spytał: – Idę na przedzie. Dasz mi ją?

– No jasne – odparł Tom, oddając mu włócznię.

Posuwali się nie samą granią, ale na tyle wysoko, że momentami pomiędzy drzewami otwierał się widok na zbocza i wznoszącą się w oddali nitkę dymu. Ilekroć ją odnajdywał, Tom z ulgą stwierdzał, że dym wcale się nie przybliżył. Instynkt podpowiadał mu, że zmierzają ku czemuś, co wcale nie jest mniej niebezpieczne od samej dżungli.

Wkrótce okazało się, że nawet szacunki Alice świadczyły o naiwnym optymizmie. Szli przez godzinę, nim osiągnęli punkt, w którym dym mieli mniej więcej przed sobą, chociaż nadal wydawał się oddalony o spory kawałek. Teraz jednak było już jasne, że zdołają tam dojść. Tom wiedział, że nie zawrócą, mimo że najchętniej właśnie to by zrobił.

– Jest pewien problem – odezwał się Joel. – Posuwamy się wzdłuż dwóch dłuższych boków trójkąta, zamiast iść na skos. Gdybyśmy zrobili tak, jak proponowałem, bylibyśmy już na miejscu. No ale... – zawiesił głos i pozwolił wybrzmieć swoim słowom, po czym ruszył w dół zbocza.

Alice popatrzyła na Toma.

– Moglibyśmy po prostu go zabić – zażartowała. – Nikt by się nie zorientował.

– Zapomniałaś, po co tu jesteśmy – odparł z uśmiechem. – Mamy dopilnować, żeby Joel nie dał się zabić.

Kiedy zeszli i znaleźli się u podnóża wzgórza, teren stał się płaski, a oni wkroczyli znów na ścieżkę. Różniła się od tej, którą napotkali wcześniej. Tom nie potrafił tego wytłumaczyć, ale z jakiegoś powodu wyglądała na ścieżkę stworzoną przez człowieka. Teoretycznie powinno im to dodać otuchy. Na Toma i Alice ta obserwacja podziałała jednak zupełnie inaczej: wymienili ponure spojrzenia, jak ludzie nękani złymi przecuciami.

Tom najchętniej by się zatrzymał, bo miał wrażenie, że to jeden z tych dziwnych kluczowych momentów – jak chwila z Naomi w samolocie czy osobliwa atmosfera, jaka zapanowała w obozie w godzinach poprzedzających śmierć Freddiego. Teraz też w nieruchomym powietrzu unosiła się swego rodzaju zapowiedź czegoś doniosłego. Tom miał przecucie, że otworzył się przed nim jakiś portal – i gdyby miał chwilę spokoju, żeby się skoncentrować, zdołałby przeniknąć spojrzeniem materię czasu i dojrzeć, co ich czeka. Jakie niebezpieczeństwo na nich czyha.

Tyle że nie było czasu na zastanowienie. Nadal parli do przodu, a kiedy patrzył na Alice, wiedział tylko jedno: że pod żadnym pozorem nie może dopuścić, by stało jej się coś złego. Nie miał pojęcia, skąd bierze się to uczucie. Jednak było ono przemożne – nie mógł pozwolić, żeby stała jej się jakaś krzywda.

## ROZDZIAŁ 36

Posuwali się teraz w milczeniu, chcąc niepostrzeżenie zakraść się w pobliże obcego obozowiska. Tom obserwował mijane drzewa, wypatrując śladów mogących wskazywać na to, że wkroczyli na terytorium plemienne. W gruncie rzeczy nie wiedział, czego konkretnie ma szukać, jednak rozglądał się mimo to. Być może próbował znaleźć coś, co dodałoby mu otuchy, jednak na próżno. Nawet dżungla zdawała się wstrzymywać oddech – coś czało się skryte pod maską osobliwego bezruchu.

Co jakiś czas Joel przystawał i nasłuchiwał. Jednak na dłuższy postój i uzupełnienie płynów zdecydowali się dopiero po upływie kolejnej godziny.

– Wydaje mi się, że coś słyszę – powiedziała Alice. – Coś jak warkot silnika samochodowego.

– Mało prawdopodobne – mruknął Chris. Joel uciszył go szybko i teraz wszyscy już nastawiali uszu.

Po chwili również Tom wychwycił odległy hałas.

– Może to generator prądu.

– A nie mówiłem? – Joel się uśmiechnął.

Tom popatrzył na niego bez słowa.

– Nie przypominam sobie, żebyś coś mówił na ten temat – odezwała się Alice. – No więc mają generator w obozie. To jeszcze nie oznacza, że nie są niebezpieczni.

– Zgoda – odparł Joel. – Ale nie świadczy też o tym, że są.

Kiedy zakradli się bliżej, usłyszeli wyraźnie głosy kilku mężczyzn. Brzmieli, jakby byli zajęci jakąś pracą. Tom i reszta zatrzymali się, kiedy dojrzelili ruch i budynki bielejące pośród drzew.

Posunęli się jeszcze kawałek. Znajdowali się teraz w miejscu, skąd mieli niezły widok, a zarazem pozostawali w ukryciu. Przed nimi stały tam trzy budynki – jeden

przypominał wielką chatę albo barak robotniczy, drugi kojarzył się z niedużą stodołą, a trzeci był pozbawiony ścian szczytowych.

Na placu między budynkami naliczyli co najmniej dwunastu mężczyzn. Niektórzy byli uzbrojeni po zęby. Ze stodoły wynoszono wielkie worki, które następnie przejmowali oczekujący mężczyźni. Pracy towarzyszyła zauważalna nerwowość.

Tom i pozostali z powrotem ukucnęli.

– Uważam, że musimy to rozegrać bardzo ostrożnie – stwierdził Joel. – Nie możemy ich przestraszyć i...

Na twarzy Alice zjawił się uśmiech, jednak świadczący nie o rozbawieniu, a raczej osłupieniu.

– Chyba żartujesz – powiedziała. Joel spojrział na nią ze zdumieniem, jak człowiek, który nie ma pojęcia, dlaczego ktoś mu przerywa. – Joel, to fabryka kokainy.

– Tego nie wiemy.

– Ależ wiemy. Widziałam coś takiego w telewizji. Koka jest uprawiana w dżungli. Potem zbiera się ją i przewozi niezarejestrowanymi samolotami. Ten otwarty po bokach budynek to miejsce, w którym jest przetwarzana. A teraz prawdopodobnie jesteśmy świadkami załadunku nowego transportu.

Joel gapił się na nią przez długą chwilę, jakby próbował znaleźć jakiś sensowny argument.

– No dobra, może masz rację – przyznał w końcu. – Ale to jeszcze nie musi oznaczać, że ci ludzie nam nie pomogą. – Alice otworzyła szeroko usta ze zdumienia. Joel tymczasem ciągnął niezrażony: – Poczekamy, aż skończą robotę i ochłoną. A kiedy wyślą już transport – jeśli to faktycznie jest transport kokainy – zobaczymy, jaka jest sytuacja.

Chris i Nick skinęli głowami na znak zgody.

Alice popatrzyła na Toma.

– Jeśli zamierzamy wrócić do obozu za dnia, powinniśmy niedługo się stąd zbierać – stwierdził Tom. – Ale myślę, że pół godziny możemy poczekać.

Zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja.

Joel spytał z zadowoloną miną:

– A więc zgadzasz się ze mną, że warto zaryzykować?

– Nie, uważam, że masz nierówno pod sufitem.

– No to dlaczego chcesz zaczekać?

Tom wzruszył ramionami.

– Na wypadek, gdyby wszyscy się stąd zmyli i zostawili po sobie radionadajnik albo coś w tym stylu. To bardzo mało prawdopodobne, ale warto poczekać trzydzieści minut.

– Oboje jesteście w błędzie – rzekł Joel. – Przyczaimy się na pół godziny i zobaczymy, jak to się rozwinie.

Alice nie odpowiedziała. Nie czekając na dalsze instrukcje, wycofała się głębiej do dżungli. Chłopcy ruszyli jej śladem. Z miejsca, w którym przycupnęli, nadal mogli słyszeć pomruk pracującego generatora, a także pokrzykiwania, głosy, a niekiedy również śmiechy.

Tuż przed upływem umówionych trzydziestu minut w obozie nagle zapadła cisza. Umilkł nawet warkot generatora, jednak głosy ucichły tak gwałtownie, że Tom zrobił się niespokojny. Przez myśl przeszło mu, że mężczyźni odkryli ich obecność i teraz szykują zasadzkę.

Joel najwyraźniej nie miał podobnych obaw.

– No chodź, Chris, rozejrzemy się po obozie.

Chłopak skinął głową, po czym zwrócił się do Toma.

– Wydostaniemy się stąd. Do odważnych świat należy.

Kiedy zostali we trójkę, Nick potrząsnął głową i powiedział:

– Wydaje ci się, że znasz odpowiedzi na wszystkie pytania? Myślisz, że jesteś taki super?

Tomowi nie spodobał się jego ton. Ani to, co wynikało z jego słów – że Joel najwyraźniej obgadywał go ze swoimi kolesiami.

– A my się znamy? – odparł, nie kryjąc niechęci.

Nick, który z reguły odnosił się do wszystkich w sposób prowokacyjny, nie

bardzo chyba wiedział, jak zareagować na jawną wrogość w głosie Toma.

– Joel dowiedzie w końcu, że się mylisz – powiedział wreszcie.

– Chyba chciałeś powiedzieć, że to ja się mylę – wtrąciła się Alice. – To ja sprzeciwiłam się Joelowi. Pewnie uważasz, że skoro jestem dziewczyną, moje zdanie jest bez znaczenia. Zawsze chodzi tylko o to, który facet będzie na czele grupy. Tak to sobie wyobrażasz, prawda?

– Nie... nie o to mi chodziło. Ja...

– To super. Nie znam Toma zbyt dobrze, ale wiem, że on w ogóle nie dba o te wasze gierki. Zależy mu tylko na tym, żeby wydostać nas z tego żywych.

– To zupełnie tak samo jak Joelowi.

– Cóż, chyba kiepsko mu idzie, co?

Nick szykował się już do riposty, gdy Tom usłyszał hałas.

– Wracają – powiedział.

Chris tak palił się do przekazania im, co znaleźli, że niemal potknął się o ich stopy. Kiedy wreszcie znalazł się tuż obok, Tomowi wydało się, że chłopak właściwie nie jest pewien, co chce powiedzieć. Może jego wahanie brało się stąd, że nie chciał ubiec Joela.

Kiedy Joel ukucnął, powiedział:

– Przystępujemy do akcji. – Tom skrzywił się, słysząc, że Joel próbuje wysławiać się w taki sposób, jakby należał do elitarnej jednostki wojskowej. – Zostało tylko sześciu, siedmiu gości. To faceci, którzy zajmują się tym miejscem. Pewnie farmerzy. Ja i Chris, z plecakami, wejdziemy do obozu z drugiej strony, tak jakbyśmy przyszli od strony rzeki.

– Powiemy, że zepsuła nam się łódź – dorzucił Chris.

– Jeśli okażą chęć pomocy, powiemy, że jest nas więcej.

– A co, jeśli nie? – zastanowiła się Alice.

– Uciekniemy i skierujemy się do rzeki – wyjaśnił Joel spokojnym tonem człowieka, który w ogóle nie dopuszcza takiej możliwości. Jakby na dowód, że jego absurdalny plan awaryjny ma szanse powodzenia, dodał: – To rolnicy, robotnicy fizyczni. A nie mordercy.

Po tych słowach zarzucił plecak na ramiona. Chris poszedł za jego przykładem.

– Co, już teraz chcecie iść? – zdziwiła się Alice.

– Do odważnych świat należy – powtórzył Chris. Oczy mu się zaszklily ze wzruszenia. Chłopak niewątpliwie wyobrażał już sobie, że ich wysiłki zakończą się wielkim sukcesem.

Joel podał włącznię Tomowi.

– Lepiej zostawię ją tutaj. Nie chciałbym zrobić złego wrażenia na tych gościach.

Wyciągając rękę po włącznię, Tom powiedział:

– Wiem, że rzadko się zgadzamy. Ale proszę cię, żebyś tego nie robił. Narażasz na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale nas wszystkich. Widziałeś rzekę. Będziemy mogli popłynąć z prądem.

– Czasami, Tom, trzeba podjąć ryzyko. A to ryzyko, przed którym teraz stoimy, jest tego warte – oświadczył. Wstał i powiedział: – No dobra, Chris, do dzieła.

I zanim ktokolwiek zdążył zareagować, obaj zniknęli w dżungli.

## ROZDZIAŁ 37

**T**om, Alice i Nick wrócili do miejsca, z którego wcześniej obserwowali fabrykę. Teraz, gdy teren częściowo się wyludnił, mieli lepszy widok na znajdujące się poniżej niewielkie obozowisko. Stodoła była zamknięta, pozbawiony ścian szczytowych budynek wyglądał na pusty. Przez uchylone drzwi z baraku dobiegała muzyka, zagłuszana przez jakieś trzaski, więc zapewne puszczana z radia. Dym, który dostrzegli z oddali, wydobywał się z wąskiego metalowego komina na dachu baraku.

Tom dopiero teraz zauważył psa na łańcuchu przy głównym budynku. Za nim znajdowała się niska przybudówka, mieszcząca zapewne generator, przy której stały duże kanistry. Tom podejrzewał, że z benzyną.

Pies leżał z pyskiem opartym na ziemi. W pewnym momencie poderwał się i utkwił spojrzenie w drzewach. Warknął, a po chwili z jego pyska dobyło się niepewne szczeknięcie. Zaraz potem kolejne.

Jakiś mężczyzna pojawił się w drzwiach baraku i wyszedł na niewielki frontowy ganek. Rzucił coś po hiszpańsku do psa, który szczeknął jeszcze raz, nie przestając wpatrywać się w drzewa. Mężczyzna również skierował spojrzenie w tamtym kierunku.

Był krępy i wąsaty, z przerzedzonymi włosami. Miał na sobie brudną koszulkę bez rękawów i coś przypominającego zielone spodenki piłkarskie – na jego widok Tom zrozumiał, dlaczego Joel wziął go za rolnika. Z pewnością nie był to jednak typ, z którym Tom chciałby wchodzić w konflikt. Facet ten wyglądał groźnie, a coś w jego postawie sugerowało, że należy się mieć przy nim na baczności. Wydawał się czujny, a zarazem nieustraszony.

Mężczyzna musiał coś usłyszeć, bo odwrócił się do otwartych drzwi baraku i wypowiedział kilka niezrozumiałych słów. Po chwili z wnętrza wynurzyło się



dwóch kolejnych facetów. Jeden młodszy, drugi starszy, z bujną siwą czupryną. Obaj byli uzbrojeni. Młodszy podał pierwszemu rewolwer.

Alice mruknęła coś pod nosem na widok broni i zaniepokojonych min mężczyzn. Nim Tom zdążył otworzyć usta, po przeciwnej stronie obozowiska coś się poruszyło i spomiędzy zarośli na polankę wyszli Joel i Chris.

Pies szczeknął znowu, ale pierwszy z mężczyzn krzyknął i zwierzę uciekło za narożnik budynku.

Joel uniósł rękę i zawołał beztroskim głosem:

– ¡*Hola!* ¡*Buenos dias!* Moglibyście nam pomóc?

– Hej – zawołał Chris, również przyjaźnie machając ręką na powitanie.

Młodszy z mężczyzn parsknął śmiechem wyrażającym niedowierzanie. Starszy odwrócił się i wszedł do baraku. Pierwszy mężczyzna, ten z wąsami, mierzył tymczasem intruzów lodowatym spojrzeniem. Kiedy Joel i Chris zbliżyli się do baraku, z jego wnętrza wyszło trzech kolejnych facetów. Tom zauważył, że są nieuzbrojeni, co mogło sugerować, że nie postrzegają przybyszów jako potencjalnego zagrożenia.

Joel znów coś powiedział, ale Tom nie mógł z tej odległości rozpoznać słów. Słyszał tylko niewyraźny, lecz dość władczy ton. Chris odgrywał swoją rolę – dorzucał coś od siebie i wskazywał drzewa.

Bardzo szybko stało się jasne, że chłopcy marnują tylko czas. Mężczyzna z wąsami z początku zachowywał kamienną twarz, a po chwili wybuchnął śmiechem. Rzucił parę słów przez ramię do kolegów, na co ci zareagowali rechotem. Joel też się roześmiał, nie dostrzegając chyba, że mężczyźni kpią z niego oraz że w ich drwinach pobrzmiewa złowroga nuta.

Mężczyzna wskazał plecaki chłopaków, na co Joel znów wypowiedział ciąg niezrozumiałych słów. Obaj z Chrisem zsunęli plecaki z ramion i oddali je mężczyznom. Dwóch zajrzało do środka i zaczęło przetrząsać ich zawartość.

Joel wskazał swój plecak i próbował chyba coś wytłumaczyć. Wykonał zbyt gwałtowny ruch albo po prostu wąsaty facet miał już dość jego gadaniny – momentalnie stało się jasne, że Joel popełnił błąd. Cios był szybki niczym

błyskawica – mężczyzna doskoczył do Joela i uderzył go na odlew w twarz, tak że chłopakowi głowa odskoczyła na bok.

Alice znów wymruczała pod nosem przekleństwo. Nick powtarzał raz za razem „nie, nie, nie”, jakby wierzył, że w ten sposób zdoła odmienić bieg wypadków. Chris cofnął się wstrząśnięty, ale to wywołało jeszcze gwałtowniejszą reakcję. Pierwszy z mężczyzn – niewątpliwie szef grupy – warknął jakiś rozkaz. Podwładni rzucili plecaki na ziemię i chwycili Joela i Chrisa.

– Joel, powiedz im coś! – krzyknął Chris głosem, w którym wybrzmiewała panika.

Nawet jeśli Joel odpowiedział, jego głos nie docierał do ich kryjówek. Na mężczyznach zaś jego słowa nie zrobiły żadnego wrażenia.

Szef warknął kolejny rozkaz i chłopców szturchnięciami i kopniakami zaprowadzono ku stodołę. Zapędzono ich do środka. Jeden z mężczyzn wynurzył się niemal natychmiast, ale reszta została wewnątrz.

Mijały minuty, a zza zamkniętych drzwi stodoły nie docierały żadne dźwięki. Tom wyteżał słuch. Wcale nie był pewien, czy chce usłyszeć, co dzieje się w środku, lecz mimo to nasłuchiwał.

Wreszcie drzwi stodoły otworzyły się i wyszło dwóch pozostałych mężczyzn. Obaj się śmiali. Tom próbował domyślić się, co mogło kryć się za tym śmiechem, jednak nie potrafił wydedukować, jaki los spotkał Joela i Chrisa. Wyobrażenia podsunęła mu obraz dwóch martwych chłopców – zginęli cicho, nie stawiając żadnego oporu, a ich śmierć była równie przypadkowa jak atak żmii, która ukąsiła Toby'ego.

Szef odezwał się do młodszego z mężczyzn i wdali się w krótką dyskusję, nim młodszy wrócił do stodoły. Kiedy zjawił się z powrotem, niósł niewielką skrzynkę do siedzenia. Zamknął za sobą drzwi, po czym usiadł na skrzynce. Tom z ulgą zrozumiał, że wyznaczono mu wartę. A zatem chłopcy nadal żyli, przynajmniej na razie.

Pozostali mężczyźni zanieśli plecaki do baraku i po chwili w obozie znów zapanowała cisza i bezruch. Joel i Chris żyli – tej myśli można się było ucześcić.

Zostali jednak uwięzieni, co utrudniało decyzję, jaki powinien być ich następny krok.

Tom zerknął na zegarek, po czym dał do zrozumienia Alice, że powinni się wycofać. Na Nicka w ogóle nie patrzył, wychodząc z założenia, że chłopak pójdzie za ich przykładem.

Kiedy oddalili się od obozu, Alice powiedziała:

– Wiedziałam, że tak będzie. I co my teraz zrobimy?

Tom wprawdzie miał równie złe przecucia co do tej eskapady, ale nie obmyślił żadnego planu awaryjnego na wypadek, gdyby faktycznie zdarzyło się coś złego. Nie wiedział, czy zdołają uratować chłopaków. Ale było dla niego jasne, że nie mogli ich tak po prostu zostawić.

– Nie uda im się uciec – powiedziała Alice. Gotowała się ze wściekłości na Joela, Chrisa, a nawet na samą siebie. – To był kretyński pomysł, żeby tam iść! Idiotyczny!

– Joel twierdził, że nie są uzbrojeni. No ale najwyraźniej są. Musimy wracać. – Były to słowa Nicka. Oboje spojrzeli na niego zaskoczeni. Lekko drżały mu usta, gdy zaczął się bronić: – Sami mówiliście, że niedługo zapadnie zmrok. Musimy myśleć o pozostałych. Jeśli się stąd wydostaniemy, sprowadzimy pomoc. Ale sami nie zdołamy pomóc chłopakom.

– Uważasz, że powinniśmy wracać? – zdziwił się Tom. Nick przytaknął. Minę miał przestraszoną. – Przecież to twoi przyjaciele.

– To nie fair. Nie o to mi chodzi.

– Nie zostawię Chrisa – stwierdziła stanowczo Alice. – Po prostu nie mogę tego zrobić.

Tom doskonale ją rozumiał. W Alice nie było przyzwolenia na poczucie bezsilności. Za wszelką cenę chciała znaleźć sposób na uratowanie Chrisa. Postanowiła nie dopuścić do sytuacji, gdy będzie musiała spojrzeć w twarz jego rodzicom i powiedzieć, że zostawiła ich syna w potrzebie.

Wcześniej Tom czuł, że nie chce, by cokolwiek złego przytrafiło się Alice. Teraz jednak uświadomił sobie, że to, co dzieje się teraz, dotyczy również jej. Strata

Chrisa byłaby dla niej równie traumatycznym przeżyciem, co poważna rana. Odkrycie to tylko wzmoгло jego determinację.

Zerknąwszy na zegarek, powiedział:

– Za niespełna godzinę zrobi się ciemno. Teraz i tak nie zdążymy już za dnia wrócić do naszego obozu. Proponuję, żebyśmy wrócili do punktu obserwacyjnego i poczekali na rozwój wypadków. Przekonamy się, czy ci ludzie zostawią chłopaków bez straży. – Nick nie próbował już ukrywać drżenia ust. Kręcił bez przerwy głową na boki. – Nie zrobimy nic, co mogłoby nas narazić na większe niebezpieczeństwo. Poczekajmy i zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja. Zgoda?

W końcu po długiej chwili Nick kiwnął głową. Alice też się zgodziła z wyraźną wdzięcznością, bo nie została zmuszona do zaakceptowania czegoś, na co nigdy sama z siebie by się nie zgodziła.

– Dobrze – powiedział Tom.

Zdawał sobie sprawę z tego, że jego pewność siebie jest wyłącznie na pokaz. W głębi duszy rozumiał, że sytuację tę będzie można rozwiązać tylko na kilka sposobów – i nie podobał mu się żaden z nich.

## ROZDZIAŁ 38

**P**rzez pewien czas w fabryce nic się nie działo. Z baraku nadal dobiegała cicha muzyka. Niekiedy słyszeli też dolatujące ze środka śmiechy albo podniesione głosy. W powietrzu rozniosła się też woń smażonego mięsa, która była dla ich pustych żołądków istną torturą.

Spokój w obozie wzmagął tylko lęk, jaki załagał się w ich sercach. Atmosfera zdawała się wybuchowa, nastroje mężczyzn stawały się coraz bardziej niestabilne. Tom miał wrażenie, że lada chwila może między nimi dojść do rękoczynów.

W pewnym momencie z budynku ktoś wyszedł. Facet zaniósł młodemu wartownikowi talerz i butelkę piwa, po czym wrócił do środka. Alice, Tom i Nick przypatrywali się z ukrycia, jak mężczyzna się posila. Pies również coś dostał. Kiedy wartownik skończył jeść, resztki z talerza zrzucił na ziemię i zaniósł naczynie do baraku.

Rozległy się gniewne krzyki i po chwili wynurzył się znowu. Krzyknął coś przez ramię, ale sprawiał wrażenie człowieka, który właśnie usłyszał połajankę. Tom miał wrażenie, że nastroje w baraku były teraz niewesołe. Wartownik, wyraźnie niepokieszony, usiadł z powrotem na skrzyni.

Dopiero teraz Tom zorientował się, że jest on niewiele starszy od nich. Jednak oliwkowa cera, gładko przyczesane, ciemne włosy i mocna budowa ciała nadawały mu wygląd żołnierza. Swobodny sposób, w jaki obchodził się z rewolwerem, pozwalał się domyślać, że od dawna zaznajomiony jest z bronią.

I właśnie z tego powodu Tom wzbraniał się przed działaniem. Nawet gdyby jego koledzy upili się do nieprzytomności, wdawanie się w bójkę ze strażnikiem mogło skończyć się fatalnie. Również ostra reprymenda, na którą się naraził, opuszczając posterunek, nie rokowała zbyt dobrze – wszystko wskazywało na to, że ich nadzieje na lepszą okazję do uwolnienia kolegów były płonne. Kryła się za tym inna myśl –

prędzej czy później będą zmuszeni uznać, iż nie zdołają im pomóc. A wówczas pozostanie im porzucić nadzieję i wziąć nogi za pas.

Wraz z upływem czasu Nick stawał się coraz bardziej niespokojny.

– To bez sensu – szepnął, a kiedy Tom i Alice popatrzyli na niego, dodał: – Pewnie i tak już nie żyją.

Tom również coraz bardziej tracił wiarę w celowość czekania. Jednak słysząc, jak Nick wyraża na głos jego własne wątpliwości, poczuł, jak wzrasta w nim determinacja, by na przekór wszystkiemu znaleźć jakiś sposób.

– Nikt nie stawia strażników, by pilnowali trupów – oznajmił stanowczo.

– Tak czy inaczej, nigdzie się stąd nie ruszymy – wtrąciła się Alice. – Jeśli jednak masz ochotę wracać, to nie będziemy cię zatrzymywać.

– Nie o to mi chodziło. Ale... po prostu nie możemy tkwić tu w nieskończoność. Nie sposób było się z tym spierać.

– Tym gościom wydaje się, że Joel i Chris są sami – powiedział Tom. – Nie spodziewają się innych intruzów. Prędzej czy później będą musieli położyć się spać.

W milczeniu poczekali na zapadnięcie ciemności. Jak zawsze nadejście zmroku spowodowało subtelną zmianę w nieprzerwanych odgłosach dżungli. Momentalnie także zwiększyła się liczba komarów.

W baraku rozblęskło światło, a po chwili zamknięto drzwi. W ciemności pijackie, ochryple głosy docierały do nich wyraźnie. W pewnym momencie strażnik zajrzał do stodoły, ale wrócił niemal natychmiast, niosąc latarnię. Zapalił ją i postawił na ziemi przy skrzyni. Wystarczyło parę sekund, by wokół lampy zaroilo się od ciem.

Hałasy w baraku zdawały się falować – osiągały kulminację, po czym znów cichły. Wreszcie otworzyły się drzwi i ukazały się w nich dwie ciemne męskie sylwetki na tle światła. Tom od razu rozpoznał, że jeden z nich to szef. Drugiego nie potrafił zidentyfikować. Ruchy obu mężczyzn wskazywały, że są podpicci.

Szef trzymał w ręku kawał mięsa wyglądający na pół kurczaka i go pogryzał. Kiedy jego spojrzenie padło na psa, zaczął się z nim drażnić, podsuwając mu mięso pod nos. Upuścił je w końcu na ziemię i ze śmiechem przypatrywał się, jak

uwiązany na łańcuchu zwierzak bezskutecznie próbuje go dosięgnąć.

Obaj mężczyźni skierowali się do stodoły i rzucili parę słów do młodego wartownika. Tom poczuł ze zdenerwowania ucisk w żołądku – nie podobało mu się to, co widział. Nie miał pojęcia, jakie zamiary mają tamci, ale zdawali się mocno wstawieni i skorzy do okrucieństwa.

Strażnik wstał, kiedy nadeszli. Szef roześmiał się i poklepał go po plecach. Chłopak odtrącił jednak jego rękę i poszedł do baraku. Gwar w środku przycichł na chwilę, ale zaraz rozbrzmiał znowu. Mężczyzna towarzyszący szefowi podniósł latarnię, po czym obaj weszli do stodoły i zamknęli za sobą drzwi. Tom nie potrafił stwierdzić, czy to oni się śmieją, czy może śmiechy dobiegają z baraku.

Wtem usłyszał, jak Alice mamrocze coś do siebie. Dopiero potem wyjaśniła, o co jej chodzi:

– Nie podoba mi się to, Tom. I to wcale.

Tom słuchał jednym uchem. Wpatrywał się w światło sączące się spod drzwi baraku oraz stodoły. Widział psa, który nadal bezskutecznie chciał dostać się do mięsa leżącego na ziemi. Rejestrował hałasy docierające z obozowiska, podzwanianie łańcucha, na którym uwiązane było zwierzę. Zarazem słyszał to, co mówili Nick i Alice. Nasłuchiwał dźwięków dżungli i niepokojącej ciszy panującej w stodole.

Wiedział, że dzieje się coś złego – Joel i Chris zapewne cierpieli z winy tych dwóch mężczyzn. I nagle stało się jasne, że nie mogą czekać ani chwili dłużej. Tom wielokrotnie zapowiadał, że nie pozwoli, by ktokolwiek jeszcze zginął. Zrozumiał teraz, jak naiwne było to stwierdzenie. Ale nadeszła pora, by poprzeć te słowa działaniem.

Był tutaj i musiał działać.

## ROZDZIAŁ 39

**W** ciemności przyciągnął do siebie plecak. Poczuł tak potężny przypływ adrenaliny, że musiał się czegoś przytrzymać, żeby opanować drzenie dłoni. W plecaku wymacał pistolety sygnałowe i niezdarnie je naładował. Następnie wsunął oba za pasek i sięgnął po włącznię.

– Jeśli coś mi się stanie, wracajcie do obozu, zanieście tratwy na rzekę i płynicie.

Po tych słowach wstał.

– Nie, czekaj... – odezwała się Alice. Ale nie było już czasu do stracenia.

– Słyszeliście. Jeśli okaże się, że musicie uciekać, zróbcie to.

Nie czekając na ich odpowiedź, zaczął przedzierać się przez zarośla. Po chwili puścił się biegiem. Jego mózg błyskawicznie analizował potencjalne scenariusze i podsuwał sposoby działania. A kiedy wypadł na otwarty teren, w głowie miał już skryzalizowany plan. Cała nerwowość opuściła go w jednej chwili, a na dnie serca zrodził się osobliwy spokój.

Najpierw dostrzegł go pies – cofnął się od mięsa, powarkując niepewnie. Wydał z siebie wstępne szczeknięcie, jednak zostało ono zagłuszone przez hałas w baraku. Tom zrozumiał, że musi uratować tego psiaka. Miał na głowie ratowanie Joela i Chrisa, jednak nie mógł się spierać z tą myślą – pies nikomu nie wyrządził żadnej krzywdy.

Podszedł powoli do zwierzaka, podniósł mięso i podał mu je na wyciągniętej dłoni. Pies się zawahał. Nadal warcząc, podszedł ostrożnie i wyrwał mięso z ręki Toma. Z pełnym pyskiem, podszedł jeszcze bliżej i nie przestając powarkiwać, zaczął ocierać się łbem o nogi chłopaka. Tom nachylił się i odczepił łańcuch od obroży. Psiak, ze zdobyczą w zębach, skoczył w ciemność.

Następnie Tom podszedł do kanistrów. Odłożył włącznię, otworzył jeden z pojemników i rozlał zawartość wzdłuż muru baraku i ganku. Pobiegnął po kolejny



kanister, odkręcił wieko i ułożył go na boku niedaleko drzwi baraku. Benzyna z chlupotem zaczęła się wylewać na deski.

Cofnął się po włócznie i uzbrojony w nią zakradł się za stodołę. Ze środka dobiegały rozbawione i złowrogie głosy dwóch mężczyzn. Miał wrażenie, że w pewnym momencie odezwał się też Joel. Mówił coś błagalnym tonem.

Tom nie chciał tracić teraz czasu na podsłuchiwanie. Miał nadzieję, że nie jest jeszcze za późno. Zza paska wyszarpnął jeden z pistoletów sygnałowych i wycelował w pozostałe kanistry z benzyną stojące pod barakiem. Nacisnął spust. W ciemności rozległ się odgłos przypominający do złudzenia darcie papieru. Raca łukiem poszybowała ku celowi.

Tom spodziewał się, że usłyszy wybuch. Jednak na pewno nie oczekiwał *takiej* eksplozji. Była natychmiastowa i zdumiewająco potężna. Kula światła i żaru rozbłysła w ciemności, a siła wybuchu rzuciła go na ziemię. Błysk był oślepiający, a niebo zostało przyćmione przez latające szczątki baraku, który zamienił się w zgliszcza.

Poderwał się z ziemi na kolana. Dopiero gdy wsparł się na włócznie, niczym na lasce, upewnił się, że nadal ma ją w ręce. Drzwi stodoły otworzyły się na oścież i wypadł z nich szef szajki. Zobaczył Toma klęczącego na ziemi i puścił się biegiem w jego kierunku.

Tom zareagował błyskawicznie. Kiedy krępy mężczyzna biegł na niego, czas zwolnił. Tom zerwał się z ziemi i zanim jeszcze się wyprostował, dźgnął włócznią szarżującego przeciwnika, celując w brzuch. Natrafiwszy na opór, stawiany przez tłuszcz, mięśnie i kości, napał jeszcze silniej na drzewiec włócznie. I pchał, dopóki mężczyzna nie zwałił się na niego z rozpędu. Owionął go smród potu oraz dobywająca się z ust przeciwnika woń piwa zmieszanego z jedzeniem.

Wykonali wspólnie obrót niczym tancerze realizujący układ choreograficzny. Ale już w następnej chwili atakujący upadł plecami na ziemię, z drzewcem włócznie sterczącym pod kątem spod żeber. Siła uderzenia sprawiła, że Tom przeleciał nad ciałem mężczyzny i upadł na ziemię niedaleko otwartych drzwi stodoły. Jeszcze nim się zatrzymał, wyciągnął zza paska drugi pistolet sygnałowy i odwrócił się

w kierunku stodoły.

I wtedy zobaczył Joela i Chrisa, z dłońmi przywiązanyymi do belki ciągnącej się nad ich głowami. Obok stał drugi z mężczyzn. W ręce ścisnął maczetę. Wydawał się zdezorientowany i spanikowany.

Kiedy dostrzegł pistolet Toma, powiedział coś nerwowo po hiszpańsku, unosząc ręce w geście kapitulacji. Tom nacisnął spust, a flara, pokonawszy krótki, chaotyczny tor, trafiła mężczyznę w brzuch. Krzyknął i upadł do tyłu. Kiedy Tom ruszył biegiem do stodoły, facet nie przestawał krzyczeć.

Chris miał podbite oko. Koszulka Joela została z niego zdarta i leżała na ziem niczym szmata. Obaj coś mówili, ale Tomowi nadal dzwoniło w uszach po huku eksplozji. W efekcie ani ich nie słyszał, ani nie mógł zrozumieć. Podbiegł do mężczyzny leżącego na ziemi. Już nie żył, a mięso w jego brzuchu nadal się paliło. W powietrzu rozniosła się siarkowa woń racy. Tom pochylił się i wyjął mu z ręki maczetę.

Najpierw rozciął więzy krępujące Chrisa, następnie uwolnił Joela. Obaj nadal coś mówili, ale on ich nie słuchał.

– Za mną – rzucił.

Wybiegł znów przed stodołę. Coś podpowiedziało mu, by odzyskać włócznie Barneya. Okazało się jednak, że zaklinowała się w ciele zabitego. A ponieważ cała była skąpana we krwi mężczyzny, ręce Toma ślizgały się na drzewcu i po chwili się poddał. Pozostałości baraku, niezbyt przypominające już budynek, nadal płonęły.

Tom odwrócił od nich wzrok oślepiiony blaskiem. Ciemność dookoła wydawała mu się teraz absolutna i nieprzenikniona. Po chwili w oddali błysnęła jednak latarka – jej światło było tylko małym punkcikiem w aksamitnej ścianie dżungli.

Ruszył w tamtym kierunku, połowicznie tylko świadomy, że Joel i Chris biegną za nim. Doganiał go trzask szalejącego ognia. W końcu snop światła z latarki poruszył się i zbliżył. Mało brakowało, a zderzyliby się z nadbiegającymi z naprzeciwka Alice i Nickiem.

Chris nadal mocował się z resztkami sznura na nadgarstkach. Bełkotał coś bez

większego sensu.

– Niemożliwe, niemożliwe. To było... Co oni chcieli z nami zrobić?

Joel dotychczas zachowywał się cicho. Teraz rzucił tylko:

– Zamknij się, Chris.

– Rozciął ci koszulę – ciągnął niezrażony Chris. Teraz zwracał się do Nicka, który wydawał się strauumatyzowany, jakby jego również zamknięto w stodole. – Oni... Nie wyglądało to dobrze. Gdyby nie Tom... Stary, wielkie dzięki. Będę twoim dłużnikiem już zawsze. Oni zachowywali się strasznie dziwnie.

– Chris, po prostu się zamknij – powtórzył ponuro Joel.

– Ale to prawda. Sam o tym wiesz.

– Christian! – odezwała się Alice.

Zwróciła się do niego pełnym imieniem, ale tym razem chciała mu w ten sposób dodać otuchy. Kiedy chłopak popatrzył na nią, objęła go i momentalnie się uspokoił.

Nick popatrzył na Toma.

– Przepraszam – powiedział. – Za to, co wcześniej mówiłem.

– To bez znaczenia. – Tom potrząsnął głową.

– Dziękuję – rzekł Joel. – To był... heroiczny czyn.

Tom skinął na znak, że przyjmuje podziękowania. Ale prawdę mówiąc, wcale nie czuł się jak bohater. Odwrócił się znowu w stronę płonącego obozowiska. Próbował uzmysłować sobie fakt, że właśnie zabił co najmniej sześć osób. Śmierć tych dwóch, których zabił w walce, miała w sobie coś nierealnego. Nie potrafił jednak przestać myśleć o tym młodym strażniku, niewiele starszym od nich. Nie miał innego wyjścia, lecz mimo to nie potrafił ogarnąć rozumem faktu, że pozbawił życia tego dzieciaka.

Wyczuł jakiś ruch w ciemności i momentalnie się zatrzymał, a jego palce zacisnęły się kurczowo na rękojeści maczety. Zaraz jednak się rozluźnił, gdy ujrzał psiaka, który truchtem biegł w ich stronę. Machał ogonem, a kiedy znalazł się blisko, trącił go nosem w nogę. Tom podrapał go po łbie. Przynajmniej zdołał uratować tego zwierzaka. Z jakiegoś powodu tylko to wydawało mu się teraz

ważne.

## ROZDZIAŁ 40

Odszukali pozostałe plecaki i Nick oddał Joelowi swój zapasowy T-shirt. Joel mu podziękował. Wydawał się przygaszony, jakby ostatnie wypadki odebrały mu całą pewność siebie. Koszulka Toma cała była zakrwawiona, dlatego ściągnął ją i wyrzucił, po czym przebrał się w świeży T-shirt ze swojego plecaka.

Alice co chwilę zerkała na Chrisa, chcąc się upewnić, że jakoś się trzyma. Z jej ruchów i słów wycierała teraz determinacja.

– Od tej chwili będziemy używać tylko jednej latarki naraz. Na wypadek gdyby padły baterie. Z tej strony płynie rzeka, wzgórze są tam. Jeżeli pójdziemy tamtędy, a więc wybierzemy trzecią ścianę trójkąta, o której wcześniej wspominał Joel, nie zgubimy się przed dotarciem do rzeki. Zgoda?

– Tak jest – odparł bez wahania Nick.

Alice kiwnęła głową i stwierdziła:

– Ja wezmę latarkę. Tom, ty masz maczetę, dlatego pójdziemy we dwoje przodem.

– Poniosę ci plecak, Alice – zaproponował Chris.

Chyba chciała oponować, jednak dostrzegła w jego spojrzeniu coś, co sprawiło, że skinęła tylko głową.

– Ja mogę ponieść twój, Tom – odezwał się Joel. – Jeśli nie masz nic przeciwko.

Tom nie wiedział, co o tym myśleć. Wzruszył tylko ramionami:

– Jasne – rzucił.

Mieli już wyruszyć, gdy Alice odezwała się nagle, jakby coś jej się przypomniało.

– Tom – zagadnęła. Kiedy odwrócił się do niej, przytuliła go mocno, tak że stykali się głowami. A po chwili głosem drżącym z emocji szepnęła mu do ucha: – Dziękuję. Dziękuję.

Skinął głową, chociaż wiedział, że dziewczyna nie może dostrzec jego gestu. Odkrył, że on też ma ściśnięte ze wzruszenia gardło, może po prostu dlatego, że nie pamiętał, kiedy ostatni raz zetknął się z tak wielką wdzięcznością. Kiedy zastanowił się nad tym głębiej, uświadomił sobie, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie zrobił nic, co znaczyłoby tak wiele dla innej osoby.

Alice odsunęła się od niego i powiedziała:

– A co z tobą? Jak się czujesz?

– W porządku – odparł, bo taka była prawda. Domyślał się, że chyba nie powinien się tak czuć. Miał też świadomość, że w ciągu ostatnich piętnastu minut zaszła w nim jakaś zasadnicza zmiana, choć nie wiedział, jakiej natury. – Przed chwilą zabiłem kilku ludzi, ale nic mi nie jest.

– Zrobiłeś to, co było konieczne. I uratowałeś życie dwóm osobom.

– Oraz psu.

– No właśnie – roześmiała się.

Wyruszyli przez dżunglę, a pies podreptał za nimi. Momentami wybiegał do przodu, reagując na zapachy i dźwięki, których oni nie byli w stanie wyłapać. Niekiedy psiak wyczuwał zagrożenie, a wtedy wracał do Toma, powarkując ostrzegawczo.

Tom nie miał zbyt wiele czasu do namysłu, ponieważ przedzieranie się nocą przez dżunglę wymagało pełnej koncentracji. Fakt, że do pomocy mieli latarkę i psa, niewiele tu pomagał.

Tylko jeden raz ktoś wspomniał o wydarzeniach w obozie. Był to Chris.

– Jak myślicie, chyba nie będą nas szukać, co? To znaczy ci pozostali.

– Wątpię – odparła Alice. – Nawet jeśli usłyszeli wybuch, pewnie uznali, że to jakieś ćwiczenia wojskowe albo sprawka innego gangu. Nie wydaje mi się, żeby chcieli im się wracać razem z całym tym transportem kokainy.

– Poza tym i tak nie wiedzieliby, jak nas znaleźć – wtrącił się Joel.

Znów mówił pewnym sobie głosem, ale nikt mu nie odpowiedział. Przez pewien czas brnęli w niemal całkowitej ciszy.

Kiedy zaczęli się wspinać, zarośla stały się gęstsze. Tom szedł na przedzie,

z latarką w jednej, a maczetą w drugiej ręce. Posuwali się teraz wolniej. Pies trzymał się z tyłu, drepcząc u boku Alice.

Tom był już gotów zaproponować, żeby cofnęli się kawałek i poszukali innej trasy, gdy Alice wskazała coś palcem i powiedziała:

– Poświeć latarką w górę na prawo. – Kiedy zrobił, o co prosiła, spytała: – Czy to nie ta skarpa, na której dzisiaj staliśmy?

– Możliwe – przyznał.

Im dłużej patrzył, tym większej pewności nabierał, że faktycznie stoją pod urwiskiem.

Podjął marsz. Pies szczeknął radośnie, wyczuwając chyba zmianę nastroju Toma. Kiedy wdrapali się na urwisko, mimo nocnych ciemności miał już stuprocentową pewność, że dobrze trafili. Po chwili odnaleźli początek ścieżki, którą sami wydeptali, gdy przechodzili tędy wcześniej.

Ponieważ wiedzieli już, gdzie się znajdują, pozwolili sobie na dziesięciominutowy postój, żeby odsapnąć i się napić. Pies biegał, badając teren urwiska. Z początku nikt się nie odzywał, a Tom z wolna uświadamiał sobie, że ogarnia go wielki spokój. Dopiero teraz zrozumiał, że stres nie opuścił go dotąd ani na sekundę, mimo że fabrykę kokainy zostawili już za sobą.

Teraz byli już niedaleko swojego obozu. W ciemności rozległ się głos Joela:

– Może lepiej nie opowiadajmy pozostałym, co wydarzyło się tego wieczoru. Ludzie mogliby się przestraszyć.

Dla Toma było dość oczywiste, co chodzi mu po głowie. Kiedy odezwała się Alice, w jej głosie pobrzmiewała humorystyczna nutka.

– Chodzi ci o to, żebyśmy nie mówili im, jak bardzo dałeś ciała?

Joel odpowiedział jej zdecydowanym tonem:

– Wcale nie daliśmy ciała. Po prostu podjęliśmy ryzyko, ale zrobiliśmy to z myślą o wszystkich pozostałych. Możliwe, że to ryzyko ostatecznie się nie opłaciło. Ale to nie znaczy, że podjęcie go było błędem.

– Cóż, Joel, nie zgodzę się z tobą. Moim zdaniem to, co tam zrobiłeś, było twoim jak dotąd największym idiotyzmem. A to nie byle co.

Musiała upłynąć długa chwila, nim Joel zdobył się na odpowiedź:

– Odkąd nasz samolot się rozbił, wszystko, co robię, podporządkowane jest tylko jednemu celowi: chcę pomagać innym. Kiedy z Chrisem poszliśmy do obozu, przyświecał nam ten sam cel. Uważam, że nie powinniśmy za dużo opowiadać o ostatnich wypadkach, bo niepotrzebnie zdenerwujemy innych.

– W porządku – odparła rozwścieczonym głosem Alice.

Znowu zapadło milczenie. Tom wyczuwał, że Joel oczekuje jego reakcji, dlatego w końcu powiedział:

– Dla mnie to wszystko jedno. W każdym razie powinniśmy ruszać dalej.

Milczenie, jakie im teraz towarzyszyło, miało inny charakter niż wcześniejsze. Dawało się wyczuć, że znowu podzielili się na dwa obozy. Biorąc pod uwagę ostatnie wypadki w wytwórni kokainy – czy też raczej to, co zdaniem Toma się tam wydarzyło – nie mógł uwierzyć, że Joel nadal próbował zgrywać człowieka kontrolującego sytuację i podejmującego kluczowe decyzje.

Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia – nie w ogólnym rozrachunku. Tom wiedział, że jeśli Joel nie zrozumie tej konkretnej prawdy teraz, pod wpływem ostatnich wydarzeń, to nie ma już dla niego nadziei.



## ROZDZIAŁ 41

Pies dobiegł do obozu jeszcze przed nimi. Jedna z dziewcząt zareagowała na jego widok krzykiem, ale zaraz potem psiak wzbudził we wszystkich wielką ekscytację.

– To Joel i reszta! – ucieszyła się Mila.

Ta rewelacja wywołała jeszcze większe poruszenie. Kiedy oddział zwiadowczy zszedł ze stoku na plażę, wszyscy już stali na tle płonącego ogniska. Powitanie było dość chaotyczne i głośne. Lara przytuliła Alice, wokół Joela, Nicka i Chrisa zebrał się spory tłumek. Kate wyściskała Toma, a po chwili cofnęła się i zaśmiała cicho do siebie.

Kiedy wróciła do ogniska, do Toma podeszli Shen, Barney i George.

– Wiedziałem, że wrócicie – powiedział George.

Tom skinął głową, po czym zwrócił się do Barneya.

– Zgubiłem twoją włócznie.

– Ale za to zdobyłeś maczetę. No i psa.

– Racja – roześmiał się Tom. Psisko uganiało się radośnie po obozie, jakby nadal podążało szlakiem. Po chwili podbiegło do legowiska Chloe zabezpieczonego siatką. – Jak ona się czuje?

– Lepiej – odparł Shen. – Co prawda nie będzie na siłach, by wyruszyć już jutro. Ale najgorsze minęło, jej stan się poprawił.

– To dobrze.

Po chwili stało się jasne, że rady Joela, by trzymać język za zębami, szybko zostały zapomniane. Tom z uśmiechem przysłuchiwał się Chrisowi, który podnieconym głosem zwracał się do Oscara i Sandeepa:

– To był istny obłęd. Mówię wam, związali mnie i Joela. Wolę nie zastanawiać się nad tym, co chcieli z nami zrobić. No i potem zjawił się Tom, zupełnie jak Vin

Diesel w filmach, i wszystkich ich pozabijał. Serio. Tego faceta, który stał najbliżej nas, rozwalil strzałem z pistoletu sygnałowego. To było... – W tym momencie wszyscy umilkli i przysłuchiwali się już opowieści Chrisa. Chłopak nagle chyba sobie o czymś przypomniał i spojrzał z przestraszeniem na Joela. – Przepraszam.

Joel potrząsnął głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że to bez znaczenia. Wszystkie spojrzenia powędrowały ku Tomowi.

– Naprawdę ich zabiłeś? – spytał Oscar.

Wydawał się zaintrygowany, może wręcz oniemiały. Na twarzach pozostałych odbijała się fascynacja zmieszana z przerażeniem. Tom wyczuwał, że wszystkie te reakcje nie są właściwe. Ale zarazem nie miał pojęcia, jak miałyby wyglądać adekwatna odpowiedź emocjonalna na te wydarzenia. Wiedział tylko, że nie podobają mu się te spojrzenia. Ostatnio zaczęło budzić się w nim poczucie przynależności do grupy, a przynajmniej poczuł się związany z paroma osobami. Teraz natomiast znów zaczynał się czuć jak wyrzutek.

Wyřęczyła go Alice.

– To nie tak wyglądało. Chris znowu wszystko wyolbrzymia.

– Może faktycznie trochę przesadzam – przyznał chłopak, wzruszając ramionami. – Ale pamiętajcie, że to ja przewidziałem, że samolot się rozbije.

To wywołało salwy śmiechu i żartobliwe kpiny. Chris znosił je dzielnie, w nadziei, że w ten sposób zatrze w pamięci kolegów rewelacje, które zdradził przed chwilą. Do pewnego stopnia mu się udało, bo ludzie rozmawiali z nim w tym samym tonie co z Joelem. Tom zauważył jednak, że kilka osób nadal przygląda mu się z zaciekawieniem. Było jasne, że zapewnienia Chrisa, jakoby przesadzał, niezbyt do nich przemówiły.

– Jak stoimy z zapasem jedzenia? – spytał.

Shen skinął głową, jakby spodziewał się tego pytania.

– Potrzebowaliśmy trochę czasu, żeby opracować właściwą technikę. Ale koniec końców Kate udało się złowić trochę ryb. Po południu usmażyliśmy je na ognisku. Kate twierdzi, że jutro złowimy jeszcze więcej.

– Tak będzie – zapewnił George. – Teraz już wiemy, jak się do tego zabrać. Ona

ma niesamowity talent do tych spraw.

– Wiem – przyznał Tom.

– Mamy szczęście, że na tym odcinku rzeki nie polują anakondy i kajmany.

Dzięki temu w wodzie roi się od ryb.

– Skąd wiesz, że ich tu nie ma?

– Nie wiemy tego na pewno, ale spędziliśmy nad rzeką całe popołudnie, a mimo to nie rzucił się na nas żaden dziewięciometrowy wąż ani stwór w rodzaju aligatora

– powiedział ze śmiechem George. – To dobra wiadomość. Ponieważ ryb nie brakuje, będziemy mogli zaoszczędzić jedzenie i zabrać je na tratwy.

– Im wcześniej wypłyniemy, tym lepiej.

– Co tam się wydarzyło? – zainteresował się George.

Kiedy Tom zaczął opowiadać, podeszła do nich Kate.

– W sumie Chris całkiem nieźle to streścił. Dym, który widzieliśmy, pochodził z fabryki kokainy. Mogła należeć do kartelu narkotykowego albo jakichś rebeliantów. Joel wpadł na pomysł, że razem z Chrisem pójdzie do nich i powie, że się zgubili. Alice próbowała ich ostrzec, ale...

– A o co chodzi z tym zabijaniem?

Tom przypomniał sobie młodego strażnika, który nakarmił resztkami z talerza psa. Przypomniał sobie, jak chłopak próbował zgrywać twardziela przed starszymi mężczyznami. Wróciło też do niego wspomnienie tamtego siwego faceta. Z jakiegoś powodu zastanawiał się, czy był ich kucharzem. Nie miał pojęcia, skąd przyszło mu to do głowy. Poza tym nie miało to przecież żadnego znaczenia, bo wszyscy oni byli już martwi.

– To nie wyglądało tak dramatycznie, jak przedstawił to Chris. Wysadziłem w powietrze barak, w którym siedziało pięciu lub sześciu mężczyzn. Pozostali dwaj byli w stodole, w której zamknęli Chrisa i Joela. Jeden z nich praktycznie sam nadział się na włócznię. Drugiego zastrzeliłem z pistoletu sygnałowego.

– O rany.

– Działalem zupełnie instynktownie, w ogóle nie myślałem o tym, co robię – powiedział Tom. – Nie miałem wielkiego wyboru.

George wydawał się teraz tak samo zaintrygowany i zafascynowany jak wcześniej Oscar. W końcu zdołał ubrać emocje w słowa:

– Chyba wszyscy zastanawiamy się teraz, jak każdy z nas zachowałby się w takiej sytuacji. Korci mnie, żeby wyobrazić sobie, że postąpiłbym tak samo jak ty. Ale kto wie?

Toma znowu uderzyła myśl, że inni postrzegają jego zachowanie w tamtym momencie jako odważne czy wręcz bohaterkie. On tymczasem miał zupełnie inne odczucia.

– W sumie to nie wiem nawet, czy ja sam postąpiłbym tak samo drugi raz. W takich sprawach nie może być chyba pewności. Przekonujesz się dopiero, kiedy cała rzecz się dzieje.

George wydawał się usatysfakcjonowany takim postawieniem sprawy.

– Tom, nie – odezwała się Kate. – Uważam, że postąpiłbyś tak samo za każdym razem. Może tego nie wiesz, ale takim właśnie jesteś człowiekiem. – Po chwili z łobuzerskim uśmiechem dodała: – Skoro zrobiłeś to, żeby ratować Joela, chyba jasne, że zrobiłbyś to samo dla każdego.

– Możliwe – zgodził się ostrożnie.

Był jej wdzięczny za tę humorystyczną uwagę. Cieszył się, że nie stracił w jej oczach po tym, co zrobił.

Na tym rozmowa się skończyła. W obozie z wolna powracał spokój. I tylko pies stanowił naprawdę nowy element. Zwierzak wzbudzał ogólną sympatię, wszyscy się nim zachwycali, ale w końcu zawsze wracał do Toma i siadał u jego stóp. Julia nigdy nie zgodziła się na psa. Teraz chłopak się cieszył, że zwierzak jest z nim, bo mimo całego zła, jakie wyrządził w fabryce kokainy, pies stanowił dowód na to, że zrobił też coś dobrego.

## ROZDZIAŁ 42

O świcie zbudziło go powarkiwanie psa. Otworzył oczy i zobaczył pomarańczowe niebo, które zdawało się wisieć nisko nad jego głową. Pies szczeknął i znowu zaczął warczeć. Tom usłyszał, jak jedna z dziewczyn pyta zaspanym głosem:

– Na co on szczeka?

W wyobraźni Tom ujrzał mężczyzn z obozu i momentalnie zerwał się na równe nogi. Okazało się jednak, że pies zwrócony jest do rzeki. Warcząc, podbiegał do wody, a po chwili się wycofywał. Tom stał, przecierając oczy, podczas gdy inni również się podnosili.

W pierwszej chwili pomyślał, że psiak wypatrzył w wodzie jakiegoś drapieżnika – kajmana albo anakondę. Kiedy jednak się zbliżył, nic takiego tam nie dostrzegł. Odniósł wrażenie, że pies skupia się na drugim brzegu. Tom wyteżał wzrok, ale również tam niczego nie widział.

Podrapał zwierzę po łbie. Piesek na chwilę się uspokoił, ale zaraz potem znów poderwał się i szczeknął.

Kate podeszła do niego i spytała:

– Na co on szczeka?

– Nie wiem. Czegoś się wystraszył. Może jaguara albo innego drapieżnika.

– Wolę mieć do czynienia z wystraszonym psem niż z jaguarem.

Nieoczekiwanie z drugiej strony ogniska dobiegł głos Chloe:

– Czy to szczekanie psa?

Spojrzeli w tamtym kierunku i ją zobaczyli. Dziewczyna siedziała na legowisku pod moskitierą. Kilka osób ruszyło do niej, a Tom odwrócił się z powrotem do rzeki. Pies już się uspokoił. Sprawiał wrażenie odprężonego. Tom nie odrywał jednak spojrzenia od przeciwnego brzegu, zachodząc w głowę, co też psiak mógł

tam wyczuć.

Z rozmyślań wyrwał go głos Joela, który właśnie wygłaszał pogadankę motywacyjną:

– No dobra, słuchajcie wszyscy, dzisiaj jeszcze odpoczywamy, a jutro przeprawimy się na drugą stronę tego wzgórza i zwozujemy tratwy.

Tom uśmiechnął się do siebie na myśl, że Joel najwyraźniej nadal próbuje zgrywać tego, któremu wszyscy będą zawdzięczać ocalenie. Zachowywał się tak, jakby wymazał już z pamięci wydarzenia poprzedniego dnia. Tom pomyślał, że może faktycznie tak było.

Zazdrościł mu tej umiejętności. Joel wykazał się głupotą, przez co mało brakowało, a on i Chris zapłaciliby słońną cenę. Koniec końców jednak wyszedł z tej przygody praktycznie bez szwanku. Trauma, jakiej nabawił się w niewoli, z czasem minie. Wydarzenia poprzedniego dnia staną się powodem do przechwałek i materiałem na opowieść o ucieczce z dżungli.

Jak zawsze prawdziwą cenę za głupotę Joela mieli ponieść inni. Między innymi Tom, który miał na sumieniu życie kilku osób. Ich twarze wryły mu się głęboko w pamięć. Miał nieprzyjemne wrażenie, że nigdy nie zdoła ich zapomnieć – dwóch mężczyzn ze stodoły, siwego starca i młodego strażnika.

Tom odwrócił się twarzą do obozu. Wokół ogniska zebrała się już cała grupa. Chloe zdołała wstać i teraz, podtrzymywana przez Barneya i Milę, szła niepewnie w stronę ognia. Wyglądała znacznie lepiej, jednak Shen miał chyba rację, gdy stwierdził, że nie jest jeszcze gotowa do trudów dalszej podróży.

Wszyscy znowu dużo mówili. Wydawali się zgrani i blisko ze sobą związani, jak tuż po wypadku. Przyglądając się tym ludziom z oddalenia, z psem leżącym u stóp, Tom poczuł znów, że nic go z nimi nie łączy.

W tej samej chwili uświadomił sobie, że ktoś mu się przygląda. Była to Alice. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, dziewczyna uśmiechnęła się, a nawet roześmiała cicho, jakby widok Toma trzymającego się znów na uboczu ją ubawił. Tom też się uśmiechnął i przyszło mu do głowy, że może epoka bycia outsiderem dobiegła już dla niego końca. W końcu nawiązał znajomości, może nawet stał się częścią

większej ludzkiej układanki.

Jakby na potwierdzenie jego domysłów, w tym momencie podeszła do niego Kate.

– Ja i George będziemy łowić ryby, ale potrzebujemy kilku osób, które stanęłyby na czujce – powiedziała. – Łowienie wymaga koncentracji, dlatego ktoś inny powinien zająć się wypatrywaniem drapieżników.

– Chętnie się tym zajmę.

– Tak myślałam – przyznała. Popatrzyła na rzekę i dodała: – Mam nadzieję, że nałapiemy ich naprawdę sporo. Wieczorem wszyscy powinni mieć ryb po dziurki w nosie.

– Gdzie łowiliście wczoraj?

– Pokażę ci.

Tom znów dołączył do grupy i reszta dnia upłynęła stosunkowo normalnie. Kate i George dowiedli, że znają się na łowieniu ryb. Podzielili się rolami – jedna osoba płoszyła ryby i pędziła je ku siatce trzymanej przez drugą.

Większość osób śledziła z brzegu ich postępy. Z każdą schwytaną rybą nastroje wyraźnie się poprawiały. I tylko Chris wydawał się dziwnie markotny. Większość dnia spędził na rozmowach z Chloe. Ich głosy ginęły w ogólnej wrzawie, dodatkowo zagłuszane radosnym poszczekiwaniami psa.

Późnym popołudniem, kiedy słońce miało się już skryć za mętną pomarańczową mgłą, Shen nadział ryby na patyk i zaczął piec je na ogniu. Pies razem z ludźmi przypatrywał się uważnie jego poczynaniom, licząc, że nie ominą go resztki. Wtem, nieoczekiwanie, zjeżył się i odwrócił do rzeki.

Warknął i zrobił ostrożny krok do przodu. Tom wstał i skierował spojrzenie w tamtą stronę. Pies najwyraźniej uznał, że to znak, i skoczył ku rzece, ujadając agresywnie.

Gwar szybko ucichł.

– Tom, co to może być? – spytał Chris.

Tom potrząsnął tylko głową. Pies dalej warczał, nie odrywając wzroku od zarośli porastających przeciwny brzeg. Tom podniósł z ziemi kamień i rzucił, celując

w miejsce, w które wpatrywało się zwierzę. Kiedy kamień wylądował w krzakach, coś się tam poruszyło, odskoczyło z błyskiem koloru i pobiegło w głąb dżungli.

– Widziałeś coś?

– Sam nie wiem – odparł Tom. – To mógł być duży kot.

Chloe odezwała się, nie zwracając się chyba do nikogo w szczególności:

– Dobrze mieć psa.

Zwierzak odwrócił się od rzeki i wrócił do ognia, żeby obserwować rybę. Tom uznał, że to najlepszy dowód, iż przepłoszył to coś, co czaiło się w zaroślach. Usiadł przy ogniu, ale instynkt podpowiadał mu, że nadeszła pora, by ruszać dalej. Tajemniczy stwór obserwujący obozowisko z drugiego brzegu rzeki stanowił kolejne przypomnienie, że nadal przebywali w obcym dla siebie środowisku. I że nie powinno ich tu być.

Zmrok zapadł, kiedy skupieni byli na jedzeniu. Praktycznie nie zarejestrowali momentu, gdy zrobiło się ciemno. Przywykli już do dziwnego przyćmionego oświetlenia, a posiłek i ogień zaprzętały całą ich uwagę.

Po pewnym czasie Mila powiedziała:

– Cieszę się, że jest ciemno. To pomarańczowe niebo mnie przeraża.

– Mnie też – odparła Emma, po czym zwróciła się do pozostałych: – Myślicie, że doszło do jakiejś wielkiej katastrofy? Ci ludzie, których widzieliście w tamtym obozowisku, zachowywali się normalnie?

– Raczej tak – odparła Alice. – Ale uprzedzam, że wcześniej nie spędziłam zbyt wiele czasu w towarzystwie producentów kokainy, więc mogę się mylić.

Odpowiedziały jej śmiechy, jednak Emma powiedziała poważnym tonem:

– To niebo wydaje mi się jakieś dziwne.

Tym razem nikt się nie roześmiał. A chwilę potem w oddali rozległ się grzmot. Nastroje stawały się ponure. Osobliwie podświetlone niebo, groźba nadciągających burz – wszystko to przypominało, że nadal znajdują się w nieznannej krainie. I że nie wiedzą, jak daleko jest stąd do cywilizacji.

W przeciągu godziny ludzie zaczęli szukać sobie miejsca do snu. Joel uparł się, że będzie jako pierwszy trzymał straż. Tom dzięki temu mógł wreszcie pospać.



Wysiłki zeszłego dnia i nocy nadal dawały mu się we znaki. Kiedy zapadał w sen, w oddali nadal słyszał grzmoty. Zdawały się stać w miejscu, niczym zgiełk toczony gdzieś daleko bitwy.

## ROZDZIAŁ 43

O budził się i momentalnie nakierował zegarek do ognia, by móc odczytać godzinę – minęła dopiero czwarta nad ranem, a więc do wschodu słońca mieli jeszcze kilka godzin. W pierwszej chwili pomyślał, że wszyscy nadal śpią. Zauważył jednak Shena – chłopak siedział nieopodal na plecaku i wpatrywał się ze zdziwieniem w niebo.

Tom zrozumiał, co się dzieje, gdy ciemność nagle rozbłysła. Otaczająca ich dżungla na ułamek sekundy wyłoniła się z mroku, by zaraz ponownie się w niego zapaść. Tom czekał na grzmot po błyskawicy, jednak na próżno.

Usiadł i popatrzył na Shena.

– To trwa od godziny. Wałą błyskawice, ale nie słychać gromów. Niebo pełne jest burzowych chmur, a rzeka wydaje się głośniejsza.

Dopiero teraz Tom zwrócił uwagę na rzekę, która faktycznie wydawała się bardziej wzburzona.

– Tylko głośniejsza czy może poziom wody też się podniósł?

– Nie sprawdzałem. Nie przyszło mi to do głowy – przyznał Shen. Sięgnął po latarkę i ruszył ku brzegowi. Tom poszedł za nim. Snop światła latarki wyłowił z ciemności wzburzoną powierzchnię wody. Shen wydawał się zaniepokojony. – Na wzgórzach musiało spaść sporo deszczu.

Kierując latarkę ku wodzie, przeszedł wzdłuż brzegu ku krańcowi plaży znajdującemu się najbliżej przełomu rzeki. Tom znowu podążył jego śladem. Tutaj woda zaczynała już niewielkimi falami lizać brzeg. Tom pomyślał o rzeźbie terenu, przez jaki wędrowali – o kształcie tej plaży i jaru. Wyobraźnia podsunęła mu obraz sił, które nadały im takie, a nie inne ukształtowanie.

– Wiedziałem, że źle robimy – mruknął Shen.

Chodziło mu o pomysł, by rozbić obóz nad samą rzeką. Inna sprawa, że gdyby

wyruszyli poprzedniego dnia, wówczas rozbicie się tutaj wcale nie okazałoby się błędem. Plaża zapisałaby się w ich pamięci jako sielska oaza, w której odpoczywali i łowili ryby.

– Musimy opuścić plażę – powiedział Tom. – Zaczynaj budzić ludzi.

Słyszał, jak Shen podchodzi do ognia i mówi:

– Pobudka, musimy jak najszybciej zejść z tej plaży. – Odpowiedziały mu jęki i narzekania. Parę osób poruszyło się na legowiskach. Zaczęli dopytywać, co się dzieje. – U nas jeszcze nie pada, ale leje na wzgórzach. Chciałbym się mylić, ale wydaje mi się, że tej plaży grozi zalanie.

Teraz już nikt nie spał. Ciemność przecięły snopy latarek, które zaczęły skakać po całym obozie. Ludzie biegali na wszystkie strony, a pies zaczął hasać między nimi uradowany. Szybko odnalazł Toma, który podrapał go po łbie, nie przestając wyteżać słuchu. Nie potrafił uwolnić się od niepokoju.

Dobiegł go głos Joela:

– Shen, chłopie, jesteś pewien?

Zaraz potem noc znów na sekundę stała się dniem – błysk ukazał plażę i kilka miejsc, w których woda występowała już z brzegów. Tom ujrzał całe obozowisko, uchwycone w tym rozbłysku niczym żywy obraz – gmatwaninę ludzkich ciał i plecaków, chaotyczny ruch.

W następnej chwili ponad gadaniną, szumem wody za jego plecami, ponad hałasem dżungli rozległ się dźwięk do złudzenia przypominający warkot silnika przelatującego w oddali samolotu. Przez głowę Toma przemknęła myśl, czy ich samolot też tak brzmiał, gdy pikował ku dżungli. Zaraz jednak przyszło otrzeźwienie – to nie żaden silnik. Dźwięk, który słyszał, zbliżał się z każdą chwilą. I nagle w ułamku sekundy zwała się na niego straszna prawda.

– Wszyscy uciekać! I to już!

Pies szczeknął, gdy Tom puścił się przed siebie biegiem. Porwał z ziemi swój plecak i w tę samą rękę chwycił maczetę. Drugą złapał uchwyt pojemnika z tratwą i zaczął ją wlec po kamienistym brzegu. Na wzgórzach szalała już ulewa, a ku nim nadciągała ściana wody spływającej z góry.

Pośpiech, z jakim się teraz poruszał, okazał się zaraźliwy. Wszystkie latarki skierowały się w tę samą stronę, ludzie zaczęli wdrapywać się na podwyższenie terenu ponad plażą.

W pewnym momencie Tom usłyszał syk ognia. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że woda zalała już ognisko, pogrążając obóz w ciemnościach.

Wtem rozległ się krzyk którejś z dziewczyn:

– Barney, nie!

Kiedy chłopak odkrzyknął, jego głos zdawał się dobiegać z dołu:

– Nic mi nie jest!

W kolejnym rozbłysku z nieba Tom zobaczył Barneya na plaży. Oddalał się od nich biegiem, woda sięgała mu już do łydek. Błyskawica rozjaśniła świat tylko na ułamek sekundy, jednak to wystarczyło, by Tom zorientował się, co planuje Barney. Biegł do drugiego pojemnika z tratwą. Tom momentalnie zrozumiał, że Barney ma rację – potrzebowali ich obu.

Rzucił plecak i maczetę na ziemię, po czym wskoczył do płytkiej wody. Światła latarek wycelowane były teraz w plażę, dzięki czemu Tom widział, że George również wracał. Wszyscy trzej w tym samym momencie dobiegli do tratwy i zaczęli wciągać ją wyżej.

Nadeszła kolejna fala i nagle poziom wody sięgnął Tomowi do kolan, utrudniając ruchy. Kątem oka dostrzegł, że Barney się potyka. Zanim zdążył zareagować, George chwycił Barneya i uratował przed upadkiem.

Parli przed siebie, jednak poruszali się pod prąd. A ryk w górnym biegu strumienia podpowiadał im, że najgorsze dopiero przed nimi. Krzyki dobiegające z brzegu wydawały się teraz przytłumione i odległe, mimo że znajdowali się zaledwie kilka metrów od reszty grupy.

Kiedy nadpłynęła następna fala, woda zaczęła pulsować i wciągać go z taką siłą, że mógł tylko wbić się stopami w dno i liczyć na to, że utrzyma się na nogach. Oczekali, aż napór prądu osłabnie, a wtedy natarli znowu i tym razem zdołali dotrzeć do brzegu. Światła latarek zatańczyły znów w ciemnościach, gdy wyciągnęły się do nich ręce i po kolei wszyscy trzej zostali wciągnięci na

podwyższenie terenu.

Nie zdążyli złapać porządnie tchu, gdy ryk wody się wzmógł. Latarki znów skierowały się na rzekę, a po chwili ich oczom ukazało się coś przywodzącego na myśl gigantyczną falę oceaniczną, która spłynęła z góry i przetoczyła się przez plażę. Woda rozbiła się o brzegi, wyrzucając w powietrze fontanny piany. Z wrażenia wszyscy mimowolnie cofnęli się o krok.

Kiedy kolejna błyskawica rozcięła niebo, zobaczyli, że miejsce, w którym obozowali jeszcze parę chwil temu, teraz ze wszystkich stron otacza już woda.

– Barney, to była szaleńcza akcja – odezwał się Joel. – Odważna, muszę ci to przyznać. Ale mało brakowało, a mogliśmy cię stracić.

– Potrzebujemy tej tratwy – odparł chłopak.

– No jasne – przyznał George. – Barney, masz świetny refleks. Gdyby nie ty, wpakowalibyśmy się w niezłe tarapaty.

– Dzięki.

– Jeden zero dla was – mruknął Joel dziwnie nadąsanym tonem. Po chwili zwrócił się do reszty: – Nikomu nic się nie stało? – A kiedy odpowiedział mu chór przygnębionych głosów, spytał: – Czy ktoś wie, która może być godzina?

– Parę minut po czwartej – odezwał się Tom.

– W porządku. Pokonanie tego wzgórza zajmie nam mniej więcej godzinę. Proponuję, żebyśmy poszukali tego urwiska, na którym wczoraj staliśmy.

– Chcesz iść tam po ciemku? – spytała któraś z dziewczyn. Chloe albo Mila, Tom nie miał pewności.

– Droga do skarpy nie powinna nastęczać problemów – wyjaśnił Joel. – Przetarliśmy już szlak wczoraj, jest dość szeroki. Poza tym mamy latarki. Tam zaczekamy, aż się rozwidni. Stamtąd do rzeki nie będziemy już mieć daleko.

Nikt mu nie odpowiedział, bo wszyscy uznali chyba, że i tak nie zdołają odwieść Joela od tego planu. Tom, ku własnemu zdziwieniu, tym razem skłonny był zgodzić się z tym pomysłem. Droga nad urwisko faktycznie wydawała się niezbyt wymagająca i pokonali ją już raz w ciemnościach. Poza tym Tom uznał, że lepiej, by byli w ruchu, niż mieliby czekać tu na wschód słońca.

Kiedy wszyscy przygotowani już byli do drogi, głos zabrała Alice:

– Ciekawe, jak wygląda rzeka po drugiej stronie.

– Myślę, że rzeka wylewa na tym odcinku, ponieważ przesmyk jest tu dość wąski – stwierdził Shen. – Jeżeli z drugiej strony będzie płynęła szerzej, nie wystąpi tak łatwo z brzegów. Poza tym silniejszy nurt może okazać się dla nas pomocny.

– Tak czy inaczej, będziemy musieli zaryzykować – wtrącił się Joel. – Ta rzeka to nasza jedyna szansa na wydostanie się z tego miejsca. To było jasne od samego początku.

Tom uśmiechnął się do siebie. Żałował, że nie widzi w tej chwili wyrazu twarzy Alice i Shena. Joel nie tylko zachowywał się tak, jakby ucieczka na tratwach od początku była jego pomysłem, ale teraz dodatkowo ignorował inną, dość oczywistą drogę, jaką mogliby wybrać. Nie ulegało wątpliwości, że przemytnicy kokainy musieli się skierować ze swoim towarem w konkretne miejsce. Mogło to być tylko małe lądowisko w samym sercu dżungli, jednak powinni rozważyć udanie się właśnie w tamtym kierunku, gdyby spływ rzeką okazał się niemożliwy.

Tom pomyślał, że niedługo się to rozstrzygnie. Wyruszyli po krótkich przygotowaniach. Szli w ciemnościach gęstego, pod górę i w kierunku urwiska. Mniej więcej raz na pięć minut dżunglę rozświetlała błyskawica, rozsiewając wokół cienie o dziwacznych kształtach. Po każdym z błysków w kolumnie rozlegały się komentarze dotyczące nieodmiennie braku deszczu i gromu.

Kiedy stanęli nad urwiskiem, do świtu pozostało zaledwie pół godziny. Pogoda wreszcie się zmieniła i z nieba lunął deszcz. Ludzie zakrzętnęli się, szukając w plecakach odzieży wodoodpornej najpierw dla siebie, a potem również zapasowych sztuk, które mogliby założyć Joel i Chris.

Kiedy wstał świt, niebo pozbyło się wreszcie tego pomarańczowego odcienia. Widok, jaki rozpościerał się z urwiska, podzialał jednak na nich przygnębiająco. Dżungla zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Był to jednorodny ocean skąpanej w deszczu soczystej zieleni, w której jedyną odmianę stanowiła brązowa nitka mulistej rzeki ciągnąca się po prawej stronie.

Niezależnie od tego, jakie uczucia widok ten budził w jego towarzyszach, Tom poczuł dreszcz emocji i lekki zastrzyk adrenaliny – chciał jak najszybciej ruszyć przed siebie i przekonać się, co znajdą na dole. Miał wrażenie, jakby od momentu, w którym zaplanował tę wyprawę, upłynęło już wiele dni. Nadszedł moment, gdy plan miał zostać poddany ostatecznemu sprawdzianowi.

Wiedział, że jeśli im się powiedzie, Joel przypisze sobie zasługi za ich powodzenie. Tom nie miał nic przeciwko temu. Jeśli jednak poniosą porażkę, część grupy właśnie jemu przypisze całą winę.

## ROZDZIAŁ 44

Ostatni odcinek pokonali w strugach ulewnego deszczu. Znad poszycia dżungli, na które nieustannie lała się woda, wznosiły się kłęby pary. Woda zbierała się w małe strumyki, tak że po pewnym czasie mieli wrażenie, iż rzeka wybiega im na spotkanie.

Brzeg był tu dość wysoki, przez co zobaczyli ją dopiero, gdy znaleźli się bardzo blisko. Nim ktokolwiek zdążył się odezwać, pies szczeknął wściekle i puścił się w dół brzegu. Patrzyli zdumieni, jak powierzchnia wody burzy się, a po chwili zarysowuje się pod nią charakterystyczna sylwetka kajmana.

Tom wodził wzrokiem po mętnej tafli, zastanawiając się, czy drapieźnik powróci.

– To jeden z mniej okazałych gatunków – powiedział Shen. – To dobry znak. Powinniśmy się obawiać kajmanów czarnych. Gdyby jednak w tych wodach grasował kajman czarny, pożarłby już tego mniejszego.

Joel stanął na brzegu i rzucił Tomowi krótkie spojrzenie. Było ono ewidentnie niechętne, lecz Tom nie potrafił domyślić się, co właściwie mogło oznaczać. Fakt, że Tom uratował Joelowi życie w fabryce kokainy, bynajmniej nie sprawił, że Joel go polubił. Wręcz przeciwnie, chłopak zachowywał się, jakby czuł się urażony.

– Myślisz, że możemy bezpiecznie zwodować tratwy? – spytał, zwracając się do Shena.

Wszyscy spoglądali ku rzece, gdzie pies biegał wzdłuż brzegu, wyraźnie zaniepokojony zniknięciem kajmana.

– Nic nie atakuje psa. Nurt jest tu bystry, jednak nie na tyle, by mógł zagrozić tratwom. Rzeka jest też dość szeroka do żeglugi, choć będziemy musieli trzymać się środka, żeby nie ugrzęznąć na mieliźnie przy brzegach. Teraz przydadzą się nam wiosła Barneya. – Nie doczekawszy się odpowiedzi, Shen popatrzył na Joela



i dodał: – Tak, biorąc to wszystko pod uwagę, uważam, że możemy zwodować tratwy.

– Super. No to może ty i Barney zajmiecie się ich napompowaniem? – Zerknąwszy jeszcze raz na Toma, Joel odwrócił się do grupy. – Chris, Nick, Sandeep, Oscar, pomożecie Shenowi i Barneyowi przy tratwach. Pozostali niech sprawdzą w plecakach, czy nie mają tam sprzętu, który mogliby zostawić na brzegu.

Shen zrobił zdziwioną minę.

– Tratwy są dość duże. Starczy miejsca.

– Mimo to niech wszyscy sprawdzą zawartość plecaków.

Ludzie zaczęli się ruszać, jednak można było odnieść wrażenie, że z wyjątkiem Shena i Barneya nikt za bardzo nie wie, co właściwie ma robić.

Alice podeszła do Toma.

– Zauważyłam, że nie poprosił żadnej dziewczyny do pomocy przy tratwach.

– Mnie zresztą też nie – odparł Tom.

– Pewnie z tego samego powodu. Boi się ciebie i boi się dziewczyn.

Roześmieli się oboje i patrzyli na pierwsze rozłożenie żółtych, ośmiobocznych tratw. Były na tyle duże, że trzeba je było przenieść na samą krawędź brzegu, więc dotykały już wody. Kiedy wszyscy ocenili ich wielkość, Tom zauważył, że kilka osób podnosi wyrzucone wcześniej rzeczy i wkłada je z powrotem do plecaków.

Kiedy tratwy zostały już napompowane, Joel wyliczył:

– Ze mną popłyną Chris, Nick, Chloe, Mila, Oscar, Lara...

– Myślałam, że będę płynąć razem z Alice – weszła mu w słowo wyraźnie zasmucona ta ostatnia.

Odpowiedzi Joela nie powstydzilby się żaden belfer:

– I tak wszyscy płyniemy razem, więc nie ma znaczenia, na której tratwie. Sandeep nie narzeka, mimo że też płynie w innej. Chodzi po prostu o to, żebyśmy się podzielili na dwie grupy. Nie będziemy się teraz zamartwiać dodatkowo tym, kto się z kim przyjaźni.

Alice i Tom spojrzeli po sobie. Kłamstwo wyzierające ze słów Joela było dość

oczywiste – wbrew temu, co mówił, zatroszczył się o to, żeby wszyscy jego kumple znaleźli się w tej samej tratwie, co on. Wszyscy z wyjątkiem jednego.

Mimo zapewnień Joela Sandeep wydawał się rozgoryczony faktem, że przydzielono go do tratwy Toma. Tomowi decyzja ta również wydawała się dziwna, ponieważ zawsze myślał, że Sandeep przyjaźni się z Joelem. Ojciec Sandeepa zawodowo grał w golfa, a chłopak również miał już na swoim koncie kilka amatorskich pucharów. Tom wiedział o tym, bo raz podsłuchał w szkole, jak ktoś tłumaczył, dlaczego Sandeep ubiera się zawsze w stylu, o który można by raczej posądzać mężczyznę w średnim wieku.

Może zatem Tom zasugerował się faktem kariery golfowej Sandeepa i automatycznie powiązał go z Joelem, a obaj chłopcy w rzeczywistości wcale nie byli tak bliskimi przyjaciółmi. W gruncie rzeczy podział załóg zaproponowany przez Joela mu odpowiadał. Z niewielkimi wyjątkami wybrałby na swoją tratwę tę samą grupę, zwłaszcza że z wyjątkiem Lary mieli na niej popłynąć ci sami ludzie, którzy sami zadeklarowali wcześniej, że chcą razem z nim podjąć ucieczkę z dżungli.

– No dobra, ruszajmy. Załoga z mojej tratwy za mną...

Joel skierował się na brzeg, wyrzucając z siebie kolejne polecenia. Sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać momentu, gdy znajdzie się na wodzie. Tom zastanawiał się, co za tym stało – czyżby Joelowi tak się spieszyło, bo chciał, żeby jego tratwa popłynęła przodem? Kilka minut później tratwa Joela wraz z załogą znalazła się na wodzie. Prąd natychmiast zaczął ich ściągać. Reszta grupy przyglądała im się z brzegu.

– Trzymajcie się środka rzeki – zawołał Shen.

Joel machnął ręką, choć trudno było powiedzieć, czy usłyszał wołanie Shena. A w następnej chwili tratwa zniknęła im z oczu.

Postali jeszcze przez sekundę.

– W porządku, popłynęli sobie – odezwał się George. – No to teraz możemy wrócić do samolotu i czekać, aż przybędzie pomoc.

Śmiejąc się, zaczęli pakować bagaże na tratwę. Następnie przenieśli ją na wodę

i po kolei wgramolili się do środka. Ich grupa pracowała w skupieniu. Niewiele mówiono, nie padały żadne polecenia i nikt nie próbował zgrywać przywódcy. Mimo to zdołali zwodować tratwę w czasie równie krótkim jak ekipa Joela, co w oczach Toma było potwierdzeniem tego, że jego metoda przynosi skutki.

Psiak nerwowo biegał wzdłuż brzegu tam i z powrotem. Jednak gdy tylko Tom wdrapał się na tratwę, zwierzak dał susa i wylądował na środku. Stracił równowagę i przez chwilę zataczał się jak pijany, co wywołało dalsze salwy śmiechu. Po chwili George odepchnął tratwę od brzegu i jednym płynnym ruchem wskoczył do środka. Sandeep i Barney zaczęli wiosłować i łódź szybko wypłynęła na środek kanału.

Tratwa okazała się solidniejsza, niż Tom zakładał. Burty sięgały wysoko. Prawdopodobnie zaprojektowano ją z myślą o awaryjnym lądowaniu w oceanie, a nie żegludze rzecznej. Z początku obawiał się, że trudności przysporzy im jej nietypowy ośmioboczny kształt. Oczami wyobraźni widział, jak prąd sprawia, że tratwa zaczyna wirować niczym korek. Nurt okazał się jednak na tyle silny, że Sandeep i Barney mogli przy pomocy wiosł bez trudu utrzymać łódź na środku koryta.

Nieco dalej rzeka zakręcała łagodnie. Pierwsza tratwa zdążyła zniknąć za zakrętem, nim Tom i reszta odbili od brzegu. Jednak kiedy zbliżyli się do tego miejsca, usłyszeli głosy i śmiechy. A gdy pokonali zakręt, Barney zaczął wściekle wiosłować.

Wkrótce okazało się dlaczego. Tratwa Joela zahaczyła się o gałąź albo korzeń, który łukowato wystawał ponad wodę. Barney i Sandeep musieli wykazać się refleksem, żeby uniknąć zderzenia z nimi. Chris i Oscar trudzili się nad uwolnieniem tratwy od nieprzewidzianej przeszkody.

– Jakież uszkodzenia? – zawołał Shen.

– Wszystko gra – odparł Joel. – Wyprzedzimy was przy następnym zakręcie.

Kate odwróciła się do reszty załogi.

– Dobrze zrozumiałam? – spytała z niedowierzaniem. – Jemu się wydaje, że to jakiś wyścig?

– Raczej nie miał tego na myśli – stwierdził Shen. Popatrzył na rzekę. Jej gładka

powierzchnia wydawała się niewinna, lecz toń mogła kryć w sobie mnóstwo niebezpieczeństw. – Przynajmniej taką mam nadzieję.

Sandeep obejrzał się do tyłu.

– Może powinniśmy na nich zaczekać?

W odpowiedzi usłyszał chóralne:

– Nie!

Chłopak roześmiał się i skupił ponownie na wiosłowaniu, tak by utrzymać łódź na środku rzeki.

Wkrótce odkryli, że w przeważającej mierze rzeka składa się z długich, prostych odcinków, miejscami tylko poprzecinanych krętymi płyciznami. Zakręty były jednak na tyle częste, że w ciągu następnej godziny ani razu nie widzieli tratwy Joela. Domyślali się, że płynie stosunkowo blisko za nimi, lecz nie słyszeli dobiegających z niej głosów.

Deszcz ustał i zrobiło się jeszcze bardziej parno. Ludzie ściągnęli odzież wodoodporną i rzucili ją na dno tratwy.

Z każdą chwilą wokół nich zbierały się coraz gęstsze chmury much i innych owadów. Płynęli teraz przez gęstą dżunglę. Z obu brzegów docierało nieprzerwane buczenie i brzęczenie, jednak na wodzie panował osobliwy spokój.

Wkrótce pies oswoił się z nowym dla siebie otoczeniem – nauczył się utrzymywać równowagę i poruszać po dnie tratwy. Zdawał się zafascynowany brzegami rzeki, jakby potrafił przejrzeć na wylot ścianę bujnej ciemnej zieleni i dostrzec kryjące się za nią sekrety. Od czasu do czasu zdarzało mu się szczeknąć z nosem zwróconym w jakiś konkretny punkt na brzegu. Ludzie kierowali wtedy spojrzenia w tamtą stronę i snuli domysły, co też pies mógł tam zobaczyć.

Po pewnym czasie zachmurzenie ustąpiło i na niebie ukazały się pierwsze przebłyski błękitu. A chwilę potem, zupełnie nieoczekiwanie, wszystkie chmury znikły bez śladu i zrobiło się niemożliwie gorąco. Upał był tak dojmujący, jakby znajdował się w nich samych, jakby był ich częścią. Stali się teraz głusi na odgłosy dżungli, płynęli w ciszy, a ilekroć ktoś się odezwał, reszta podskakiwała ze strachu.

Kilka godzin później Shen rozdzielił trochę picia i jedzenia. Zostały im tylko

zimne przekąski – orzechy i ciastka – lecz i tak rzucili się na nie jak na ucztę. Tom otworzył swoją paczkę ciastek, jedno zjadł, a drugie dał psu. Również Alice podzieliła się jedzeniem z psiakiem, a za ich przykładem poszło też parę innych osób.

Zwierzak krążył teraz od człowieka do człowieka, z komicznie wdzięcznym wzrokiem.

– Ten to przynajmniej nie umrze z głodu – zażartował Tom.

Usłyszeli śmiech, jednak tym razem nie dobiegał z ich tratwy, lecz z górnego odcinka rzeki. Był to pierwszy sygnał wskazujący na to, że druga tratwa za nimi płynie. Śmiech był radosny i zapewne, jak domyślał się Tom, wywołany jakimś dowcipem Chrisa.

– Ulżyło mi – powiedziała Alice.

Jess kiwnęła głową.

– Zaczynałam się trochę niepokoić, co się z nimi dzieje.

Sandeep odwrócił się do nich na chwilę.

– Joel nie jest głupi. Wiem, że potrafi być dupkiem, ale kiedy pozna się go bliżej, nie jest taki zły. Ma strasznie trudnego ojca, który jest z niego wiecznie niezadowolony. I dlatego Joel bez przerwy stara się coś udowodnić.

Tom poczuł nieznaczny przypływ sympatii do Joela. Jednak Kate nie była chyba przekonana.

– Tak, słyszałam o tym. W innych okolicznościach może bym mu współczuła, ale tutaj stawką jest nasze życie.

– On to rozumie – nie rezygnował Sandeep. – Stara się o wszystkich zatroszczyć. Kate zaśmiała się gorzko.

– Tak jak zatroszczył się o Naomi i Freddiego? – Gdy tylko wypowiedziała te słowa, nagle zbladła. Odwróciła się do Jess i powiedziała szybko: – Jess, przepraszam, nie chciałam...

– Nie szkodzi – zapewniła dziewczyna spokojnym głosem. Ten spokój wydał się Tomowi zwodniczy, zdawał się sugerować, jak daleka droga jeszcze ją czeka. Po chwili, ku ogólnemu zaskoczeniu, Jess powiedziała: – Freddie mógł przestać

pracować, kiedy źle się poczuł. Joel bez przerwy mówił nam, co mamy robić, ale przecież nikt nie musiał go słuchać. Powinniśmy byli zachowywać się tak jak Tom.

Ku jego zawstydzeniu wszyscy pokiwali głowami. Tom wiedział jednak, że to nieprawda. Niektórym może faktycznie wyszłoby na dobre, gdyby bardziej go przypominali, ale jedyną osobą, o której nie mógł tego powiedzieć, był on sam.

– Nie, uważam, że niektórzy z nas powinni być jak Joel. Rozpaczliwie pragnął być przywódcą, a my mu na to pozwoliliśmy. Teoretycznie mogłem samemu wejść w tę rolę, ale tego nie zrobiłem. To samo dotyczy Alice, Shena, George’a, nas wszystkich. Popełnił tak dużo błędów, ponieważ nikt z nas nie odważył się wziąć na siebie tej odpowiedzialności.

– Dla triumfu głupoty potrzeba jedynie, żeby bystrzy ludzie milczeli – wyrecytował Barney.

– Bardzo celne – pochwaliła Kate po chwili zastanowienia. – Czyje to słowa?

– Moje – wyjaśnił Barney. – To parafraza wypowiedzi Edmunda Burke’a.

Kate przez chwilę nie mogła oderwać od niego wzroku. Była kolejną osobą, która ujrzała Barneya na nowo.

– Może zmienię cię przy wiosle? Machasz nim od dawna – zaproponowała.

– Dobra.

– Ja też chętnie powiosłuję – wtrąciła się Emma i wzięła wiosło od Sandeepa.

Przez kolejne pół godziny dziewczyny zajmowały się wiosłowaniem, a pies stał między nimi z pyskiem zwróconym w przód. Na rzece znów panowała cisza i nawet na długich, prostych odcinkach, kiedy oglądał się do tyłu, Tom nie widział ani śladu drugiej tratwy.

W końcu wpłynęli na odcinek, na którym cisza wydawała się wręcz niepokojąca. Wszyscy zaczęli się rozglądać wkoło, jakby spodziewali się podświadomie, że zobaczą, jak coś albo ktoś obserwuje ich z porośniętego bujną roślinnością brzegu.

I właśnie wtedy zaczął szczekać pies.

## ROZDZIAŁ 45

Pies stał zwrócony mordą do przodu łodzi, z opuszczonym łbem i ogonem. Z jego pyska dobywał się teraz nieprzerwany niski warkot, przywodzący na myśl hałas wydawany przez silnik zaburtowy. Ludzie popatrzyli po sobie ze zdziwieniem, nigdzie bowiem nie dostrzegali żadnego zagrożenia. Nikomu nie było jednak do żartów.

Wtem tratwa eksplodowała.

Tom wyleciał w powietrze, a po chwili wpadł do rzeki. Woda wdarła mu się do nosa, do uszu. Przemoczone ubrania oblepiły jego ciało i zaczęły ciążyć.

Wynurzył się i ze zdumieniem stwierdził, że łódź jest nienaruszona. Było to o tyle zaskakujące, że wstrząs, który poczuł chwilę wcześniej, był naprawdę potężny. Ludzie na pokładzie coś krzyczeli. A kiedy rozejrzał się szybko wkoło, dostrzegł dwie inne głowy unoszące się na powierzchni wody – Emmę i Sandeepa. Po chwili wypatrzył też psa oraz plecak.

Emma spróbowała schwycić plecak i razem z nim dopłynąć do tratwy.

– Zostaw go! Plecak jest nieważny – krzyczała za nią Kate.

Ale Emma i tak złapała plecak, może dlatego, że nie słyszała Kate. Wszyscy wyrzucali teraz z siebie potoki słów i zadawali pytania, na które nikt nie znał odpowiedzi. Czyżby zderzyli się z kajmanem? Przecież Shen i George twierdzili, że mało prawdopodobne, by te drapieżniki zaatakowały tratwy. Tom przypomniał sobie, że mówili też coś innego – że za wszelką cenę należy unikać sytuacji, gdy ktoś wpadnie do wody. Był teraz w pełni świadomy mętnej toni, którą miał pod nogami, oraz wszystkich niebezpieczeństw, jakie mogła skrywać.

Dostrzegł jedną z metalowych rurek Barneya. Pusta w środku, unosiła się teraz na powierzchni wody nieopodal. Zdołał jej dosięgnąć, ale w tym samym momencie poczuł, jak stopą dotyka czegoś wielkiego i obłego w wodzie pod spodem.

Wzdrygnął się i wykonał instynktowny wymach nogą. Znowu natrafił na coś twardego. Kopnął jeszcze raz, z całej siły. But ześlizgnął się po czymś i w tej samej chwili Tom poczuł piekący ból wzdłuż łydki, w której otworzyła się rana. Nie przestawał jednak kopać, dopóki nie zyskał pewności, że noga nie natrafia na żaden opór.

Wtem usłyszał głos George'a:

– Ludzie! – Odwrócił się i zobaczył, że chłopak stoi przy burcie i wpatruje się w wodę. – Kajman czarny! I to duży. Wracajcie do łodzi!

Tom, nie wypuszczając rurki, zaczął płynąć do tratwy. Widział, że Emma zdążyła już dopłynąć i teraz, razem z wyłowionym przez siebie plecakiem, jest wciągana przez burtę na pokład. Rozejrzał się za psem, a gdy zorientował się, że nigdzie go nie widzi, zaczęła go ogarniać panika. Okazało się jednak, że psiak zdołał opłynąć łódź i teraz Barney i Alice wciągali go na pokład przez przeciwległą burtę.

Wtem za sobą usłyszał coś w rodzaju skomlenia. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że Sandeep zamiera bez ruchu. Młócił wodę rękami, jednak nie był w stanie płynąć. W pamięci Toma odżył czytany kiedyś tekst o tym, że najmniejsze szanse na przeżycie ataku terrorystycznego mieli ci, którzy pozwalali, by sparaliżował ich strach. Teraz przekonał się, że to prawda.

– Sandeep! Płyn! – ponaglił go.

Chłopak popatrzył na niego i skinął głową, jednak nadal nic nie robił.

– Nie zostawiaj mnie – poprosił.

– Płyn do mnie! I to już!

Z tyłu doleciało go wołanie George'a:

– Tom, ty też musisz płynąć. Kajman gdzieś zniknął, nie widzę go.

Z łodzi rozległy się krzyki innych osób. Wiedział, że wykrzykują jego imię. Jednak całą uwagę skupiał teraz na Sandeepie.

– Płyn do mnie! – powtórzył.

Chłopak znowu kiwnął głową, jednak tym razem zdołał przełamać stupor. Zaczął płynąć dość chaotycznym kraulem, rzucając na wszystkie strony przerażone



spojrzenia. Był już niemal przy Tomie, gdy zerknął na lewo i krzyknął ze strachu. Tom też tam popatrzył i natychmiast zauważył ciemny kształt pod powierzchnią wody, który z dużą prędkością nadpływał ku nim.

Znów zaczął wymachiwać nogą pod wodą, a równocześnie chwycił Sandeepa za ramię i próbował popchnąć go ku tratwie.

– Płyn! – wrzasnął.

Chłopak wreszcie ruszył, chlapiąc na wszystkie strony wodą. Z łodzi dobiegały dopingujące okrzyki. Tom kopnął jeszcze raz, ale stopa natrafiła na pustkę, a w tym samym momencie zobaczył, jak nacierający kajman wynurza się z wody. Dźgnął w tym kierunku metalową rurką, raz, drugi. Natrafił na jakiś opór i spróbował po raz trzeci.

Rurka zatopiła się w czymś, co nie wydawało się mięsiste, i utknęła. Tom nie wypuszczał jej z ręki i przez kilka metrów był holowany ku łodzi z niewiarygodną siłą. Miał wrażenie, że jeśli utrzyma się rurki, a ta nie pęknie, bestia bez trudu wywlecze go z wody. Gdy tylko kajman przestał ciągnąć, Tom cofnął rękę i zadał serię czterech czy pięciu szybkich ciosów rurką. Ostatnie z uderzeń napotkało pustkę, lecz kiedy zamachnął się znowu, żeby wykonać kolejne pchnięcie, poczuł, jak coś chwyta go za ramię. Próbował się odwrócić, żeby dźgnąć jeszcze raz, jednak nie mógł – był przyparty plecami do burty. Po chwili zorientował się, że to ludzka ręka ściska go za ramię – ludzie z tratwy próbowali wciągnąć go na pokład.

Dopiero teraz, gdy poczuł, jak mocujący się z ciężarem jego przemoczonych ubrań koledzy wyciągają go z wody, zaczęła ogarniać go panika. Kopnął jeszcze raz, jakby wyobraził sobie, że bestia może nadal próbować go porwać.

– Mamy cię, już po strachu – powiedział George. To wystarczyło, by momentalnie spłynął na niego spokój. Upadł na dno łodzi i przez chwilę przyglądał się wszystkim badawczo, próbując zorientować się, czy nikogo nie brakuje. Jess i Barney wrócili już do wiosłowania. George potrząsnął z niedowierzaniem głową.  
– Stary, nie przestajesz mnie zaskakiwać.

Wydał z siebie triumfalne pohukiwanie. Pies zaszczekał w odpowiedzi, a wszyscy roześmieli się z ulgą.

Dopiero wtedy zauważył, że Alice z przerażeniem przygląda się jego nodze. Kiedy popatrzył w dół, zobaczył, że nogawka jego bojówek jest rozerwana. Spod mokrego materiału wyglądała zakrwawiona skóra.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, powiedział:

– To nic, mam zapasową parę w plecaku.

Roześmiała się, ale nie było w jej śmiechu wesołości.

– Muszę zdezynfekować tę ranę – powiedział Shen. – I to szybko.

Kiedy Tom skinął głową, Shen rozwiązał i ściągnął mu buty. Tom rozpiął spodnie, potem wstał, żeby je ściągnąć, ale momentalnie skrzywił się z bólu, gdy sztywny, przemoczony materiał zaczął szorować po ranie.

– Stój, rozetnę spodnie nożyczkami – stwierdził Shen.

Sięgnął do plecaka po apteczkę pierwszej pomocy i ją otworzył. Przez chwilę wodził spojrzeniem od obrażenia na nodze Toma do zawartości apteczki. Wreszcie rozciął materiał i oderwał go od rany, co wywołało kolejną falę piekącego bólu.

Wszyscy pozostali przyglądali się z boku. Tom zauważył, że na widok jego łydki kilka osób odwróciło spojrzenie. Shen zareagował zgoła inaczej – westchnął chyba z ulgą i pokiwał głową.

– Muszę ją odkazić i założyć opatrunek, ale wygląda mi to raczej na otarcie niż ranę po ugryzieniu czy ataku pazurem. Poza tym mamy szczęście, że to nie ta sama noga, w którą ukąsił cię wąż. – Sięgnął znowu do apteczki i ostrzegł: – To będzie piekło. I to bardzo.

Nie żartował. Tom nagle miał wrażenie, jakby ogień spalał mu nogę. Ból był tak dojmujący, że oczami wyobraźni widział niemal, jak biały płomień wypala zarazki. Zacisnął zęby, z oczu popłynęły mu łzy. Kiedy ból nieco zelżał, Tom roześmiał się z wielką ulgą.

Popatrzył na Alice, która teraz już się uśmiechała. Skinęła mu głową. Potem przeniósł spojrzenie na Kate, która razem z Emmą szukała dla niego suchych ubrań na przebranie. Pomyślał, że niepotrzebnie, bo już teraz czuł, jak koszulka wysycha mu w słońcu na grzbiecie. Wreszcie ujrzał Sandeepa, który pólleżał bezwładnie przy burcie i nie odrywał od niego wzroku. Gdy tylko ich spojrzenia się spotkały,

chłopak powiedział:

– Przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać. Nie zrobiłeś nic złego. Wszystko w porządku.

Sandeep skinął głową bez słowa, wyraźnie wzruszony.

– Który plecak jest twój, Sandeep? – zainteresowała się Alice. – Powinieneś się przebrać.

Na chwilę zapadło milczenie. Shen opatrywał ranę Toma, Barney i Jess wiosłowali. Dopiero dziesięć minut później, gdy byli już pewni, że zagrożenie minęło, odezwała się Emma:

– Mam nadzieję, że tamtym nic się nie stało.

– Dadzą sobie radę – stwierdził George. – Tom spuścił taki łomot temu stworowi, że raczej odechce mu się na pewien czas polowania.

Wprawdzie wszyscy domyślali się, że to nieprawda, jednak wybuchnęli chóralnym śmiechem. W rzeczywistości druga tratwa zapewne wpływała właśnie do miejsca, w którym zaatakował kajman. Hałas uprzedzał drapieżnika o przybyciu nowych ofiar. A oni nic nie mogli na to poradzić. Pozostawało im wiosłować, oddalając się coraz bardziej od niebezpieczeństwa, jednak płynęli teraz w milczeniu. Mogli tylko nasłuchiwać i liczyć na to, że tamtym też się poszczęści.

## ROZDZIAŁ 46

**P**rzez długi czas nie docierały do nich żadne odgłosy z drugiej tratwy. W końcu ktoś odważył się poruszyć ten temat.

– Cóż, brak wiadomości to dobra wiadomość – rzucił Barney.

Odpowiedziały mu ciche śmiechy. Z czasem ludzie zaczęli znów rozmawiać, wychodząc z założenia, że Barney może mieć rację. Przecież gdyby kajman zaatakował, usłyszeliby krzyki albo hałasy świadczące o zamieszaniu. Na pewno coś by usłyszeli. To samo dotyczyło zresztą Joela i jego grupy, którzy mogli usłyszeć krzyki, gdy tratwa Toma znalazła się w niebezpieczeństwie.

Wkrótce pokonali zakręt i ujrzeli przed sobą płaski i gładki kamień na środku rzeki. Wyminęli go bez żadnego trudu, jednak w ciągu następnych dwudziestu minut napotkali kolejne. Wyglądało to tak, jakby wpłynęli do krainy pochodzącej z innej epoki geologicznej. Lawirowanie między przeszkodami wymagało większej uwagi, jednak nadal posuwali się całkiem szybko.

Pokonali następny zakręt, tym razem bardzo długi. Oba brzegi porastały drzewa o gałęziach zwisających aż do wody. Kiedy wydostali się na prosty odcinek, Tom zauważył, że Shen czymś się niepokoi. Spoglądał na wprost, jednak nie koncentrował się na głazach o wygładzonych przez wodę powierzchniach – spoglądał dalej, tam gdzie rzeka zdawała się niknąć w mgiełce.

– Chyba tutaj łączą się dwie rzeki – powiedział, po czym natychmiast położył sobie palec na ustach, nakazując wszystkim ciszę. Nasłuchiwał uważnie, a potem znowu spojrzał przed siebie. – Spróbujcie trzymać się bliżej prawego brzegu. Nie podpływajcie całkiem, po prostu zbliżcie się do niego. Chyba przydadzą nam się teraz wypoczęci wiosłarze.

George przejął jedno wiosło. Tom chciał chwycić za drugie, jednak zauważył, że taki sam zamiar ma Alice i z szacunkiem skinął głową.

Cokolwiek zobaczył w oddali Shen, po chwili to samo dostrzegł również Barney. Nie zamienili ze sobą ani słowa, lecz i bez tego jak jeden mąż stali się czujni i gotowi do działania. Wyglądali przed tratwę, omiatali spojrzeniem wodę, zerkali na brzegi, przechylając przy tym głowy i nasłuchując. Przypominali przez to warującego psa. Ten, zauważywszy ich nietypowe zachowanie, zaczął przypatrywać im się ze zdwojoną uwagą.

Tom widział, że nieco dalej głazy leżały w wodzie jeszcze gęściej. Był niemal pewien, że znajdą jakiś szerszy przesmyk między przeszkodami, lecz na razie kamienie zdawały się tworzyć szczelny mur. Jednak jego obawy budziło coś innego – tuż za skałami w powietrzu unosiła się mgiełka. Tom widział wprawdzie pasmo rzeki, w którą mieli wpłynąć, dostrzegał roślinność porastającą jej odległy brzeg, lecz wszystko to zdawało się być przesłonięte jakimś oparem.

– Zbliżamy się chyba do progów rzecznych – powiedziała Alice, wskazując coś ręką.

– Wiosłujcie na prawo – poradził Shen. Dla zachowania równowagi wsparł się na barku Barneya i nie przestawał wyteżać wzroku. – Wydaje mi się, że spadek jest niewielki. Ale i tak nie możemy ryzykować. Podejrzewam, że w miejscu, w którym rzeki się spotykają, będzie dogodne miejsce do rozbicia obozu.

Kiedy przykłęknął na dnie, odezwała się Emma:

– Wydaje mi się, że wspominałeś, że powinniśmy trzymać się z dala od brzegów.

Wyraziła na głos lęk, który przez cały czas, od momentu ataku kajmana, czał się tuż pod powierzchnią. Myśl, że rzeka, która ich niosła, jest zarazem śmiertelnie niebezpieczna.

– Tak, to prawda.

Z pomocą pospieszył mu Tom.

– Jest dzień. Poza tym mamy ze sobą psa. Jestem pewien, że nic nam nie grozi.

Emma dała się chyba przekonać, ale Toma martwiło co innego – największym wyzwaniem mogło okazać się dotarcie do brzegu. Wokół nie widział na razie żadnych dogodnych miejsc do przybicia. Co prawda nie chcieli tego robić za wcześnie, ale z drugiej strony wiedział, że jeśli się nie pospieszą, będą musieli

zmierzyć się z forsowaniem progów rzecznych.

Spojrzał za burzę, gdzie prąd wydawał się znacznie silniejszy. Zdążył już przebrać się w suche spodnie. Teraz jednak, widząc, że rzeka się zmienia, poszukał też butów i wciągnął je na stopy.

– Trzymajcie się prawej strony, jeśli to możliwe – poinstruował Shen.

– Robimy, co w naszej mocy – odparł George, nie odwracając się do niego. Siedział przy lewej burcie i wiosłował z całej siły. Powierzchnia rzeki wydawała się płaska i gładka, jednak było jasne, że prądy nasilają się z każdym metrem. Utrzymanie tratwy na pożądanym kursie przychodziło George'owi z coraz większym trudem.

Po kilku minutach rzeka zmieniła się nie do poznania. Woda burzyła się teraz i pieniała wokół wystających kamieni i większych głazów. W miarę jak nurt rozpędzał się przy progach, powierzchnia rzeki marszczyła się coraz gwałtowniej. Mimo to Shen znowu zaryzykował i podniósł się. Przytrzymując się Barneya, spoglądał ku brzegowi.

Mało brakowało, a wypadłby za burzę. Po chwili oznajmił:

– Tuż przed progami znajduje się cypel, gdzie moglibyśmy przybić. To niemal mała plaża.

– Będziesz musiał nas pokierować! – odkrzyknęła Alice.

– Wiosłujcie na lewo – poinstruował Shen. Przed nimi sterczał głaz większy od pozostałych i wystający wysoko nad wodę. – Za tamtym wielkim głazem kierujcie się do prawego brzegu.

Usiadł, a George i Alice opłynęli kamień, jednak zaraz się okazało, że prąd staje się tu znacznie gwałtowniejszy. Tratwa wystrzeliła jak z procy i pomknęła ku progom. Wioślarze mieli kłopot z opanowaniem jej. Przed nimi wyrastały kolejne głazy, a nieco dalej w powietrze wzbijał się syk roztrzaskujących się na progach mas wodnych.

George naparł jeszcze energiczniej na wiosło. Wiosłował teraz z taką siłą, że zachodziła obawa, iż prowizorka Barneya nie wytrzyma i pęknie. Z każdym wynurzeniem z wody wiosło wydawało się coraz bardziej sfatygowane. Kierowali

się na prawo, jednak nie dość szybko. Tratwa nabrała już zbyt wielkiej prędkości. Brzeg prześlizgiwał się obok nich, ale nadal pozostawał poza ich zasięgiem, a łódź niepowstrzymanie mknęła ku progom.

– Nie damy rady! – zawołał George.

– Brakuje nam tak niewiele – powiedziała Emma, zerkając na brzeg.

– Płyniemy za szybko!

George miał rację. Tratwa z każdą sekundą rozpędzała się coraz bardziej. Progi przybliżały się groźnie. Wydawało się, że w żaden sposób nie zdołają już uniknąć spotkania z nimi.

Porośnięty gęstwiną brzeg był tak blisko, że nawet gdyby Tom nie zdołał na niego skoczyć, to pewnie mógłby z powodzeniem rzucić na niego plecak. Rozumiał zarazem, dlaczego George i Alice mają tak wielkie trudności z dopłynięciem do brzegu – woda waliła teraz bokiem, atakując burtę z całej siły i spychając ich ku środkowi koryta.

I wtedy Tom przypomniał sobie o kotwicy. Odepchnął plecak i ją chwycił. Shen zauważył ją w tej samej chwili, jednak z początku nie mógł się chyba zdecydować, do czego może im się przydać.

Tom klęknął przy tylnej burcie tratwy i zawołał:

– Rzucam kotwicę!

Wioślarze coś odkrzyknęli, ale ich głosy zginęły w huku wody. Kiedy zamachnął się do rzutu, usłyszał, jak Shen mówi:

– Najpierw ją do czegoś przywiąż.

– Nie ma na to czasu.

Końcem liny obwiązał sobie rękę, po czym rzucił kotwicę do wody z tyłu tratwy. Drugą rękę wsunął z kolei pod linę, która biegła wzdłuż burty tratwy.

Ten środek zaradczy szybko się opłacił – kotwica opadła na dno koryta rzeki i zaklinowała się, ciągnąc najpierw jego ramię, a potem też całe ciało. Został przyparty do burty z taką siłą, że groziło jej odkształcenie.

Ktoś zawołał „Hura!”, gdy tratwa zwolniła gwałtownie, ale Tom wiedział, że to nie wystarczy. Kotwica wprawdzie o coś zahaczyła, ale teraz czuł już, że lina zwisa

luźno w jego ręce. Jedynie waga kotwicy zanurzonej w wodzie nieco spowalniała tratwę.

– To pomogło – zauważyła Alice. – Spróbuj rzucić jeszcze raz.

Tom przyciągnął kotwicę do siebie, po czym zamachnął się i rzucił ją ponownie. Tym razem jednak o nic się nie zahaczyła i tratwa sunęła dalej niepowstrzymanie.

– Kończy nam się czas! – zawołał George.

Tom zrozumiał, że kolejny rzut nie może już być na próbę. Popatrzył ku brzegowi, z którego wystawały powykręcane korzenie drzew. Warto było zaryzykować, ale wiedział, że do takiego rzutu potrzebować będzie obu rąk.

Wciągając z powrotem kotwicę na pokład, zawołał:

– Wszyscy się połóżcie. Niech ktoś mnie przytrzyma!

Poczuł, jak ktoś chwyta go za zranioną nogę, i skrzywił się z bólu. Zaraz usłyszał za sobą głos Kate:

– Nie tak! Ja to zrobię!

Dziewczyna jedną ręką chwyciła go za udo, drugą na wysokości kostki.

Kotwica wynurzyła się z wody, a Tom wciągnął ją na pokład. Była mokra i śliska.

Słyszał, że George coś krzyczy, może tylko jego imię. Głos miał spanikowany. Tom całą uwagę skoncentrowaną miał na wadze kotwicy, linie, którą trzymał w drugiej ręce, oraz drzewach, których powykręcane korzenie ginęły w wodzie.

Wziął zamach i cisnął kotwicę przed siebie. Włożył w to tyle siły, że nadwyrężył sobie ramię. Kotwica poleciała po łuku, a widok ten przywołał wspomnienie flary, która wleciała do stodoły i wbiła się w tułów jednego z mężczyzn. Kotwica zniknęła pośród drzew i zarośli, ale chyba znowu nie znalazła żadnego punktu zaczepienia. Tak się przynajmniej wydawało przez początkowe dwie sekundy.

Wreszcie jednak Tom poczuł szarpnięcie. A gdy nadeszło, okazało się, że był na nie zupełnie nieprzygotowany. Z impetem uderzył o burtę, co zmusiło Kate i Sandeepa, by z jeszcze większą siłą uczepili się jego nóg. Miał wrażenie, jakby ramię wyskoczyło mu ze stawu. Tratwa zahamowała gwałtownie, co sprawiło, że członkowie załogi powpadali na siebie. Woda przelała się do środka przez burtę.



Nie była to jednak ilość, którą powinni się przejmować. Było jednak jasne, że kotwica o coś się zaczepiła i tratwa nie płynie już do przodu.

Pies zaszczekał z ekscytacją, gdy tratwa zaczęła dryfować ku brzegowi. Znajdowali się kawałek od wypatrzonego przez Shena cypla, jednak nurt był tu już słabszy i Tom wiedział, że niebezpieczeństwo minęło.

– Wszyscy cali? – upewnił się. Odpowiedział mu chór głosów. – Jeśli puszczę, uda nam się dopłynąć do plaży?

Odpowiedziała mu Alice:

– Puszczaj.

Dopiero gdy zwolnił uchwyt na linie, zobaczył, że zdarła mu skórę na dłoni i nadgarstku. Tratwa sunęła po wodzie, ale nie nabierała większej prędkości, i po chwili George i Alice zdołali dobić do maleńkiej plaży.

Najpierw wyskoczył George, za nim Sandeep i pies. Następnie na brzeg zeszli pozostali i wspólnymi siłami wyciągnęli tratwę z wody. Wszyscy byli zziębnięci, tylko pies uganiał się wesoło, obwąchując nowy teren. Zachowywał się cicho, co wszyscy przyjmowali jako dobry znak – nareszcie nie groziło im żadne niebezpieczeństwo.

## ROZDZIAŁ 47

Plaża była tak wąska, że z trudem zmieścili na niej tratwę. Wokół nich wznosiły się strome skarpy brzegowe, od góry porośnięte gęstwiną. Wzdłuż brzegu wiódł cienki pas piachu, przypominający niebezpieczną kładkę. Po około dwudziestu metrach można nim było dotrzeć do miejsca, które wypatrzył wcześniej Shen.

Kiedy zabezpieczyli łódź, Shen ruszył ścieżką, a pozostali udali się za nim. Wspięli się na wyżej położony cypel. Po lewej ręce mieli teraz progi, a na wprost rzekę, która rozlewała się tu znacznie szerzej. Przeciwległy brzeg porastała gęsta ściana roślinności. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że nadal znajdują się w sercu lasu tropikalnego, którego pejzaż oglądali z urwiska, jednak zarazem rzeka, rozlana tu szeroko, napełniła ich serca nadzieją, że ich wędrówka nie jest bezcelowa.

Ciszę przerwał Shen:

– Powinniśmy wrócić i ostrzec pozostałych. – Ludzie pokiwali głowami i popatrzyli ku małej plaży i tratwie. Shen zwrócił się do George’a i Alice: – Świetnie się spisaliście.

– Dzięki – odparł George.

– Dziękuję – zawtórowała mu Alice.

Następnie Shen popatrzył na Toma. Potrząsnął głową z uśmiechem.

– Kompletnie zapomniałem o kotwicy.

– Miejmy nadzieję, że drugi raz nie będziemy już jej potrzebować.

Shen pokiwał głową, omiatając spojrzeniem leżące przed nimi szerokie koryto rzeki. Po chwili obaj ruszyli za pozostałymi wzdłuż linii brzegowej.

Po dotarciu z powrotem na plażę wszyscy znieruchomieli, wyteżając wzrok. Huk wody na progach rzecznych pogrzebał wszelką nadzieję, że zdołają usłyszeć głosy z drugiej tratwy. Pozostawało im wypatrywanie jej po obu bokach wielkiego głazu

sterczącego z wody na samym środku rzeki.

Tom zakładał, że druga łódź znajduje się dziesięć, maksymalnie piętnaście minut za nimi. Ponieważ niemal dziesięć minut zajęła im eksploracja cypla, spodziewał się, że lada chwila ujrzą tratwę Joela. Kiedy się nie zjawiała, zerknął z niepokojem na zegarek. Pięć minut później zrobił to samo. I potem jeszcze raz, po upływie kolejnych pięciu.

- Powinni już tu być – powiedział Barney.
- Może zaatakował ich ten kajman – zastanowiła się Kate.
- Coś byśmy usłyszeli – stwierdził, bez większego przekonania, Shen.
- Też mi się tak wydaje – poparł go George.

Tom wyobraził sobie drugą tratwę, głośnie rozmowy nieświadomej niebezpieczeństwa załogi, gdy zbliżali się do odcinka rzeki, na którym żerował kajman. Ryzyko, że drapieżnik faktycznie zaatakował i łódź została zniszczona, było duże, zwłaszcza że niewiele brakowało, by tratwę Toma spotkał taki los. Wówczas należało założyć, że tylko jedna osoba została zabita przez kajmana, a reszta dotarła jakoś na brzeg albo popłynęła z nurtem. W tej sytuacji Tom i jego załoga mogli tylko czekać na rozwój wypadków i liczyć na to, że rzeka nie przyniesie ku nim ciał kolegów i koleżanek.

Tom sprawdził znów godzinę na zegarku, a w tej samej chwili Jess, najniższa w całej grupie, powiedziała:

- Widzę ich. – Wskazywała przesmyk między brzegiem a głazem.

A chwilę później również Tom zauważył wytęskniony żółty kolor, gdy tratwa minęła kolejny głaz. Z tej odległości wydawała się nieuszkodzona. Rozległy się głosy potwierdzające, że inni też już ją widzą. Tom podejrzewał, że druga tratwa przepłynęła obok kajmana i nikt nie zdawał sobie nawet sprawy z jego istnienia.

Beztróskę zmaciły dopiero słowa Alice:

- Miejmy nadzieję, że w porę nas zauważą.

Wszyscy na brzegu zaczęli pokrzykiwać i machać rękami, mimo że tratwa Joela na razie ukryta była za jednym z głazów. Sekundował im poszczekujący pies. Wydawało się, że robią tak dużo hałasu, iż załoga Joela powinna usłyszeć ich

nawet mimo huku wody na progach rzecznych.

W końcu łódź wynurzyła się zza głazu. Na przedzie siedzieli Joel i Nick, z zapamiętaniem wiosłując. Nie próbowali jednak zmienić kursu łodzi ani zwolnić, lecz najwyraźniej kierowali się ku progom z zamiarem ich pokonania. Pozostali członkowie załogi leżeli chyba na pokładzie, bo byli niewidoczni.

W końcu Joel i Nick dostrzegli grupę na brzegu. Jaskrawa żółć ich tratwy musiała zadziałać niczym latarnia morska. Joel roześmiał się na ich widok, uznawszy chyba, że łódź Toma przypadkowo utknęła na mieliźnie i że nadarzyła się okazja, by to on wysunął się znów na prowadzenie. Nick wydawał się mniej zachwycony tym, co się dzieje. Krzyknął coś w odpowiedzi, jednak ci na brzegu nie mogli usłyszeć co.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji ze strony Joela, pociągnął go w końcu za rękę. To wystarczyło, by chłopak zatoczył się do tyłu i upadł. Nick z jeszcze większą siłą napał na wiosło, co mogło sugerować, że w przeciwieństwie do kolegi zdał już sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. Siedział przy lewej burcie, a ponieważ zabrakło drugiego wiosłarza, tratwa zaczęła kierować się ku plaży. Było jednak jasne, że nie zdążą.

Nick znów coś krzyknął – jego głos wznosił się ponad hukiem wody, jednak słowa nadal pozostawały niezrozumiałe. Odniosły pewien efekt, bo Joel poderwał się na równe nogi, lecz nie bardzo chyba wiedział, co ma robić. Koniec końców ustawił się za Nickiem i zaczął wiosłować na tej samej co on burcie. Ich tratwa minęła już jednak plażę i porwana prądem nadal nabierała prędkości.

Obracając się wokół własnej osi, mknęła ku głazowi sterczącemu niemal na samym środku koryta. Nick jako pierwszy dostrzegł zbliżającą się błyskawicznie przeszkodę. Zawołał coś i się odwrócił. Jego spojrzenie na chwilę padło na Toma i pozostałych stojących na brzegu kolegów. Wołał coś niezrozumiałego.

Wtem tratwa zderzyła się z głazem i gwałtownie się zatrzymała. Rufa zadarła się wysoko i przez chwilę wyglądało to tak, jakby łódź miała przewrócić się do góry dnem. Ludzie na pokładzie zaczęli wrzeszczeć, a ich krzyki przywodziły na myśl wrzaski, jakie można usłyszeć w parkach rozrywki. Plecaki poleciały w powietrze.

To samo stało się z Nickiem.

Zatoczył w powietrzu pełen wdzięku łuk, niczym ktoś podskakujący na ogrodowej trampolinie. Tom śledził spojrzeniem tor jego lotu. Miał wrażenie, jakby działo się to w zwolnionym tempie. Jednak gdy chłopak w końcu upadł, nie było w tym nic powolnego ani pełnego gracji. Opadając, nabrał jeszcze prędkości i w końcu jego ciało z wielką siłą zderzyło się z innym głazem. Pod wpływem uderzenia jedna z nóg odchyliła się w bok pod nienaturalnym kątem, po czym całe ciało odbiło się od skały i zniknęło w wodzie.

Kolejne sekundy upływały w milczeniu, a Tom odtwarzał w pamięci raz za razem obraz zderzenia z głazem. Widział ciało Nicka wpadające do wody, bezwładne niczym szmaciana lalka. Widział, co stało się z jego nogą. A teraz chłopak zniknął bez śladu pod wodą. Nick był przerażony, kiedy Chris i Joel dostali się do niewoli, ale teraz on sam być może stracił życie, i to w taki głupi sposób.

Nadal wpatrywali się w wodę, a gdy w końcu głowa Nicka wynurzyła się na powierzchnię znacznie dalej, wszyscy jęknęli. Jego martwe ciało było wleczone z nurtem w dół rzeki. Szok, jaki wszystkich ogarnął, był niemal namacalny, jednak nikt nie odezwał się ani słowem.

Wtem, niczym za sprawą jakiegoś cudu, ręka Nicka uniosła się nad wodę. Wyglądało to tak, jakby próbował im pomachać. A już w następnej sekundzie stracili go z oczu.

Ktoś z tyłu powiedział:

– Pomachał.

– Wątpię. Po prostu jego ciało porusza się pod wpływem prądu.

– To było machnięcie – stwierdził Tom.

A to oznaczało, że Nick żyje.

Popatrzył na tratwę, która zaklinowała się na głazie. Z daleka wydawała się nieuszkodzona. Ludzie na pokładzie wyglądali na wstrząśniętych, ale nie zauważył żadnych rannych. Było jasne, że musieli ruszyć w pogoń za Nickiem. Nie było innej możliwości. Nawet jeśli chłopak był cały pogruchotany, konał albo nawet już

wyzionął ducha – nie mogli go zostawić.

Tom podbiegł do tratwy, chwycił za linę i rzucił ją Sandeepowi. Następnie zwrócił się do pozostałych:

– Zanieście tratwę na cypel i przygotujcie ją do zwodowania.

– Tom, nie damy rady go ocalić. Już po nim – odezwała się Emma.

– Spróbujemy – powiedział Tom tak stanowczym tonem, że wszyscy chwycili za tratwę i ruszyli piaszczystym pasem. Chłopak zwrócił się do Sandeepa: – Rzuć Joelowi drugi koniec liny. Nie wchodź do wody. Kiedy chwycą linę, przyciągnij ich tutaj. A potem płyńcie za nami. Kiedy znajdziemy Nicka, przybijemy do brzegu i zaczekamy na was. Jeśli nie zjawicie się w ciągu godziny, cofniemy się. Nawet jeśli okaże się, że musimy przedzierać się lądem. Zrozumiano?

Sandeep skinął głową. Tom odniósł wrażenie, że chłopak jest niepewny i przestraszony, jednak równie duży lęk budziło w nim zignorowanie poleceń wypowiedzianych tak stanowczym tonem. Koniec końców zdobył się tylko na słowa:

– Nick nie żyje.

– Żyje.

Nie czekając na odpowiedź, Tom ruszył śladem reszty grupy ku cypłowi. Nie wiedział, dlaczego to dla niego takie ważne. Może chodziło o tę głupią obietnicę, którą wcześniej złożył. A może o to, że Nick wcześniej w niego zwątpił. W każdym razie Tom wiedział, że nie może założyć, że chłopak po prostu zginął – nie w sytuacji, gdy istnieje choć cień nadziei, że można go ocalić.

## ROZDZIAŁ 48

**T**om dogonił kolegów, gdy doszli już na cypel i wnosili tratwę na wodę większej rzeki. Nikt się nie odzywał. W milczeniu zwodowali tratwę i wsiedli do środka. Jako ostatni wskoczył znów George, który wcześniej odepchnął ją z płycizny i zwinnie pokonał burzę.

Prąd natychmiast wciągnął ich na środek rzeki. Mimo to Alice i Kate momentalnie zaczęły wiosłować niczym zawodniczki w wyścigu, w którym nie istniała żadna oczywista linia mety. Pozostali omiatali spojrzeniem bezmiar wody, jaki rozciągał się przed nimi. Robili to, mimo że, jak podejrzewał Tom, większość nie dawała wiary, że Nicka da się jeszcze uratować.

I może mieli rację, jednak jeszcze przed chwilą chłopak był przytomny. Pomachał do nich. A jeśli istniała najmniejsza szansa na uratowanie go, musieli przynajmniej spróbować. Nie miało znaczenia, o kogo chodzi – chłopak był ranny, był sam i potrzebował ich pomocy.

Po minucie Barney wskazał coś na przedzie. We wszystkich wstąpiła nadzieja, że to Nick, ale szybko okazała się płonna. Błyskawicznie ustąpiła miejsca przerażeniu, że zbliża się do nich kolejny kajman. Dopiero gdy podpłynęli bliżej ciemnego kształtu wystającego z wody, przekonali się, że to kłoda powalonego drzewa płynąca z prądem.

Nie przestawali wiosłować. Kiedy Kate zaczęła opadać z sił, zmienił ją George. Znowu oboje z Alice znaleźli się u wiosł, a ponieważ byli już zgrani, tratwa popłynęła jeszcze szybciej. Tom chętnie zaproponowałby Alice, że ją zastąpi, jednak dziewczyna nie zdradzała żadnych oznak zmęczenia. Z ruchów jej pleców, ramion i rąk, które zatapiały wiosło w wodzie, wyzierała determinacja.

Nadal jednak nie natrafili na żaden ślad po Nicku. Miny załogi, nawet Shena, sugerowały, że ludzie zaczynają tracić nadzieję. Kiedy Tom myślał o wielkości tej

rzeki, kiedy przypominał sobie, jak noga Nicka wygięła się przygnieciona ciężarem jego ciała, jego również ogarnęły wątpliwości.

Powtarzał jednak sobie, że przecież Nick machał do nich ręką. Żył, i tylko to się teraz liczyło. Dopóki miał siły, by unosić się na wodzie, istniała szansa, że zdołają go uratować.

Kate myślała chyba o tym samym, bo nagle spytała:

– Nick umie dobrze pływać?

Jednak odpowiedziało jej milczenie. Zapewne po części dlatego, że nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie, a po części zaś dlatego, że wszyscy widzieli, co stało się z jego ciałem, gdy zderzył się z głazami.

W następnej sekundzie rozległ się warkot psa. Wszyscy stanęli na baczność i wyteżyli wzrok.

I znowu Jess zawołała jako pierwsza:

– Tak! To on, to on!

Miała rację, jednak już w następnej chwili George powiedział:

– Już nie macha.

Na powierzchni wody widoczna była tylko głowa Nicka. Był zwrócony do nich twarzą, lecz mimo to nie próbował machać. Alice i George jakimś cudem wykrzesali z siebie jeszcze więcej sił i tratwa popłynęła szybciej. Równocześnie dokonali zwrotu, tak że tratwa znalazła się na kursie kolizyjnym z Nickiem.

Kiedy byli już niedaleko, przestali wiosłować, a po chwili zanurzyli wiosła, żeby przyhamować. Jednak nawet wtedy Nick nie dawał żadnych oznak życia.

– Może po prostu jest wyczerpany – zastanowiła się Emma.

– Uwaga, przygotujcie się. Zaraz do niego dopłyniemy – zawołał George.

Wciągnął wiosło na pokład, a potem wychylił się tak daleko, jakby chciał rzucić się do rzeki. Jęknął z wysiłku, gdy burta ugięła się pod ciężarem jego ciała. Tom doskoczył do niego i też się wychylił. Chwycił po omacku to, co nawinęło mu się pod rękę. Po chwili zorientował się, że to noga Nicka. Mało brakowało, a wypuściłby ją, jednak w porę się zreflektował, że to ta zdrowa.

Wspólnymi siłami dźwignęli go z wody i przerzucili nad burta. Gdy tylko



wydostali go z wody, Nick zawył z bólu. Druga noga zwisała bezwładnie od kolana w dół, jakby pękła dokładnie w połowie długości. Sprawiała wrażenie, jakby dolna część w każdej chwili mogła się odzepić i wpaść z powrotem do rzeki.

Kiedy ułożyli go na dnie, zawył jeszcze głośniejsze. Dźwięk ten sprawił, że wszyscy z wyjątkiem Shena wzdrygnęli się lekko. Shen natomiast przystąpił do działania – zbliżył się do poszkodowanego, poruszył delikatnie złamaną nogą, co wywołało kolejny wrzask bólu, a potem wydał całą serię krótkich poleceń. Kazał przynieść apteczkę pierwszej pomocy i zawołał dwie albo trzy osoby, żeby mu pomogły.

Nick nie przestawał wyć, ale Shen zerknął na Toma i powiedział:

– To dobrze, że krzyczy.

Tom domyślił się, co Shen miał na myśli – zapewne chciał powiedzieć, że krzyk jest w tej sytuacji lepszy od milczenia – i oddał George’owi wiosło ze słowami:

– Jak tylko wypatrzyacie miejsce, do którego moglibyśmy bezpiecznie przybić, płynicie do brzegu. Obiecałem tamtym, że na nich poczekamy.

– Super – odparł George i zaczął wiosłować.

Tom usiadł przy burcie, a pies momentalnie podszedł i położył się obok, opierając pysk na jego kolanach. Zachowywał się tak, jakby w całym tym zamieszaniu Tom był dla niego jedyną oazą spokoju.

Po kilku sekundach Tom zamknął oczy i spróbował odnaleźć wewnętrzny spokój, ciesząc się obecnością zwierzęcia u swego boku. Wrzaski Nicka tymczasem przybierały na sile. Shen i jego pomocnicy bez przerwy się przy nim uwijali, a pod ich krokami podskakiwała cała tratwa. Rytmiczne ruchy wiosła niosły ją delikatnie w przód.

*To wszystko nie dzieje się naprawdę*, pomyślał Tom. Wydawało mu się, jakby to sobie tylko wyobrażał. A może po prostu zginął w katastrofie lotniczej, a to, czego doświadczał teraz, było tylko wytworem jego umysłu na chwilę przed śmiercią. Może w rzeczywistości wcale nie znalazł się w sercu amazońskiej dżungli, nie spotkał w niej jaguara, węży, kajmanów i pajaków. Nie uratował nikomu życia, nikogo nie zabił, a teraz wcale nie siedział na tratwie z psim pyskiem na kolanach.

Zarazem jednak miał stuprocentową pewność, że wszystko to wydarzyło się naprawdę. A w świetle tej wiedzy realny świat wydawał mu się snem, a życie, jakie wiódł przed katastrofą, było tylko wytworem jego umysłu. Zapewne wszyscy oni doświadczali tego w taki sam sposób. Kate pewnie miała rację, gdy powiedziała, że tragedie i triumfy, jakich doznawali w ciągu tych paru dni, miały stać się fundamentem, na którym będą dalej budować swoją przyszłość. Natomiast wszystkie wydarzenia z ich wcześniejszego życia miały odtąd wydawać się nieistotne.

Z rozmyślań wyrwał go głos Alice:

– Może tam?

– Wygląda całkiem obiecująco – przyznał George.

Tom popatrzył przed siebie i po chwili ujrzał odcinek kamienistego brzegu. Ściana dżungli była nieco odsunięta od wody i rozpoczynała się na stromej ziemnej skarpie.

Kilka minut później wpłynęli na przybrzeżną płyciznę. Znowu jako pierwszy do wody wskoczył George. Wyszli na brzeg i zacumowali tratwę. Przez cały czas nie spuszczała oka z psa, wypatrując zmian w jego zachowaniu, które mogłyby sugerować, że mają się czego obawiać. Psiak wszędzie wynajdywał mnóstwo fascynujących rzeczy domagających się obwąchania, jednak najwyraźniej nie widział powodu, by na coś warczeć czy szczekać.

Shen nie wysiadł na brzeg, tylko nadal zajmował się rannym. Krzyki Nicka nieco przycichły – bardziej przypominały teraz jęki niż wrzaski, które wydawał z siebie przed chwilą. Pozostali stłoczyli się nieopodal. Część osób przyglądała się pracy Shena, inni, nadal w szoku, próbowali nawzajem się pocieszać.

Tom trzymał się na uboczu i patrzył na rzekę. Zastanawiał się, jak daleko będą musieli płynąć, nim natrafią na jakieś ludzkie osiedle. Wiedział, że teraz potrzebowali tego bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Po krótkiej chwili podszedł do niego Barney. Ukucnął i pogłaskał psa, po czym uniósł spojrzenie na Toma.

– Myślę, że się z tego wyliże. I tak musimy wkrótce gdzieś dopłynąć, ale mogło być gorzej – powiedział. Wstał i dodał: – Tom, uratowałeś mu życie. Wszyscy

pomogliśmy, ale to głównie twoja zasługa.

– I pomyśleć, że on nawet za mną nie przepada – roześmiał się Tom. – Ale nie mogłem go zostawić.

– Wiem. Na tej samej zasadzie nie mogłeś zostawić Sandeepa, Joela i Chrisa, gdy wpadli w tarapaty. Po prostu taki już jesteś. Pewnie nie zasługuję na to, żeby nazywać się twoim przyjacielem, wiedz jednak, że jesteś najlepszym przyjacielem, na jakiego człowiek może liczyć. Przyjacielem, który pomaga, gdy naprawdę tego potrzebujemy.

– Barney, byłbym zaszczycony, gdybyś został moim przyjacielem. Nie potrafię wyobrazić sobie kogoś innego, z kim wolałbym przeżyć katastrofę lotniczą.

– Może z wyjątkiem Alice, co? – podpytał Barney, a na ustach zatańczył mu szelmowski uśmiezek. Podobny do tego, jaki milion lat wcześniej zjawiał się na jego twarzy, gdy wspomniał o rzekomej słabości, jaką żywiła do Toma pani Graham.

– Może. Oraz oczywiście Kate, a także Shena, George’a, psa...

Barney roześmiał się, jednak widać było, że coś nie daje mu spokoju. Wskazując ku rzece, powiedział:

– Szybko się uwinęli.

Tratwa Joela płynęła środkiem rzeki. Od brzegu dzielił ją jeszcze spory kawał, jednak nawet teraz było widać, że porusza się szybko. Na przedzie siedział Chris i wiosłował to z jednej strony, to z drugiej jedynym ocalałym wiosłem. Kiedy zauważył ich na brzegu, podwoił wysiłki, próbując nakierować ku nim tratwę. Musiał porządnie się napracować, bo poruszali się teraz pod prąd.

Sandeep przywiązał linę do barierki tratwy, drugi koniec zwinął i zamachnął się nim. Tom tymczasem szedł brzegiem. Przygotowywał się do złapania liny i bacznie przyglądał się tratwie. Członkowie załogi wydawali się być w szoku. Mimo że wyteżał wzrok, nie widział wśród nich Joela ani nie słyszał jego głosu.

W końcu Sandeep rzucił. Tom schwycił linę z całej siły, jednak okazało się, że obeszliby się bez jego pomocy, bo Chris sam zdołał tak doprowadzić tratwę do brzegu, że niemal zderzyła się z pierwszą.

Wszyscy pospiesznie wysiedli. Gdy tylko zauważyli rannego, cała ich uwaga skupiła się na nim.

Kiedy zbliżył się do niego Joel, Nick krzyknął:

– Mówiłem ci! Mówiłem ci! Mogłem zginąć. Wszyscy mogliśmy zginąć!

Joel potrząsnął głową.

– Nie udało się, Nick. Przykro mi z tego powodu. Ale musieliśmy podjąć to ryzyko.

– Nie! Wcale nie musieliśmy – odparł chłopak zdecydowanym tonem. – Oni tego nie zrobili.

– Nick, wiem, że jesteś teraz rozzłoszczony. Rozumiem twoje emocje, ale...

W tym momencie interweniowała Alice.

– Wystarczy! – warknęła. – Dość już powiedziałeś. To, co wygadujesz, mu nie pomaga. Nick potrzebuje teraz odpoczynku. – Joel zrobił urażoną minę człowieka, który został niesprawiedliwie potraktowany. Odsunął się jednak bez słowa. Alice zwróciła się wtedy do Chrisa: – Ile macie plecaków?

– Dwa.

– Musimy sprawdzić, ile zostało nam jedzenia i picia.

– Ale my już nie mamy nic do jedzenia – odezwała się zaskoczona Chloe. – Może zostało nam coś do picia, ale jedzenie się skończyło. Zjedliśmy resztki wcześniej.

Alice wydawała się zdumiona tą rewelacją. Po chwili z tratwy dobiegł głos Shena:

– I tak musimy sprawdzić zapasy, żebyśmy wiedzieli, co zostało.

Shen odruchowo spojrział ku rzece. Tom wiedział, o czym myśli: musieli jak najszybciej dotrzeć do ludzkiej osady, nie tylko ze względu na Nicka, ale też z uwagi na żywność. Wyżywienie się tutaj, nie wspominając o zdobyciu pitnej wody, będzie graniczyło z cudem. Oczywiście ten krytyczny moment i tak nadciągał, jednak z racji tego, że załoga drugiej tratwy wykorzystała zapasy żywnościowe i zgubiła plecaki, było możliwe, że o jeden dzień przyspieszyła jego nadejście.

## ROZDZIAŁ 49

**D**opiero teraz, gdy na dno tratwy wyłożono całe pozostałe jedzenie, Tom uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Kiedy w końcu odczuł pustkę, jaka rozgościła się w jego żołądku, nie posiadał się ze zdumienia, że stało się to dopiero teraz. Zwłaszcza że w ostatnich dniach też nie najadali się do syta. Był wdzięczny Shenowi, że zdołał zataić to przed pozostałymi.

Shen na chwilę zostawił Nicka i dołączył do pozostałych, jednak nawet on wydawał się przygnębiony.

– Powinniśmy zachować je na potem.

– Bez wędki nic tu nie złowię – powiedziała Kate. – Może udałoby mi się wyszukać trochę jedzenia w lesie. Ale i tak nie zdobędę wody. Poza tym stracimy sporo czasu.

Oscar wydawał się zdezorientowany.

– Sądziłem, że dziś będziemy tu biwakować. Chyba powinniśmy rozpalić ogień, co?

Shen potrząsnął głową.

– Nie. Uważam, że powinniśmy ruszać dalej, dopóki jeszcze możemy.

Od sprzeczki z Nickiem Joel zachowywał milczenie. Teraz jednak spojrzał w niebo i powiedział:

– Shen, rozumiem twój punkt widzenia, ale Oscar ma rację. Do zmierzchu została pewnie najwyżej godzina. A jesteśmy teraz w miejscu całkiem nieźle nadającym się na obóz. Nie wiemy, kiedy znajdziemy drugie takie.

Shen kiwnął głową, jednak po chwili, nie odrywając oczu od rzeki, powiedział:

– Koryto jest szerokie. Moglibyśmy trzymać się środka i przyświecać sobie latarkami, pilnując, żebyśmy nie zboczyli z kursu ani z niczym się nie zderzyli.

Joel wydawał się zaskoczony.

– Wszystkim wam znakomicie wychodzi krytykowanie moich decyzji. Przyznaję, niektóre okazały się kiepskie. Ale jeśli dobrze zrozumiałem, sugerujesz, żebyśmy płynęli w dół rzeki w środku nocy, gdy kajmany, anakondy i Bóg wie jakie jeszcze stwory wpełzają na żer. Aha, i nie zapominajmy, że będziemy się poruszać w kompletnych ciemnościach. Sandeep opowiedział mi o waszej przygodzie z kajmanem, a przecież to działo się za dnia. To absurdalny pomysł. *Nie ma mowy*. Doceniam to, co zrobiłeś, Shen, naprawdę. Ale nie pozwolę na to.

Shen nadal mówił opanowanym głosem.

– Chodzi o to, żeby Nick jak najszybciej trafił do szpitala. Musimy znaleźć jakąś wioskę, zanim zaczniemy głodować, zanim zmuszeni będziemy pić brudną wodę i ludzie zaczną *umierać*.

– Mnie też to martwi, ale jedną noc damy radę jeszcze przetrzymać. Nocna żegluga rzeką może nas słono kosztować. Wiem, jakie przesłanki tobą kierują, Shen, ale podjąłem już decyzję.

Shen nie był chyba w stanie sformułować żadnej odpowiedzi i tylko patrzył w milczeniu na Joela. Tom przysłuchiwał się zdumiony tej wymianie zdań, ponieważ doskonale rozumiał, że Shen nie namawiałby do żeglugi nocą, gdyby stawką nie było życie – i to wcale nie tylko życie Nicka.

Joel odwrócił się od Shena i zawołał:

– Słuchajcie wszyscy!

Ludzie w międzyczasie zdążyli już rozejść się po wąskiej plaży. Teraz jednak wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

– Joel... – nie rezygnował jeszcze Shen, choć bez większego przekonania.

Chłopak go zignorował. Kiedy się odezwał, jego głos znów przybrał znany wszystkim władczy ton:

– Po namyśle uznałem, że żegluga nocą będzie niebezpieczna. Przenocujemy tutaj i wyruszmy dalej o świcie. Zaczniście szukać drewna na ognisko, tylko ostrożnie.

Spora część ludzi posłusznie zajęła się szukaniem drewna wyrzuconego na brzeg. Shen potrząsnął z irytacją głową. Alice i George popatrzyli zaniepokojeni

najpierw na niego, potem na Toma. A po chwili na Toma spojrzął również Joel i się uśmiechnął. Był to triumfalny uśmiech, co wydało się Tomowi dość zaskakujące. Nie miał pojęcia, jakie zwycięstwo mógł przypisywać sobie Joel, z wyjątkiem może faktu, że ludzie nadal wydawali się skłonni wypełniać jego polecenia. Jego triumfalnego nastroju najwyraźniej nie psuł nawet fakt, że Nick z pogruchotanym ciałem leżał na dnie tratwy.

Tom zauważył, że również Barney przygląda mu się z wyczekiwaniem, tak jakby chciał przypomnieć mu niedawną rozmowę, w której stwierdził, że uważa go za przyjaciela, który zawsze gotów jest nieść pomoc bliskim. Barney miał powody, żeby spoglądać teraz na niego takim wzrokiem. Z początku Tom mógł odgrywać rolę outsidera, jednak teraz już nie. Ci ludzie byli jego przyjaciółmi, a teraz oczekiwali, że zrobi to, co powinien był zrobić już dawno.

Sandeep, zbliżając się z naręczem drewna, zawołał:

– Joel, w którym miejscu rozpalimy ognisko?

Nim zdążył odpowiedzieć, ubiegł go Tom:

– W żadnym. Nie zostajemy tu.

Joel odwrócił się do niego. Nadal uśmiechał się w ten sam sposób.

– Tom, decyzja została już podjęta.

– Owszem, została podjęta. Ruszamy dalej. Z powodów wymienionych przez Shena.

– Serio?

– Serio.

– Nie chcę się z tobą spierać. Może najlepiej będzie, jeśli spytamy innych, co o tym sądzą. – Joel podniósł głos, zwracając się do pozostałych. – Słuchajcie. Tom nagle zapragnął objąć przywództwo. Decyzja należy do was. Możecie popłynąć w dół rzeki w egipskich ciemnościach. Nie będziecie w stanie dostrzec przeszkód na wodzie, nie zorientujecie się, czy czyha na was kajman. Nie będziecie mieć bladego pojęcia, dokąd tak naprawdę płyniecie. Albo możecie przeczekać noc tutaj, na tej plaży, a wyruszyć o świcie. Wybór należy do was. Możecie dołączyć do załogi Toma albo zostać na mojej tratwie.

Chwila ciszy, jaka nastąpiła potem, zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Tom zaczął nawet podejrzewać, że błędnie zinterpretował wyrazy twarzy i nastroje panujące w grupie.

Ale chwilę później Barney podniósł rękę i uśmiechnął się w taki sposób, jakby fakt, że popiera Toma, powinien być zrozumiały sam przez się.

– Oczywiście, że popłynę razem z Tomem i Shenem.

– Ja też – powiedziała Alice.

– I my – oznajmiła Kate, wypowiadając się za siebie i Emmę.

Kiedy również Jess podniosła rękę, George uśmiechnął się do niej.

– Wydaje mi się, że ludzie z naszej tratwy zamierzają trzymać się razem – zauważył.

Joel potrząsnął głową, a na jego twarzy odmalowało się szyderstwo.

– To było do przewidzenia. W porządku, w takim razie postanowione: rozdzielimy się.

– Chwileczkę – odezwał się Chris, a w tym samym momencie pewność siebie Joela po raz pierwszy się zachwiała. – Uważam, że nie powinniśmy się rozdzielać. Wydaje mi się, że to zły pomysł. Chodzi mi o to...

– Chris? – weszła mu w słowo Chloe.

– Wybacz, Chloe. Ten facet – wskazał Toma – uratował mi życie. Tobie zresztą też, Joel.

– Nie wiesz tego. Nie masz pojęcia, co by się stało, gdyby...

– Ależ wiem, Joel. I wystarczy mi to, co wiem. Idę tam, gdzie pójdzie Tom.

Joel zwrócił się do Toma i pełnym jadu głosem powiedział:

– Tego właśnie chcesz? Teraz, gdy wszystkie najtrudniejsze decyzje zostały już podjęte, zachciało ci się być przywódcą?

– Naprawdę dalej nic nie rozumiesz? – Tom potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Nie potrzebowaliśmy przywódcy. Jesteśmy tylko grupką dzieciaków, które zgubiły się w dżungli. Wystarczyło, żebyśmy słuchali siebie nawzajem. Gdybyśmy robili tak od początku, ci, którzy zginęli, być może nadal byliby z nami.

– Nie masz prawa winić mnie za to, że zginęli! – warknął Joel, ruszając



agresywnie w jego stronę. – Nikogo nie zabiłem!

Tom się nie cofnął. Wydawał się w tej chwili niezachwianie pewny siebie, co sprawiło, że Joel zwolnił kroku i zatrzymał się metr przed nim.

– To prawda, ty nikogo nie zabiłeś. Za to ja tak. Wszyscy robiliśmy różne rzeczy, ponieważ pozwoliliśmy, żebyś ty wydawał polecenia. Ale teraz się to zmieni. Ruszamy dalej. Zwiążemy ze sobą obie tratwy i płyniemy.

Joel chciał się chyba dalej spierać, jednak omiół spojrzeniem otaczające go twarze i tylko potrząsnął głową. Nadal przybierał szyderczą pozę, jednak z każdą chwilą wydawała się ona coraz bardziej sztuczna.

– W porządku! Róbcie, jak chcecie. Ale kiedy stanie się coś złego, a jestem pewien, że to nas czeka, pamiętajcie, że was ostrzegałem.

Sandeep momentalnie upuścił na ziemię uzbierane drewno.

– Tom, co mamy robić?

– Trzeba związać ze sobą obie tratwy. Ta z Nickiem będzie z tyłu. Shen powinien z nim zostać, może parę innych osób...

– Ja zostanę – powiedział Chris.

– Ja też – zaproponowała Mila.

Po chwili zgłosiła się również Chloe.

– W porządku – powiedział Tom. – Tyle osób powinno wystarczyć. W drugiej łodzi będzie trochę tłoczno, ale najważniejsze, żeby Nick mógł wygodnie leżeć. Spytajcie Shena i Barneya, czy jest coś, co możecie zrobić. Wyruszajmy tak szybko, jak to możliwe. Nick musi trafić do szpitala.

Ludzie się zakrzętnęli. Shen i Barney wydawali polecenia, które były błyskawicznie wykonywane: dosunięto do siebie i związane ze sobą obie tratwy, a ich dno wyłożono plecakami.

– Brawo – rzuciła półgłosem Alice, kiedy przechodziła obok Toma.

Roześmiał się nieznacznie. Kiedy po chwili George po przyjacielsku trącił go w ramię, roześmiał się już głośniejsze.

– W końcu – powiedział George.

Pies nagle warknął, a Tom zobaczył, że Joel idzie wzdłuż plaży w kierunku

drzew. Kate również za nim spojrzała.

– Tom, poszłam szukać cię w dżungli – powiedziała – ale dla niego nie mam zamiaru tego powtarzać.

Tom uśmiechnął się do niej, ale nie odrywał wzroku od Joela. Zachowanie tego chłopaka wprawiało go w konsternację. Zachodził w głowę, czy Joel chciał zostać na plaży, czy może chciał się zgubić, licząc na to, że jeśli nie wróci, inni bez niego nie popłyną. W każdym razie zaczynał działać mu na nerwy.

Ruszył śladem Joela, a pies pobiegł za nim. Dogonił chłopaka, gdy ten wchodził już między drzewa.

– Hej!

Joel zatrzymał się i powoli odwrócił.

– Chcę się wysikać. Do tego też potrzebuję twojego pozwolenia?

– Śmiało, zaczekam tutaj – stwierdził Tom. A gdy Joel zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem, dodał: – Płyniesz z nami, nawet jeśli będę musiał przywiązać cię do łodzi.

– Wydaje ci się, że wielki z ciebie bohater, co?

Tom wiedział, że przez Joela przemawia teraz zranione ego. Nie miał ochoty na tego typu rozmowy.

– Wysikaj się, a potem się stąd wyniesiemy.

– Nie chce mi się aż tak bardzo. – Joel zawrócił ku brzegowi i skierował się z powrotem do tratw. Tom podrapał psa po łbie i ruszył jego śladem.

## ROZDZIAŁ 50

**K**wadrans później znów byli na rzece. Z początku na tratwach panowała dość sztywna atmosfera – wszyscy próbowali rozmawiać swobodnie, tak jakby nie doszło do żadnej sprzeczki, jakby Joel nie siedział nadąsany przy burcie przedniej tratwy. W końcu jednak zapomnieli chyba o jego obecności i sytuacja trochę się rozluźniła.

Rzeka nadal rozlewała się tu szeroko, a jej powierzchnia była idealnie płaska. Brzegi porastała gęstwina. Toń wydawała się równie bezdena co zawsze. Płynęli teraz dość daleko od brzegu. Może dlatego pies wydawał się spokojniejszy i szczeknął czy warknął tylko kilka razy.

Barney zajął się budowaniem noszy dla Nicka. Wykorzystał do tego ramy od zdemontowanych plecaków. Pozostali, mimo ciasnoty na pokładzie, chętnie mu pomagali. A kiedy nie mieli nic do roboty, przyglądali się z zafascynowaniem jego poczynaniom.

Po godzinie, gdy zbliżał się zmierzch, Alice rozdzieliła pozostałe przekąski i wszyscy się posilili. Tom podzielił się swoją porcją z psem, a inni z załogi poszli za jego przykładem.

I właśnie wtedy, po raz pierwszy odkąd porzucili plażę, odezwał się Joel:

– To nasze ostatnie jedzenie, a wy oddajecie je psu.

Nikt mu nie odpowiedział. Ludzie z tym większą sympatią zaczęli odnosić się do psiaka. Alice uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

– Nie nadaliśmy mu nawet imienia, prawda? Jak go nazwiemy. Tom, jakiś pomysł?

– Może coś po hiszpańsku? – zaproponował.

– Jak jest pies po hiszpańsku? – spytała Emma.

Z odpowiedzią pospieszył Joel:

– *Perro*.

Wypowiedział to słowo tak naburmuszonym tonem, że Tom z najwyższym trudem powstrzymał śmiech.

– *Perro* – powtórzył.

Psiak momentalnie postawił uszy na sztorc i spojrzał na Toma, co wywołało ogólną wesołość. Przez następne parę minut wszyscy po kolei zwracali się do zwierzaka tym najprostszym z hiszpańskich psich imion. I w ten sposób ich czworonożny przyjaciel został obdarzony imieniem *Perro*.

Nie przestawali wiosłować i po upływie kolejnych trzydziestu minut wydało im się, że otaczająca ich dżungla jakby wstrzymała oddech w oczekiwaniu na coś. A zaraz potem ze wszystkich stron otuliły ich atramentowe ciemności. Ich świat skurczył się do tratew, na których siedzieli.

Ponieważ nie wiedzieli, ile jeszcze wytrzymają baterie w latarkach, postanowili, że będą używać ich pojedynczo. Jedna osoba ustawiała się za dwójką wiosłarzy i omiatała snopem światła rzekę z przodu. Światło rzadko docierało do brzegu, dlatego widzieli wokół siebie wyłącznie wodę.

Mieli wrażenie, że płyną zupełnie bezgłośnie. Hałasy dżungli nie ustawały, a delikatny chłupot wody po zanurzeniach wiosł tworzył złudzenie, że zamiast się poruszać, trwają w bezruchu w ciemności.

Osoby, które nie wiosłowały i nie przyświecały latarką, drzemały z tyłu. Tom nie zmrużył jednak oka. Najpierw powstał z latarką, potem zmienił jednego z wiosłarzy i wiosłował przez kilka godzin. Ciągła koncentracja i ból wyczerpanych mięśni skutecznie odsuwały myśli o jedzeniu. Nie mógł już sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatni raz spał.

Wreszcie usłyszał, jak ktoś poruszył się z tyłu.

– Tom, mogę cię teraz zmienić – powiedział cicho Sandeep. – Wiosłujesz bez przerwy od kilku godzin.

– Dam radę jeszcze trochę.

– Prześpij się. Pozwól mi powiosłować.

Tom oddał mu wiosło, a potem po omacku przeszedł do miejsca, w którym

siedział wcześniej Sandeep.

Niemal natychmiast zapadł w sen. I od razu przyśniło mu się coś dramatycznego. Klęczał, ściskając w rękach prowizoryczną włócznię. Czyjeś ciało nadziało się na jej ostrze, a wtedy on pchnął drzewiec. Wyczuł opór stawiany przez chrząstki i kości, słyszał chrzęst, gdy grot wbijał się w twarde tkanki. Kiedy jednak podniósł spojrzenie, zamiast twarzy starszego mężczyzny, ujrzał oblicze młodego strażnika. Zaraz potem znalazł się w stodole. Trzymał w dłoni pistolet sygnałowy, naciskał spust. Była tam też Alice i z jakiegoś powodu krzyczała, żeby tego nie robił. Nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi. W następnej chwili flara przeleciała przez stodołę i trafiła w brzuch Chrisa, który stał pod słupem, skrępowany linami.

Tom przebudził się gwałtownie. Jego całe ciało naprężyło się, a serce waliło mu wściekle w piersi. Uspokoił się dopiero, gdy przypomniał sobie, gdzie się znajduje – zobaczył poruszający się powoli snop latarki, usłyszał chłupot wody pod wiosłami.

Po chwili uspokoił mu się też oddech. Z ciemności dobiegł go łagodny głos Alice:

– Dobrze się czujesz?

Siedziała tuż obok niego. Tom nie wiedział, czy była tu od początku, czy może dosiadła się, kiedy spał.

– Tak.

– Podskoczyłeś nagle, jakby przyśnił ci się jakiś koszmar.

– Tak, coś mi się śniło. Nie pamiętam dokładnie, ale w tym śnie działo się coś złego.

– Miało to jakiś związek z tym, co wydarzyło się w fabryce kokainy?

– Tak.

Nie odpowiedziała, ale po chwili poczuł, jak bierze go za rękę i lekko ściska. Innej odpowiedzi nie potrzebował. Był jej absurdalnie wręcz wdzięczny za tę chwilę ludzkiego kontaktu.

Nie puściła jego dłoni, ale po chwili powiedziała:

– Pamiętaj, zawsze możesz ze mną pogadać, jeśli będziesz potrzebował. A jeśli

nie, to też dobrze.

– Nie ma o czym mówić. Ale nie mogę przestać myśleć o tym dzieciaku, który pilnował ich obozu...

– Ja też ciągle o nim myślę. Wyglądał na niewiele starszego od nas.

Mimo że nie widzieli siebie w ciemności, Tom skinął głową. Poczł się lepiej, wiedząc, że Alice myśli w podobny sposób.

– Jestem pewien, że zabiłby nas bez chwili wahania, podobnie zresztą jak oni wszyscy. Ale ta myśl i tak nie pomaga.

– To prawda – przyznała. Po chwili namysłu dodała: – Wolę nie wyobrażać sobie, co by się stało, gdybyś wtedy nie interweniował.

Przypomniał sobie Chrisa i Joela, którzy stali przywiązani do belki. Pamiętał podbite oko Chrisa, nagą pierś Joela, z której zdarto koszulkę. Przypomniał sobie spojrzenie wyzierające z oczu mężczyzn, których zabił.

– No tak – powiedział. A potem żadne z nich nie odzywało się przez długą chwilę.

– Powinieneś jeszcze pospać – powiedziała w końcu Alice. – Ja tu będę przez cały czas.

Wiedział, co miała na myśli. Trzymała go za rękę i to miał być pomost, który ściągnie go z powrotem ku jawie, gdy dopadną go złe sny.

– Dzięki – powiedział i zamknął oczy.

Pozwolił, by senność napływała ku niemu falami. Jednak tym razem żadne sny nie nadeszły i spał spokojnie.

## ROZDZIAŁ 51

O budził się, gdy z drugiej tratwy doleciał go głos Chrisa:

– Ale dziwne. Zawsze zaraz po przebudzeniu muszę się wysikać. A teraz wcale mi się nie chce.

Tom, nadal na wpół pogrążony we śnie, uśmiechnął się do siebie. A potem znowu, gdy Chloe powiedziała:

– No to chyba wszyscy mamy farta.

Zaraz też uświadomił sobie, że Alice nadal trzyma go za rękę. Otworzył oczy i rozejrzał się wkoło. Było już jasno, jednak zdążył na tyle dobrze zaznajomić się z subtelnymi zmianami oświetlenia, by szybko domyślić się, że dopiero niedawno wstał nowy dzień. Alice spała przy nim. Większość osób też spała, ale teraz zaczynały się wiercić, zbudzone głosami.

W końcu obudziła się też Alice. Puściła jego rękę i się przeciągnęła.

– Dzień dobry – powiedział Tom.

– Dzień dobry – odparła z uśmiechem, ale zaraz zrobiła zasepioną minę. – Mam wrażenie, jakby jakieś stworzenie umarło mi w ustach i teraz się rozkładało.

Barney teatralnym gestem podał jej tubkę pasty do zębów.

– Pasta wielozadaniowa. Świetnie nadaje się między innymi do oszukiwania głodu.

– Barney, jesteś geniuszem – powiedziała Alice, przyjmując tubkę.

Tom zerknął na przód tratwy, gdzie wiosłowały Kate i Jess. Potem omiół spojrzeniem rzekę. Wyglądała tak samo jak wieczorem, tak jakby przez całą noc nie pokonali żadnej odległości. Wpływali właśnie w płytki zakręt w prawo, ale nawet on wydawał się kopiać odcinka, który widzieli o zachodzie słońca.

Teraz nie spał już nikt z wyjątkiem Perro, który zwinął się w kłębek na środku tratwy. Ludzie podawali sobie tubki pasty i resztki wody.

– Jak się czuje Nick? – spytała Alice.

Głos, który w odpowiedzi dobiegł z dna tratwy, należał do głównego zainteresowanego:

– Całkiem nieźle.

– Świetnie – odkrzyknęła Alice, mimo że Shen posłał jej ponure spojrzenie, które stało w rażącej sprzeczności z tym, jak oceniał swój stan pacjent.

Paradoksalnie, mimo że byli w nieco gorszej sytuacji niż przed zapadnięciem nocy, nastroje dopisywały. Większość osób gawędziła uprzejmie, a Chris i Chloe nawet dokuczali sobie na żarty. I tylko Joel wydawał się podejrzanie małomówny. Siedział z dziwnie zadowoloną miną, którą trudno było rozszyfrować.

Tom przyjął odrobinę pasty do zębów, którą poczęstowała go Alice. Dzięki niej odświeżył usta, ale był niemal pewien, że jego głód tylko się wzmógł. Popatrzył znów w przód. Płytki zakręt przyniósł, jak się zdawało, pewną zmianę – rzeka rozlewała się tu jeszcze szerzej.

– Może zmienić kogoś przy wiosle?

Jess odwróciła się do niego z uśmiechem.

– Nie wiosłujemy długo. Wcześniej zmieniliśmy Sandeepa i Barneya.

Wtem Kate, która siedziała przy lewej burcie, zawołała:

– O Boże! – Zaczęła wiosłować energiczniej. Wykonała sześć szybkich zamachów wiosłem, po czym wyciągnęła sztycę. – O mój Boże! Miasto! Widzę *miasto!*

Podjęła wiosłowanie, to samo zrobiła Jess. Chris chwycił za wiosło w drugiej tratwie i zaczął wiosłować na lewej burcie. Tom widział, że brzeg jest tu wysoki, ale otwiera się za zakrętem. A już w następnej chwili zobaczył to, co wcześniej wypatrzyła Kate ze swojej pozycji na burcie.

Jego oczom ukazały się drewniane pomosty i przycumowane do nich łódeczki. Nad stromym brzegiem wznosiły się budynki. Było jasne, że nie jest to budownictwo charakterystyczne dla lokalnych plemion, lecz architektura kolonialna. Jeden z budynków mieścił chyba urząd celny. Stał tam kościół, którego długie schody schodziły ku rzece. Gmachy otoczone były mniejszymi domami.



Z poziomu rzeki niemal nie widać było ich dachów, jednak wznosiły się równo. Gdźieniedzie pomiędzy nimi rosły pojedyncze palmy.

Nie mieli pojęcia, co to za miejsce. Nie wiedzieli nawet, na terytorium jakiego kraju się znajdują. To miasto w dżungli zrobiło na nich zupełnie surrealistyczne wrażenie. Kilka dni wcześniej Barney w żartach wspomniał o ośrodku wczasowym przy plaży. Ale to, co oglądali teraz, wydało im się równie niesamowite.

Wiosłowali jak w transie. Na tratwach zrobiło się zamieszanie. Perro w końcu się obudził i w gwar wkradło się jego radosne poszczekiwanie. W końcu przybili do kamiennych stopni, zapewne ułożonych tam setki lat wcześniej przez hiszpańskich zdobywców. George zeskoczył na brzeg z liną i przywiązał ją do słupka.

Po chwili wszyscy weszli na brzeg. Stojąc na schodach, przeciągali się po długim siedzeniu. Przez chwilę wydawali się ogłuszeni, jakby nie wiedzieli, co robić dalej. Wreszcie uwaga skupiła się na Nicku. Shen polecił, żeby umieścić go na noszach.

Kiedy podnieśli go z dna tratwy, chłopak zawył z bólu.

– Nie! Nie! Zostawcie mnie tutaj! – krzyknął.

Shen zignorował jego błagania, a po kilku sekundach oznajmił:

– Gotowe. Teraz zniesiemy cię na brzeg.

Gestem wskazał Chrisowi i George'owi, żeby podnieśli prowizoryczne nosze. Poszli przodem, a cała grupa ruszyła za nimi. Dopiero gdy wspięli się na szczyt schodów, a ich oczom ukazał się w całej okazałości kościół i niewielka osada zbudowana na schodzącym do rzeki zboczu wzgórza, Tom zorientował się, że nie ma z nimi Joela.

Nim zdążył cokolwiek zrobić, podszedł do niego Shen i powiedział:

– Dobra robota. Obiecałeś, że nie dopuścisz, by ktokolwiek więcej zginął. I dotrzymałeś słowa.

– Dziękuję. Ale nie wydaje mi się, żeby to była w całości moja zasługa. Wszyscy robili, co w ich mocy. No i sprzyjało nam szczęście.

– Szczęście to coś, co tworzą nasze wysiłki. Dowiedziono tego naukowo. A dzięki twoim wysiłkom nam również sprzyjało. – Shen uśmiechnął się

i wyciągnął do niego rękę. – Tak czy inaczej, to był dla mnie zaszczyt.

– I wzajemnie – odparł Tom, ściskając mu dłoń.

Po chwili zbliżył się Barney i jemu też Tom uścisnął dłoń. Z rozbawieniem zauważył, że obaj chłopcy, Shen i Barney, wydają się młodszy od wszystkich pozostałych, lecz zarazem w jakiś sposób znacznie starsi i mądrzejsi. Cenił ich z tego powodu i był pewien, że grupa zawdzięczała przeżycie w większym stopniu im niż jemu.

Otworzyły się drzwi kościoła i Tom odwrócił się w tamtą stronę, czując lekką treść. Po ponad tygodniu spędzonym tylko we własnym towarzystwie mieli teraz spotkać dorosłego – człowieka, który wreszcie się nimi zajmie.

Ku ogólnemu zdziwieniu w drzwiach kościoła pojawił się Joel. Tom nie umiał powstrzymać śmiechu na jego widok. Chłopak zachowywał się, jakby wydarzenia ostatniej doby nigdy nie miały miejsca.

– Jest jeszcze wcześnie – powiedział. – Może chodźmy tą uliczką. Sprawdźmy, czy zastaniemy kogoś w tych domach.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył szeroką, pylistą drogą wiodącą od kościoła ku domom. Domostwa kryły się za sztachetowymi płotami w różnych stadiach zniszczenia. Reszta grupy poszła za nim.

Alice zrównała się z Tomem.

– No proszę, a ten znów idzie na przedzie. Cóż za niespodzianka – powiedziała.

– Nic już nam nie grozi. Może robić, na co ma ochotę.

Po chwili zauważyli dziecięcy rower oparty o płot jednej z posesji. Nadal jednak nie zobaczyli ani żywego ducha.

– Dziwne, że kiedy się zgubiliśmy, wydawało nam się, że na całym świecie wydarzyła się jakaś wielka zmiana – odezwała się Alice, spoglądając na rowerek. – No wiesz, ludzie zaczęli przebąkiwać o upadku meteorytu i tego typu sprawach. Okazuje się jednak, że nic się nie zmieniło. Absolutnie nic.

Tom uśmiechnął się, jednak myślał coś innego – może świat faktycznie się zmienił, zmienił się nie do poznania, lecz przemiana ta była dostrzegalna wyłącznie dla nich. I może odpowiedź kryła się w fakcie, że każdy zamieszkuje taki świat,

jaki sam sobie stworzy. Nie podzielił się z nią tymi przemyśleniami. Zamiast tego powiedział tylko:

– Na razie nie widzieliśmy żadnych mieszkańców.

Alice nie zdążyła nic odpowiedzieć, bo w tej chwili usłyszeli głos Joela.

– ¡*Hola!* – zagaił radosnym tonem.

Momentalnie wróciło niepokojące wspomnienie chwili, gdy Joel wchodził do obozu producentów kokainy. Zaraz jednak Tom dostrzegł osobę, z którą witał się chłopak. Była to otyła kobieta stojąca na ganku, tuż obok niej stał jakiś maluch.

– *Hola*. Mówi pani po angielsku? ¿*Inglés? Habla Inglés?* – Kobieta potrząsnęła głową i przyjrzała się nieufnie całej grupie. Chłopak powtórzył głośniejszym głosem, jakby brak zrozumienia wynikał po prostu z faktu, że kobieta go nie usłyszała. – ¡*Inglés!*

Kobieta powiedziała coś dzieciakowi, który kiwnął głową i dokądś pobiegł. Tom pomyślał, że może i znajdą w tym miasteczku wybawienie, jednak na razie miał mieszane uczucia. Po chwili na pylistej drodze zjawił się SUV. Nim zbliżył się do grupy, na jego szoferce zamigotał krótko kogut.

– Myślisz, że tutejsi gliniarze mówią po angielsku? – zagadnęła go Alice.

Kiedy samochód zahamował, Joel zbliżył się do niego. Policjanci, którzy niespiesznie wysiedli z kabiny, sprawiali wrażenie nieco zaciekawionych.

– Miejmy nadzieję, że się tego dowiemy, nim Joel zarobi kulkę.

Alice parsknęła śmiechem. Co prawda Tom ostatnią uwagę wypowiedział żartobliwym tonem, jednak już po kilku sekundach nabrała ona dość złowieszczy wydzźwięku. Joel nie przestawał mówić, a policjanci przypatrywali mu się niezbyt przyjaźnie. Kiedy chłopak wyciągnął do jednego z nich rękę, mężczyzna momentalnie odtrącił ją, a drugą sięgnął po pistolet.

– O Jezu – jęknęła Alice. – Co on wyrabia?

Tom potrząsnął głową, a po chwili wyszedł przed grupę i zawołał:

– ¡*Señor!*

Było to jedno z niewielu słów po hiszpańsku, jakie znał. Przypomniało mu teraz o czymś, co wydarzyło się rankiem w dniu katastrofy – wróciło do niego mgliste wspomnienie hiszpańskiego imienia. Pamiętał, że należało do osoby, której nawet

nie znał. Zsunął plecak z ramion i sięgnął do środka. I już po chwili w kieszeni podartych bojówek znalazł to, czego szukał. Z uśmiechem zacisnął palce na złożonym w kostkę kawałku grubego papieru.

Była to karta pokładowa niejakiego Miguela Fernandez. Kiedy Tom wyciągnął ją z plecaka, miał wrażenie, jakby człowiek, do którego należała, zginął w jakimś odległym stuleciu. Policjant nadal nie zdejmował dłoni z chwytu pistoletu, ale widząc kartkę trzymaną przez Toma, wyciągnął po nią ostrożnie rękę.

Joel utkwiał spojrzenie w Tomie.

– Sam bym sobie poradził. Nie musiałeś...

Policjant spiorunował chłopaka spojrzeniem i wycelował w niego palec. Gest był wystarczająco sugestywny, by Joel z przestachem cofnął się o krok.

Policjant, usatysfakcjonowany tym, że nieznajomy wykonał polecenie, skupił się na studiowaniu karty pokładowej. Kiedy w końcu zrozumiał, popatrzył ze zdumieniem na Toma i rzucił parę słów po hiszpańsku.

Tom skinął głową i wskazał całą grupę.

Policjant przeżegnał się i zawołał do kobiety na ganku. W odpowiedzi wydała z siebie krótki okrzyk i wzniosła ręce. Ruszyła pospiesznie do drzwi i zaczęła ciągnąć ku nim niektóre z dziewcząt. Gestem pokazała chłopcom, żeby wnieśli do środka nosze z rannym.

Po chwili drogą nadbiegł chłopiec, którego wcześniej widzieli, w towarzystwie księdza. Ksiądz zawołał coś wesoło do policjanta, a ten w odpowiedzi wskazał Toma.

Ksiądz obrzucił Toma zdumionym spojrzeniem.

– Jestem ojciec Francisco. Lecieliście tym samolotem, który zaginął?

– Tak, tylko my ocaleliśmy. Rozbiliśmy się w górach ponad tydzień temu. Przypłynęliśmy tu rzeką, na tratwach. Podejrzewam, że pokonaliśmy długą drogę. Nie wiemy nawet, co to za kraj.

– Witajcie w Brazylii. Jednak to, gdzie się rozbiliście, nadal pozostaje tajemnicą. Całą drogę pokonaliście rzeką?

– Najpierw wędrowaliśmy przez dżunglę.

Ksiądz utkwiał w nim spojrzenie swoich ciemnych, przepelnionych radością oczu.  
Wreszcie ujął Toma za ramiona.

– To cud. Najprawdziwszy cud.

Tom pokiwał głową, bo w tej chwili był pewien, że tego właśnie doświadczyli.

## ROZDZIAŁ 52

Nick i część grupy zostali w domu kobiety. Resztę ksiądz zaprosił na plebanię i wprowadził do dużego salonu. Było jeszcze wcześniej i w budynku panował przyjemny chłód. Dwa wentylatory obracały się leniwie pod sufitem. Gospośia poczęstowała przybyłych kawą i ciastem, którego lepka słodycz wprowadziła wszystkich w stan milczącej euforii.

Dopiero teraz, gdy wszyscy zajęli się pałaszowaniem, Tom rozejrzał się wokół i zauważył, że znowu podzielili się na dwie grupy. Z wyjątkiem Shena, który czekał u boku Nicka na przybycie lekarza, na plebanię przyszli praktycznie ci sami ludzie, którzy pierwotnie zgłosili się na ochotników do grupy uciezkowej Toma.

Nikom nie chciało się odzywać. Kiedy gospośia zaczęła smażyć jajecznicę z szynką, i gdy poczuli napływający z kuchni pyszny zapach, George nie umiał powstrzymać łez. Kate próbowała go pocieszyć, kładąc mu rękę na ramieniu. On jednak roześmiał się przez łzy.

– Od tak dawna marzyłem o bekonie!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i nagle zrobiło się głośno. Dopiero teraz, gdy byli już bezpieczni, ludzie zaczęli wspominać niektóre wydarzenia ostatnich dni. Ojciec Francisco zajrzał do nich kilka razy, jednak nie przeszkadzał im, a tylko zachwycał się Perro.

Wszyscy zadzwonili do rodziców i drżącym od płaczu głosem poinformowali, że są cali i zdrowi. Niedługo potem dołączył do nich Shen. Kilka osób poderwało się ze swoich miejsc i mocno go wyściskało. Chłopak ewidentnie czuł się skrępowany ich gestami. Ze wzruszeniem ramion wyjaśnił:

– W końcu przyjechał lekarz, a z nim też miejscowy polityk. No to się zmyłem.

– Brakowało nam tu ciebie – powiedział z uśmiechem Barney.

– Wolę być z wami. Poza tym... okazało się, że polityk mówi po angielsku.

I teraz Joel oraz inni opowiadają mu o wypadkach w dżungli, tylko że przedstawiają je w inny sposób, niż ja je zapamiętałem...

Alice zerknęła na Toma.

– A kogo to teraz obchodzi? Wystarczy, że my wiemy, co tak naprawdę się wydarzyło. Tylko to się liczy.

I przez pewien czas faktycznie mieli wrażenie, że nic poza ich niewielką grupą nie ma znaczenia. Kilka razy słyszeli, jak ktoś wchodzi do budynku i zamienia parę słów z księdzem albo gosposią. Słyszeli warkot silników zajeżdżających pod plebanię samochodów, a dwa razy nawet śmigłowców, które przeleciały nisko i chyba wylądowały niedaleko.

Nikt im jednak nie przeszkadzał, mogli rozmawiać i śmiać się do woli. Momentami zapadała między nimi cisza. A Tom przez cały ten czas był pośród nich, stał się częścią tej grupy. W rozmowie z panią Graham zażartował, że dwa tygodnie to zbyt krótki czas, by ktoś dobrze go poznał. A mimo to czuł się teraz związany z niektórymi z tych osób bardziej niż z kimkolwiek innym w całym swoim życiu.

Późnym porankiem ojciec Francisco do nich wrócił.

– Po lunchu przypłynie po was łódź i zabierze was do większego miasta. Zostaniecie tam przebadani i spędzicie noc, a następnego dnia polecicie do domu.

Tom zauważył, że Alice zrobiła się niespokojna na wieść o tym, że znów ma znaleźć się w powietrzu. Zmartwiło go to, ponieważ dotychczas niewiele rzeczy potrafiło wyprowadzić ją z równowagi. To kolejny raz uświadomiło mu, że tak naprawdę wcale nie znał jej zbyt dobrze, przynajmniej na razie. Pomyślał, że pozostaje mu czwarta klasa, by naprawdę zakumplować się z tymi ludźmi i stać się w ich oczach osobą, którą chcieliby mieć za przyjaciela.

– A co z Nickiem? – spytał Shen.

Ojciec Francisco uśmiechnął się niepewnie.

– Ach, chodzi ci o tego rannego chłopca – domyślił się po chwili. – Czuje się dobrze. Wyruszy po was, ale na miejsce dotrze przed wami. Zabierze go drugi śmigłowiec. – Ksiądz popatrzył na Perro, który usiadł obok niego. – Wasz psiak ma

jakieś imię?

– Perro – wyjaśnił Tom.

– Ach, zatem hiszpańskie. Po portugalsku na psa mówimy *cão* albo *cachorro*. Ale Perro to ładne imię. – Ksiądz zrobił zmartwioną minę. – Problem polega na tym, że trudno wam będzie zabrać go ze sobą.

– Był naszym pupilem – wtrąciła się Kate. – Tom go uratował.

– Pies to świetny kompan w dziczy. Mój zdechł przed miesiącem. Miał trzynaście lat, a więc jak na psa dożył całkiem poważnego wieku. Po jego śmierci pomyślałem, że nie sprawię sobie nowego, ale...

Tom uśmiechnął się, widząc, jak pies składa łeb na kolanie księdza. Zwierzak zachowywał się tak, jakby od zawsze stanowili nierozłączną parę. Egoistyczna strona natury Toma podpowiadała mu, żeby stawił czoła przeciwnościom i zabrał psiaka do domu. Miał jednak przeczucie, że ocalił życie Perra właśnie po to, by mógł trafić tutaj, znaleźć dom, w którym będzie naprawdę kochany.

– Nie mogę go oddać, ojcie. Nie jest moją własnością, a więc nie mogę nim dysponować. Ale może mógłby się ojciec nim opiekować w moim imieniu?

– Z największą przyjemnością. Wiesz... – nie dokończył, bo rozległo się pukanie do drzwi. Ksiądz nasłuchiwał, a gdy gospościa go zawołała, powiedział: – Przepraszam was na chwilę.

Kiedy ksiądz wyszedł, George zwrócił się do Toma z udawanym oburzeniem:

– Nie do wiary, że chcesz oddać naszego psiaka. Za kogo ty się masz? Za naszego przywódcę?

Tom bez zmrużenia oka wszedł w rolę.

– No wiesz, *stary*. Podjąłem decyzję.

– Powinieneś być najpierw skonsultować ją z Joelem – zauważyła śmiertelnie poważnym tonem Alice. – Dobrze wiesz, że on tylko chce nam *pomóc*.

W tym momencie w drzwiach pokoju stanął ojciec Francisco.

– Tom, mógłbym zamienić z tobą słowo?

– Naturalnie.

– Na osobności.



– No pewnie.

Wstał z fotela i poszedł za księdzem. Odprowadzały go zaniepokojone spojrzenia. W pokoju zapadło milczenie i dopiero po chwili Alice przywołała z powrotem Perra. Poszli do gabinetu księdza. Panował w nim nieład. Ojciec Francisco odwrócił się do Toma ze zmartwionym wyrazem twarzy.

– Wygląda na to, że jeden ze śmigłowców przywiózł ekipę telewizyjną miejscowej stacji. Przed chwilą odwiedzili mnie reporter i operator kamery, to do nich wyszedłem. – Tom skinął głową. Nadal nie rozumiał, dlaczego przybycie telewizji miałyby stanowić taki problem. Nie wiedział też, co ma to wspólnego z nim. Na razie było za wcześnie, żeby zdobył się na dystans wobec wypadków w dżungli, ale i tak miał świadomość, że media będą bardzo zainteresowane ich historią i że po powrocie do domu staną się sławni. Ksiądz zauważył chyba zmieszana minę Toma, bo po chwili dodał głosem pełnym żalu: – Dopytywali konkretnie o ciebie. Interesuje ich ta fabryka kokainy.

– Ach tak.

Najwidoczniej reporter rozmówił się już z Joelem i ludźmi z jego grupy. A może rozmawiał z nimi lokalny polityk. Najważniejsze było to, że Joel i jego znajomi opowiedzieli już komuś swoją wersję wydarzeń. I nic nie wskazywało na to, by mieli tego zaniechać w przyszłości, bo gadanie było ich specjalnością.

Tom zrozumiał, że ich podróż do domu nigdy tak naprawdę się nie skończy. Wkrótce przyjdzie czas na wywiady. Na temat katastrofy i ocalonych rzuci się cała prasa. Ruszy machina spekulacji bez końca. Nigdy już nie zdołają powrócić do prawdziwego świata – odtąd mieli żyć w tej nowej rzeczywistości, której częścią będzie fabryka kokainy w samym sercu dżungli i to, czego się w niej dopuścił.

– A więc to prawda? – spytał ksiądz. – To, o czym wspominali ci ludzie z telewizji?

Tom skinął głową.

– Dwóch chłopców, którzy są w tamtym domu, zostało schwytanych. No i... Nie będę się nawet starał, żeby to zabrzmiało mniej drastycznie. Zamiast tego powiem po prostu, co się tam stało. Zabiłem ich. Nie wiem nawet ilu. Podejrzewam, że

około sześciu mężczyzn. Zabiłem ich wszystkich. To był jedyny sposób, by uratować Joela i Chrisa.

– Ale jak to możliwe? Przecież jesteś tylko młodym chłopcem.

– Wysadziłem w powietrze baraki. Jeden z mężczyzn, którzy byli razem z Joelem i Chrisem w stodole, praktycznie sam nadział mi się na włócznię. Drugiego zastrzeliłem z pistoletu sygnałowego.

Ojciec Francisco wpatrywał się w niego oniemiały. W końcu znalazł właściwe słowa:

– I jak się z tym czujesz?

Tom pomyślał o młodym strażniku. O ostatnim wieczorze jego życia, który spędził na warcie. Wydawał się wtedy przygnębiony. Może fantazjował o lepszym życiu.

– Nie wiem, co innego mógłbym wtedy zrobić – powiedział. Po chwili przypomniał sobie jedyny, niespodziewany pozytywny skutek tamtych wydarzeń. – To tam znaleźliśmy Perro.

Ksiądz położył mu dłoń na ramieniu.

– Szkoda, że nie zostaniesz tu dłużej. Ale pamiętaj, żeby o tym z kimś porozmawiać, kiedy już dotrzesz do domu. I nie chodzi mi o dziennikarzy, lecz o terapeutę, lekarza... Może nawet księdza.

– Tak zrobię. Dziękuję.

– Aha, i licz się z tym, że prasa będzie przekręcać twoje słowa i wyolbrzymiać. Już teraz słyszałem, jak jeden z reporterów mówił, że w dżungli zupełnie nad sobą nie panowałeś i byłeś niebezpieczny.

– Może tak faktycznie było – przyznał Tom, choć z łatwością się domyślił, że to określenie jego osoby nie było akurat dziełem reportera. – Po prostu wiedziałem, że muszę ich uratować. To wszystko.

– Wydaje mi się, że byłeś tam bardzo dzielny. Jednak teraz będzie ci potrzebny inny rodzaj męstwa.

– Rozumiem. Dziękuję.

Z gabinetu księdza wychodził przytłoczony myślą, z jak wielką łatwością świat,

niewątpliwie przy udziale Joela i paru innych osób, opacznie zinterpretuje jego działania w dżungli. W pewnym momencie wpadł na Alice, która najwyraźniej go szukała.

– O co chodzi? – zainteresowała się.

Potrząsnął lekceważąco głową, próbując zbagatelizować całą tę sprawę.

– Jakiś reporter chce ze mną porozmawiać. Chodzi o zabicie tych mężczyzn w fabryce kokainy.

Gniew, jaki ją ogarnął, przyszedł nagle i z tak niepowstrzymaną siłą, że przez chwilę wydawało się, że dziewczyna wybiegnie z plebanii szukać Joela.

– Nie do wiary! Co za kretyn!

– Nie wiemy, czy to jego sprawka.

– Jeśli to Chris się wygadał, wścieknę się jeszcze bardziej – zapowiedziała Alice.

– To, co zrobiłeś w tamtej fabryce narkotyków, było najbardziej bohaterskim czynem, jaki widziałam w życiu. Nigdy o tym nie zapominaj. Oni nie mają prawa naginać faktów.

Tom kiwnął głową i powiedział:

– Daj spokój. Nie chcę, żeby ta sprawa popsuła nastrój chwili. Daliśmy radę.

– Racja – przyznała i po chwili wahania uścisnęła go i cmoknęła w policzek.

Następnie ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go w usta. Na koniec cofnęła się o krok, jakby zawstydzona swoją śmiałością.

– A to za co?

– Tak po prostu. – Zmarszczyła brwi. – A co? Nie chciałeś, żebym...?

– Ależ chcę – zapewnił, odwzajemniając pocałunek.

Po chwili z sąsiedniego pokoju dobiegło szczekanie Perra i oboje się roześmieli.

Wrócili do pokoju i poinformowali pozostałych, że reporter chce porozmawiać z Tomem. Nadal kręciło mu się w głowie po pocałunku, jednak równocześnie spokoju nie dawała mu pewna myśl – że nadeszła chwila, która może przekreślić zawarte w dżungli przyjaźnie.

Był pewien, że reszta widzi to zupełnie inaczej, ale on sam nie miał cienia wątpliwości, że ten pierwszy kontakt z prasą stanowi zapowiedź tego, jak będą

wyglądać ich najbliższe tygodnie i miesiące. Wątpił, czy w obliczu medialnego natarcia nawet powrót do normalnego życia zdoła ocalić te więzi.

Rzecz jasna nie chciał tego, jednak mógł z łatwością wyobrazić sobie, że przestanie cokolwiek znaczyć dla tych ludzi i stanie się im równie obcy, co w zeszłym roku. Domyślał się, że słowa Alice stracą znaczenie. Tom zawsze już pozostanie dla świata nie tym, który ratował życie, lecz tym, który go pozbawiał. Tym, który nie panował nad sobą. Tym, o którym mówi się szeptem. Którego wskazuje się palcem. Po którego przybyciu zapada pełna skrępowania cisza.

Był już niemal pogodzony z takim losem, gdy nagle wstał George.

– Chciałbym coś powiedzieć – stwierdził. Wszyscy umilkli i utkwili w nim spojrzenia. – Jak wiecie, większość osób, które jeszcze przed miesiącem uważałem za moich najlepszych przyjaciół, zginęła w katastrofie. Wszyscy oni byli porządnymi ludźmi. Jednak dopiero teraz, w ostatnim tygodniu, nauczyłem się od was, na czym polega prawdziwa przyjaźń. Tom, to przede wszystkim twoja zasługa. Nie obchodzi mnie, jaki wydźwięk będą miały te medialne historie. Każdemu, kto zechce mnie wysłuchać, będę opowiadał o tym, co naprawdę się tam wydarzyło. Jestem dumny, że mam takiego przyjaciela.

– Ja też – dorzuciła momentalnie Kate i zaraz te słowa powtórzył za nią cały chór głosów.

Tom skinął głową z uśmiechem, lecz wzruszenie odebrało mu głos. Dlatego poczuł ulgę, gdy George podszedł i zamknął go w niedźwiedzim uścisku. Przypomniawszy sobie słowa Kate, gdy rozmawiali sam na sam w dżungli: *Od teraz jesteśmy tymi, którzy przeżyli*. Pomyślał, że może miała rację, i nagle ogarnęło go jakieś nieznane wzruszenie, które wlało w jego serce nadzieję na przyszłość – *jesteśmy tymi, którzy przeżyli*.

*Jestem tym, który przeżył.*

## EPILOG

Nazywają to efektem motyla. Żadna inna część teorii chaosu nie budzi w ludziach większego entuzjazmu. *Clou* jest takie: trzepot motyli skrzydełek w jednym zakątku świata może wywołać huragan na drugim jego końcu. Oczywiście nie w sposób bezpośredni. Nie chodzi o to, że motyle skrzydła poruszają powietrze, a to poruszenie spowoduje jeszcze większe poruszenie, co w rezultacie miałyby przerodzić się w huragan. Takie założenie nie miałyby sensu.

Efekt motyla oznacza co innego – dowodzi on, że wszystko jest niezwykle złożone, a na każde zjawisko składają się miliony niewyobrażalnie drobnych czynników. Usunięcie choćby jednego z nich (w tym przypadku trzepotu motyli skrzydełek), będzie miało istotny wpływ na przebieg owego zjawiska, a być może zjawisko takie w ogóle się nie wydarzy.

Wiele lat temu idiota znany jako Pedro Herrera zaczął spotykać się z córką swojego szefa. Szef prowadził kancelarię adwokacką, w której zatrudniony był Pedro. Ponieważ zachowywał się jak dupek, romans szybko się skończył, a wówczas sytuacja zawodowa Pedra bardzo się skomplikowała. Wkrótce został wyrzucony z pracy. Niechętnie pogodził się z myślą, że sam jest sobie winien. Jednak wraz z upływem czasu stoczył się na dno, a wtedy uznał, że jego była dziewczyna nakłoniła ojca, by zwolnił go bez żadnego powodu.

Zapałał żądzą zemsty, jednak nie na jej ojcu – ten był dla niego zbyt potężnym przeciwnikiem – lecz na swojej byłej. Nie zamierzał posunąć się do żadnych gwałtownych czynów, nie był typem psychopaty. Postanowił natomiast, że dopilnuje, by dziewczyna cierpiała za krzywdę, jaką mu wyrządziła. Pedro był motylem, a dziwną decyzję, by szukać zemsty, możemy uznać za trzepot jego skrzydeł.

Jego była sympatia nazywała się Gloria Olivares. Przeprowadziła się i zmieniła

numer telefonu, jednak to go nie powstrzymało. Pedro zdobył jej nowy adres i telefon i z wielką determinacją zaczął w sposób subtelny, lecz skuteczny zatruwać dziewczynie życie. Wydzwaniał do niej w środku nocy, a kiedy odbierała, nie odzywał się ani słowem. Kiedy nie odbierała, czekał, aż włączy się poczta głosowa, jednak nie nagrywał żadnych wiadomości. Niekiedy zamawiał coś i zlecał wysyłkę na jej adres – często dołączając enigmatyczne liściki, których treść mogła, choć wcale nie musiała, odnosić się do prywatnych szczegółów ich związku.

Szkopuł w tym, że Pedro, kompletny nieudacznik, namierzył niewłaściwą Glorię Olivares. Gloria, którą zaczął nękać, była technikiem laborantem. Tajemnicze wiadomości od nieznanego wprawiały ją w osłupienie. Z czasem zaś jego różnorakie formy nękania zaczęły budzić w niej przerażenie.

W efekcie zaczęła cierpieć na straszliwe migreny spowodowane ciągłym stresem. Ponieważ z ich powodu często zmuszona była brać zwolnienie, zaczęła się obawiać, że jeśli dalej tak pójdzie, straci pracę. Dlatego po jakimś czasie postanowiła, że będzie przychodzić do laboratorium mimo migreny. Pewnego dnia, po wyjątkowo stresującej nocy, była tak zmęczona, że pomyliła wyniki dwóch różnych badań laboratoryjnych – jeden nie wykazywał obecności komórek rakowych w pobranej do badania próbce, a drugi wskazywał na nowotwór złośliwy.

Gdyby nie Pedro i jego wynaturzona, wymierzona w niewłaściwą osobę, kampania, Gloria nie pomyliłaby się w pracy, a wówczas pilot, niejaki Javier Quevedo, którego rodzice umarli na raka, a żona została rok wcześniej zamordowana podczas ulicznego napadu rabunkowego, nie dostałby wyników badań, z których wynikało niezbitcie, że jest śmiertelnie chory.

Jednak nawet wtedy wszystko jeszcze mogło potoczyć się inaczej, gdyby Javier powtórzył badania i odkrył, że zaszła pomyłka. Nie pograżyłby się w depresji i nie zrodziłaby się w nim katastrofalna w skutkach myśl, że sprawi, aby pilotowany przez niego samolot rozbił się w dżungli amazońskiej i nigdy nie został odnaleziony. Ponieważ życie obeszło się z nim bezwzględnie, postanowił, że odpłaci się pięknym za nadobne i pozostawi po sobie właśnie taką spuściznę. Skoro

pilot samolotu Malaysia Airlines zdołał wyciąć taki numer, jemu też się uda.

Taki w każdym razie był plan. Javier poparł go skrzętną kwerendą w Internecie. Gdyby jednak bardziej się do niej przyłożył, gdyby poczytał o wyjątkowych prądach powietrznych występujących w dolinach, gdzie postanowił rozbić samolot, zdołałby skutecznie roztrzaskać go całego. Zagadka nigdy nie zostałaby rozwiązana, a dziewiętnaścioro ocalonych podzieliłoby los tych, którzy zginęli.

A gdyby owych dziewiętnaście osób nie uczestniczyło nigdy w katastrofie samolotu, dwoje z nich – Alice Dysart i Tom Calloway – nigdy nie zamieniłoby ze sobą słowa poza lekcjami literatury angielskiej, a ich komunikacja ograniczyłaby się do wymieniania poglądów na temat Szekspira. Po skończeniu liceum pewnie nigdy więcej by się nie spotkali, a już na pewno po maturze nie pielęgnowaliby przyjaźni z osobami, z którymi przedzierali się przez dżunglę.

I właśnie na tym polega efekt motyla. Gdyby dupek Pedro Herrera nie postanowił zemścić się na swojej byłej dziewczynie, dwieście dwanaście osób nie poniosłoby śmierci, Alice i Tom nie zostaliby parą, a ich życie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

## PODZIĘKOWANIA

**P**ragnę podziękować Jenny Bak i całemu zespołowi redakcyjnemu wydawnictwa Jimmy Patterson Books za to, że pomogli mi udoskonalić tę powieść. Niemała w tym zasługa samego wydawcy, Jamesa Pattersona, bez którego wsparcia i entuzjazmu *When We Were Lost* nigdy nie trafiłoby do waszych rąk.

Jestem wdzięczny również Penelope Burns i wszystkim pracownikom agencji literackiej Gelfman Schneider/ICM Partners, którzy od początku wierzyli w tę historię.

Dziękuję Owenowi i Lucy, którzy służyli radami językowymi, nawet jeśli sami nie pamiętają, że mi ich udzielali.

Na koniec chciałbym podziękować Tobie, czytelniku, ponieważ bez Ciebie my, autorzy, tracimy rację bytu. Ta książka jest motylem, ale to Ty jesteś trzepotem jej skrzydeł.



## O AUTORZE

**K**EVIN WIGNALL urodził się w 1967 r. w Brukseli. Studiował politologię i stosunki międzynarodowe na Lancaster University. Jest autorem dziewięciu powieści dla dorosłych, nagradzanych opowiadań i kilku książek młodzieżowych.